ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO - LITERACKI

2

WROCŁAW 1947

ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO - LITERACKI

2

WROCŁAW 1947



Zam. 96 *Drukarnia Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, ul. Ogrodowa 19.* F 17202

JERZY KOWALSKI

CZŁOWIEK

Wyraz natura jest takim wyrazem, jak wyraz elektryczność: jest konieczny, ale nie jest pożyteczny, bo nie wyjaśnia. Im głębiej wdzieramy się w te wyrazy, tym więcej oddalamy się od ich powierzchni, która jest jako tako poznawalna. Na końcu dociekań, elektryczność rozrasta się w coś, co chyba nie powinno pokutować w dzwonku; natura zaś rozwodzi się ze swoją etymologią, w której ktoś ją podejrzewał o właściwości organizmu.

Jednak kto pisze, jest skazany na wyrazy. Może uchylić ten wyrok sztuczkami dialektycznymi. I ja jestem zmuszony z nich korzystać. Nazywam więc naturą to, czym nie interesują się przyrodnicy, mianowicie wiele z tego, co (możliwie bez współdziałania innych ludzi) dokonywa się z człowiekiem bez jego woli lub wbrew jego życzeniu. Nie ma człowieka, który by urodził się (wprawdzie przy współdziałaniu rodziców, ale) na swoje życzenie. Gdy człowiek umiera z własnej woli, nazywamy to czynem przeciwnym naturze. Ale gdy umiera ku własnej rozpaczy (jak niemal każdy człowiek), nazywamy to śmiercią naturalną. Stąd, że przywłaszczenie sobie praw natury uchodzi za występek, nie wynika, by natura postępowała godziwie (jak chcą niektórzy filozofowie); a wynika co innego: nie przypisujemy naturze wartości moralnych, jak ich nie przypisujemy istotom nierozumnym. Nie rozumując teologicznie, zmuszony jestem odmówić naturze rozumu. Jeżeli więc mówię o celu natury, rozumiem po prostu skutek zaobserwowany. Skutek ten oglądany od przodu, może być nazwany celem: póki nie stał się skutkiem. W działaniu rozumnym (t. j.

takim, gdzie zachodzi sprawa rozumowania, choćby to rozumowanie było fałszywe), skutek nie musi być celem, ale, jak powiedziałem, natura nie ma rozumu.

Przyrodnik ma do czynienia z materią natury, ja mam do czynienia z wyrazem. Nie mogę się go zrzec, jak nie mogę używać słownika, z którego ktoś powyrywał kartki. Gdyby język był rozparcelowany między specjalistów, nikt prócz Arystotelesa nie miałby prawa go używać. Istnieją wprawdzie logicy, lecz któż ich zrozumie? Uważają oni za bardzo zawiłą sprawę, czy coś jest czymś, czym jest (przyczem nie wie się, o jakie „coś“ wodzą się te filozoficzne głowy). Wobec tego będę uważał za rzecz o wiele prostszą napisać kilka słów o tym, co napewno jest o wiele bardziej pomylone, niż pewnik logiczny, t. j. o człowieku.

Wiemy coś o nim. Każdy z nas ma kilku przyjaciół czy znajomych, czyni o nich spostrzeżenia, zwykle lekko ubawione. Rzadko, ale jednak, wybłyskuje z tych ludzi światełko i w nim rysuje się kontur kogoś nieznanego dotychczas: to bawi, a ten zwykły, codzienny kształt nie. Zżyłem się z kimś, bo jest albo poprawny albo łatwy w pożyciu. Ale raz był niespodziewanie nieprzyjazny, albo powiedział coś, co świadczyło, że podpatrywał mię przez cały czas naszej przyjaźni z niechęcią i rosnącą urazą. Powiedział coś, co przewróciło we mnie wszystkie pojęcia o nim. Skryłem to w sobie, bo wszak tyle lat żyliśmy razem. Żyjemy dalej, przyjaźń nasza trwa roztropnie niezmącona, chociaż pokazało się, że właściwie nie jesteśmy przyjaciółmi, bo to, czym ten człowiek jest naprawdę, nie jest ważne dla naszej przyjaźni. Jest to przyjaźń, powiedzmy, na margarynie, ale jadalnej. Wiktujemy się bez większych wymagań; nauczyliśmy się tego. Czyste wartości w życiu, to wyobrażenia młodości. Zaczęło nam się powodzić, gdy odstąpiliśmy od nich.

Nieszkodliwe to są niespodzianki i prawie nieprzykre. Mój przyjaciel wydawał mi się poczciwy, ale zajmujące to nie było. Nagle zaciekawił mię. Lekka goryczka miesza się do tego doznania, ale cóż, i ja miewałem swoje myśli o nim, i może kiedy zauważył, że się nim nie przejmuję.

Nie chciałbym mówić o ludziach, którzy otwarcie mnie nie cierpią. Brak inteligencji wpływa na ostrość uczuć, a o uczu-

ciach też nie chciałbym mówić. Zastanawiam się nad istotą rozumną. Nie każdemu udaje się być nią, ale sam instynkt życiowy, a jeżeli nie, samo życie uczy rozumu. Najmniejsza czynność wymaga rozumu lub co najmniej rozsądku. Wychodzę z pokoju: przez drzwi, a nie oknem. Na trzecim piętrze ma to znaczenie. Rozum jest abstrakcją, wydobytą z wielu aktów rozsądku. Na dnie rozsądku zaś tkwi instynkt. Niosę na rękach dziecko dwumiesięczne po schodach. Jego drobne rączyny czepiają się mojej koszuli na piersiach: to dziecko szuka bezpieczeństwa; każdy go szuka przez całe życie. Są ryzykanci, są bohaterzy, lecz i ci w normalnym życiu więcej razy są rozsądni, niż zuchwali. Nikt nie ocalałby przez jeden dzień życia, gdyby najmniej kilkadziesiąt razy nie był rozsądny. Życie jest aktem rozsądku. Milimetr skóry dzieli nas od śmierci, jeden nieostrożny ruch ręką może nas pozbawić oka. To jasne: człowiek żyjący jest człowiekiem rozsądnym, choćby był drabem, hulaką i awanturnikiem. Odkrywca nieznanych lądów musi wykonać milion aktów rozsądku, zanim zginie przez jakieś niedopatrzenie.

Wolę mówić o człowieku rozumnym. Rozsądek bowiem jest czerwonym sygnałem na kilka metrów czy chwil przed możliwą katastrofą, nie wystarcza zaś, gdy cel działania jest odległy i nie da się łatwo określić na początku. Największe katastrofy ludzi i państw są zjawiskiem na długim sznurze zapałowym. Tylko rozum może zapobiegać na taką odległość. Cóż to jest rozum? Jest to wypadkowa między odwagą a ostrożnością. W historii człowieka liczy się sama odwaga, a ostrożności oznaczają brak historii. Człowiek jest istotą stwarzającą historię. Jest więc jasne, że historia człowieka musi być tragiczna.

Jednakowoż tragedia jest humanistyczną interpretacją wydarzeń, leżących zupełnie prosto w naturze rzeczy. Człowiek zaczął najpierw uczuciowo ujarzmiać naturę: temu zawdzięcza pierwszy stopień swojej wielkości: religię; a również i drugi stopień: kulturę. Uczucia mają pewne miejsce w naturze rzeczy, n. p. uczucia rodzinne, uczucia gromadne. Mamy te uczucia z natury. Jeżeli jednak można mówić o celu natury, ten cel na pewno nie jest uczuciowy, chociaż uczucia mu służą.

Człowiek nie ma świadomości celu natury, dlatego łatwo przekracza naturalną granicę uczuć. Oznacza to, że cel naturalny nie sięga tak daleko, jak daleko człowiek rozwinął swoje uczucia. Natura podtrzymuje życie nadwyżką swego tworzenia nad swoim gubieniem. Nie potrzebuje do tego pomocy człowieka. Przez łatwość gubienia natura załatwia się ze wszystkim, co niezdolne do życia; byłoby to w jakimś sensie moralne, gdyby nie to, że ona to sama bez żadnej selekcji wydaje twory słabe i silne. Łatwość niszczenia daje w ostatecznej sumie selekcję. Zniszczenie oczyszcza rozrzutną akcję tworzenia. Wygląda to na postępowanie człowieka, który najpierw działa, a potem myśli. Natura tworzy tak rozrzutnie, że łatwość niszczenia jest bardzo konieczną wadą natury. Bez niej życie zużyłoby wszystkie materie na ziemi. Świat zużyłby się zbyt prędko i zginąłby cały naraz od głodu wszystkich swoich tworów żyjących. Śmierć podtrzymuje życie wszelkiego organizmu na ziemi. Śmierć jest prostą funkcją i warunkiem życia. Natura daje organizmowi pewną, ale niewielką zdolność odwlekania śmierci.

Człowiek rozwinął tę zdolność poza granice potrzeb natury. Czyniąc tak, działa na własne ryzyko, i niewątpliwie często szkodliwie, biorąc rzecz fizykalnie. Gdyby człowiekowi udało się ograniczyć śmierć w jeszcze znaczniejszym stopniu, życie na ziemi byłoby tak zagrożone, jak byłoby zagrożone, gdyby człowiek nie był zdolny odwlec śmierci.

Między dolną a górną granicą śmierci rozwija się cywilizacja. Jest to coś, co natura toleruje, jako rzecz dla jej celów obojętną. Cywilizacja jest produktem człowieka między dwoma punktami istotnych zainteresowań natury. Właściciel fabryki może tolerować pewne ambicje swoich robotników, o ile one nie mieszają się w sposób poważniejszy do sprawy produkcji. Lecz natura nie jest tylko producentem: jest ona również niszczycielką. Utrzymuje ona swoją produkcję jej własnym kosztem, t. j. niszczeniem jej: ona tylko przerabia tę samą materię produkcji. Gdyby ktoś chciał sprodukować koszulę dla siebie, nie mając nici, musiałby starą koszulę rozprząść na nie, a z nich zrobić nową. Otóż natura nie stwarza nowych materiałów; przerabia swój jedyny, od początku istniejący

materiał. Z tego powodu natura nie jest tak liberalna, jak najbezwzględniejszy kapitalista.

Polityka natury przypomina politykę Anglii: wypuszczania jednych na drugich, a różni się od niej tym, że Anglia na tym korzysta, a natura nie: ona sama jest tym procesem wzajemnego pożerania się. Jako taka, jest nie tylko bezinteresowna, ale nawet nieświadoma siebie. Natura nie istnieje: ona tylko dzieje się. Do tego dziania się potrzebuje materii, tak jak wschód słońca potrzebuje słońca i ziemi.

Nie mniejszy jednak kłopot jest z materią. Jest to znowu wyraz, który pragną przyrodnicy wymieść ze słownika. To samo grozi w ogóle wszystkim rzeczownikom pojęciowym. Twory te powstały w okresie początków myślenia i dziś podobno stały się bałamutne. Dzięki naukom ścisłym dojdziemy do oniemienia. Najściślejsze z nich zaczęły już porozumiewać się na migi, t. j. przy pomocy t. zw. symbolów. Musielibyśmy i my wprowadzić znaki-hieroglify, których sens będzie zależał od zdania, w jakim będą użyte.

Dla mnie istotnym jest to, że natura niezależnie od tego, czym ona sama może być, jest moim doznaniem i moją przypadłością, jest moją sprawą osobistą, często ściśle prywatną. Podejrzewam ponadto co prawda, że może być najbardziej publiczną, bo ogólnoludzką, ale zajmuję się nią z powodów osobistych; obawiam się, czy nie jestem rodzinnie obciążony. Nie jestem przyrodnikiem, nie jestem filozofem, jestem tylko człowiekiem. Mówiąc o naturze, pilnuję swojego nosa, nie wtrącam go do niczyjego słownika.

Nie można rozumieć natury, w naturze bowiem nie ma nic rozumnego. Nie tylko uczuć, ale ani nawet rozumu nie ma w naturze. Natura jest w ogóle nie do wyjaśnienia. Człowiek jest istotą nie wiadomo jak rozwiniętą w naturze. Rozwinął on się całkowicie na własną odpowiedzialność. Rozwój ten nie jest niczym naturalnym. Człowiek nadużył pewnych zdolności użyczonych mu przez naturę dla odwleczenia śmierci. Cywilizacja jest nadużyciem naturalnych środków trwania. Nie ma więc człowiek prawa oskarżać kogokolwiek prócz siebie i znikąd nie może żądać dla siebie gwarancji. Pozostaje mu jedynie poznać swoje przyrodzenie, o ile ono zabezpiecza go

od śmierci, a o ile usposabia go do niej; te dwie rzeczy są bowiem jedynie istotne dla istoty, której zależy na swoim trwaniu.

Dlaczego człowiek stwarza historię? Ani bobry ani pszczoły jej nie mają: szczęśliwe stworzenia? Pisząc te słowa, zastanawiam się. Czy istotnie nie mają? Wylewy znoszą osady bobrów, zmuszając je do wędrówek. Pszczoły wędrują. Znane są rewolucje w ulach, wychodźstwa. Badacze życia zwierząt twierdzą, że nie jest to życie czysto wegetatywne. Istnieją śród zwierząt wojny i przymierza, strajki i lokauty. Są dziwne okazy, stroniące od gromady. Życie zwierząt rodzinne i gromadne ukazuje wiele perypetii, nie dyktowanych samym instynktem trwania. Życie to jest dla nas tak zamknięte, jak życie klas posiadających nie jest znane szerokim masom biedaków. Dla ludów Europy zachodniej nie istnieje historia Europy wschodniej. Europa ignoruje historię Ameryki.

Nie jest celem tego pisma wykazywać, że człowiek nie jest zwierzęciem. Jednak śród stworzeń jest stworzeniem najtragiczniejszym. Przede wszystkim dlatego, że toczy ono walkę z własnym rodzajem. Śród ludzi różnice są większe, niż śród zwierząt tego samego gatunku. Rasy, narody, szczepy, stany są sobie wrogie. Wynika to z tego, że realnie nad człowiekiem nie ma wyższego gatunku, który by mu zagrażał. Mówię realnie: bo moralnie, i dlatego dosyć nieskutecznie, uznajemy Boga. Po wtóre, człowiek jest prawdopodobnie tworem drapieżnym, jakkolwiek nie żywi się mięsem ludzkim, o ile może zdobyć mięso zwierząt. Walki między ludźmi były jednak i są walką o wyżywienie produktami ziem posiadanych i użytkowanych przez innych ludzi. Cywilizacja sprawia, że człowiek nie poprzestaje na zaspakajaniu głodu. Rosnący dobrobyt powoduje wzrost ludności, a wzrost ten zwiększa potrzebę zaspakajania głodu. Głód człowieka nie jest tak prymitywny, jak głód zwierzęcia. Pragnienia człowieka są wprost nieograniczone, aktywność jego przerasta znacznie jego fizykalne podniety działania. Wynalazczość człowieka przekracza granice potrzeb życia, a nieraz jest szkodliwa dla życia ludzi na ziemi. Wynalezienie udoskonalonych środków walki miałby sens wtedy, gdyby takie doskonałe rodzaje oręża nie mogły się znaleźć w rękach nieprzyjaciela. Jednak doświadczenie wykazało, że

narody walczące między sobą posiadają mniej więcej te same gatunki oręża i o wyniku wojny decyduje raczej wyższa forma organizacji, niż doskonałość broni. Oczywiście zdarza się, że nowe gatunki broni zapewniają zwycięstwo, jednak ta przewaga nie da się utrzymać nawet do następnej wojny. W pierwszej wojnie światowej Niemcy zostały pobite czołgami, w następnej wojnie tymi właśnie czołgami uzyskiwały przewagę.

Fakt, że człowiek dba o swoje bezpieczeństwo wobec innego człowieka, dowodzi, że człowiek jest w naturalny sposób niebezpieczny. Jest niebezpieczny nie tylko dla innego człowieka, ale także i dla siebie samego. Samobójstwo nie istnieje chyba śród innych stworzeń. Za to złość najwyraźniej jest cechą zwierzęcą w człowieku. Połączona z pamięcią, która u zwierząt jest bardzo ograniczona, złość człowieka jest w stanie zamienić się w charakter trwały, przedłużający chęć zniszczenia przeciwnika nawet wtedy, kiedy przeciwnik przestaje być groźny. Ta chęć zniszczenia często staje się nierozumna i szkodliwa dla samego złośnika. Masy ludzkie są zdolne do psychoz zbiorowych, które pozbawiają je instynktu zachowawczego. I tą psychoza w formie paniki jest również pochodzenia zwierzęcego i tam także prowadzi do katastrof. Mówi się naiwnie, że cywilizacja zmniejsza niebezpieczeństwo natury ludzkiej. Wydaje się jednak, że cywilizacja kryje w sobie wiele niebezpieczeństw, przede wszystkim dlatego, że nie ma w naturze żadnych dążności współbieżących z cywilizacją. W żadnym stopniu natura nie pomaga cywilizacji, nie ma w naturze miejsca dla niej. Człowiek cywilizuje się na własną odpowiedzialność. Cywilizacja nie ma żadnej racji biologicznej. A jednak człowiek uważa cywilizację za najwyższe dobro. Przez to zapatruje się na nią bezkrytycznie. Cywilizacja jest tworem miast, czyli wielkich skupisk ludzkich, powstałych na drobnych przestrzeniach ubogich w tlen i w światło słoneczne, skazanych na techniczną organizację najpotrzebniejszych elementów życia. Nie mówąc o katastrofach, zwykły strajk może obecnie zagrozić życiu milionów ludzi. Miasta nie produkują ludności, wypijają rezerwy prowincji. Kto przejeżdża pociągiem wielkie przestrzenie wyludnione, z tego samego może domyślić się, że dojeżdża do stolicy kraju. Rzym wyssał Italię, Paryż wyssie Francję. Ludność wielkich miast wyrabia w so-

bie wyrafinowanie, jakie jest niepotrzebne do życia na ziemi. Gorączkowość tych ośrodków pędzi ku tropikom faunę wyobraźni wybujałą ponad kreskę naznaczoną palcem natury. A już całkiem po prostu: gdy zaczynamy odczuwać życie i naturę jako prostactwo, stajemy się podobni do panienek, które nigdy nie wyjdą za mąż.

Rozważając człowieka w ramach przyrodzenia, zaczynamy się obawiać, czy nie idzie on ku zgubie. Rodzaj ludzki może zaginąć na ziemi, zanim znikną naturalne warunki dla jego istnienia. Stanie się to wtedy, gdy człowiek przestanie być rodzajem naturalnym. Optymizm przyrodników jest pozbawiony inteligencji.

Rodzaj ludzki zmienia się. Kot Faraona i kot Colette'y, to jakieś podobniejsze do siebie koty, niż Faraon i Colette. Co prawda, uczeni twierdzą, że nawet rodzaje zwierząt niskoustrojowych starzeją się. Człowiek ma jednak więcej współczynników zmiany. Zmienia się z każdym pokoleniem. Człowiek średniowiecza jest dla nas zupełnie niezrozumiały. Człowiek za sto lat będzie — chciejmy w to wierzyć — na nas spoglądać, jak na okazy jaskiniowe. Na ogół nie ma tak określonego typu człowieka, jak jest typ psa, konia, gołębia, wielbłąda. Sądzę, że to naraża człowieka. Zwierzęta daleko lepiej znają swoje możliwości. Bywają one gatunkowo lub w odmianach (pies) gniewne i wściekłe, człowiek bywa także taki; ale najwyraźniej jest obraźliwy. Psy są pokorne, ale znałem psa obraźliwego: pekińczyka. Obraził się na mnie za to, że się śmiałem z niego, wyraźnie stronił ode mnie, zresztą był towarzyski. Gatunkowo, choć na różne sposoby, obraźliwe są panie. Ich typologia była dotychczas węższa od męskiej. Z chwilą dopuszczenia kobiety do służby wojskowej, okazało się, że psychiczny typ żołnierski nie jest monopolem mężczyzny. To samo tyczy typu biurowego *(rond de cuir)*. Typ nudny nie istnieje między paniami dzięki temu, że są tu gorsze możliwości. Ilość typów psychicznych człowieka jest wprawdzie ograniczona, ale wystarczająco bogata, aby gatunek człowieka nie był jednoznaczny.

Cywilizacja jest wprawdzie zdolna ujednostajnić typ człowieka, ale jak tamto jest irytujące, tak to jest nudne. Gorsza jest inna dążność do owczego ścisku. Nie wspólność psychiki,

lecz wspólność pojęć ujednostajnia ludzi. Ta więc najwyraźniejsza jedność, mająca wielkie znaczenie w wydarzeniach historii, jest sztuczna. Pojęcia i przekonania są w stanie zmienić psychiczne dyspozycje człowieka. Gdyby człowiek mógł zachować typ psychiczny, który go wydobył z rzędu zwierząt, byłaby dana psychiczna gwarancja trwania tego rozwoju. Jednakże ten typ przestał być psychiczny, a zmienił się w typ pojęciowy. Nagminny obecnie podział świata na dwie demokracje stwarza przekrój o jeszcze większym zadąsaniu, niż podział świata na blondynów i brunetów.

Historia objawiła wielką nietrwałość gatunku ludzkiego. Jest niewiele okolic świata, które zachowały swoje zaludnienie znane już w czasach historycznych. Rodziny wygasają w kilkunastu, jeżeli nie kilku pokoleniach. Narody nie trwają dotychczas dłużej jak 1500 lat. Człowiek powstał na ziemi dosyć późno, jego organizm należy do najdelikatniejszych i najbardziej wrażliwych na temperaturę. Zmiana pożywienia człowieka, jaka dokonuje się z postępem cywilizacji, inne zmiany, jak odwyk od wysiłku mięśni, powodują schorzenia częścią nieznane dawniej, częścią nie występujące wtedy w takim nasileniu. Nie tylko lekarstwa uodporniają organizmy przeciw chorobom, ale i choroby uodporniają się przeciw lekarstwom. Długowieczność człowieka nie jest zbiorowo taką zdobyczą, jak jednostkowo. Medycyna dlatego pracuje nad długowiecznością jednostki, ponieważ ludzie starzy są na Zachodzie najmocniejszymi płatnikami medycyny. Nauka ta unika honorariów zbiorowych. Narody starzeją się nie tylko przez wydłużoną ilość pokoleń, lecz znacznie prędzej przez wydłużony wiek pokolenia. W długo trwających rodach pojawiają się choroby, które powodują zanik tych rodów niezależnie od odżywienia i hygieny życia. Także umysłowe choroby wzmagają się z trwaniem rodu. Istnieją choroby właściwe cywilizacji. W ogóle chorobowość ciągle komplikująca się może zagrozić istnieniu rodzaju ludzkiego, mimo że postęp w zwalczaniu starych chorób jest znaczny. Medycyna nie sprawia zaniku chorobowości, lecz ułatwia jej ewolucję. Dzięki medycynie chorujemy coraz wymyślniej i coraz trudniej.

Szczególnie groźna jest choroba rodzaju ludzkiego, znana też u innych zwierząt, którą można by nazwać szaleństwem.

O tym już się wie, ale pragnie się z tego uczynić sensację ludzką. Najniepotrzebniej! Szał jest przecież w naturze, może być, że jest ona tylko szałem, niczym więcej. Wszechświat powstał wtedy, gdy to, co przedtem nie istniało, oszalało.

Zanim szał uderzył do głowy stworzeniu i tam zamieszkał na stałe, był szałem tańca. Zostawiam materialistom przyrody odgadnięcie zagadki, co się zaczęło kręcić i czy nie może powstać kręcenie się bez tego, co by się kręciło. Mając wiele podejrzeń przeciw materii, sądzę, że taniec mógł istnieć bez tancerza: istnieć? Móc się zawiązać. Inaczej, jak pojmujemy siłę? Co innego jest obserwacja siły lub ruchu na materii, a co innego jest ich źródło bezprzedmiotowe, ich potencja. Otóż potencja może powstać z samego pola. Nic może się podzielić na dwie przeciwne siły, tak jak dwie przeciwne siły mogą się złączyć w nic. Każde nic jest potencjonalne w dwa przeciwieństwa. „Nic“ istnieje, z niczego może coś powstać i w nic może się obrócić: upadają wszystkie trzy tezy fizyki materialistycznej.

Być może, że człowiek powstał z małpy chorej psychicznie. Małpa, która była zdolna oszaleć, stworzyła rodzaj ludzki. Szał ten wydaje się być zbliżony do melancholii. Myślenie powstało niezawodnie z niezainteresowania światem otaczającym, z niewrażliwości na bodźce bezpośrednie. Kto spojrzał na bizuna nie jak na mięso, ale jak na kształt, kto nadawał przedmiotom użytku zbyteczne ozdoby, kto wymyślił (patrząc raczej na ciała niebieskie, niż ziemskie) koło u wozu, ten nie interesował się tym, co niósł dzień. Jednak stworzenie jest z natury efemeryczne. Gdyby nie to, nie potrafilibyśmy znieść 20.000 dni życia wracających monotonnie.

Człowiek ma w sobie esencję na przebycie tuzina godzin, po czym musi ją uzupełniać na postoju nocnym, czerpać ją ze zbiorników snu. Nowy etap podróży odbywa się znowu po tej samej drodze, sam tylko podróżnik zmienia się cokolwiek. Jest to więc rodzaj huśtawki, na której człowiek stojący czy siedzący (zależy to od wytrzymałości) starzeje się, bardzo powoli we własnym odczuciu, a błyskawicznie choćby w skali trwania życia na ziemi. Giniemy jak muchy, a co najmniej jak psy, lecz nas nie obserwuje żaden wyższy gatunek, a jedna tylko noc kosmiczna czuwa nad nami, i nic nie odmierza naszego istnienia na podziałce, choćby słojów drzewnych. Nasza

podziałka jest najwyraźniej dziesiętna, mało kto dożywa metra życia. Na tym metrze odcinam dwa mikrony: godzinę życia. Jakąż więc astronomiczną cząsteczkę czasu trwa moment życia? Przez to, że psychicznie żyjemy takimi momentami, powstaje złudzenie trwania życia. Gdyby nasze reakcje były technicznie sprawniejsze (choćby n. p. tak, jak karabin maszynowy lub obroty koła), żylibyśmy w tym samym czasie dłużej. Lecz technika ustroju organicznego jest prymitywna, zużywanie się jego bardzo nieoszczędne. Natura organiczna na ziemi przystosowała się do masy ziemi, a ziemia nasza nie należy do mocarstw niebieskich. Jest to małe państewko, niezdolne dać większych możności rozwoju swojemu stworzeniu. Niestety i umysł człowieka jest fizjologicznie przykrojony do tych skromnych wymiarów. Ogromna część naszej psychiki jest zbawiennie wegetatywna. Chwali się naszą ziemię za tlen, za temperaturę skrzepłych metali; można by co prawda wymagać więcej, n. p. żeby obracała się w ciągu stu lat raz dokoła swej osi, a była zawieszona między dwoma słońcami (co zdaje się, jest niemożliwe; ale wystarczyłyby pomocnicze światła satelitów odpowiednio rozmieszczonych i nakręconych); żyłoby się jakie 30.000 lat, może i nie tracąc na sen połowy życia, lub nie śpiąc wszyscy na raz, co utrudnia tyle spraw.

Dzień, noc i pogoda wywołują w człowieku szybkie zmiany psychiczne, niewrażliwość na zmiany zewnętrzne wynika dopiero z myślenia. Wynalazki nie były czynione dla ochrony zdrowia lub życia, lecz z urojenia. Mycie się i ubieranie, przyprawianie jadła na ogniu, sporządzanie naczyń, przebywanie pod dachem, jazda wozem i konno są wszystkie pochodzenia magiczno-kultywnego. Nic z tego nie wymyślił człowiek dla swojej ochrony lub wygody. Pojmowanie wynalazków jako wynikłych z jakoby przyrodzonego dążenia do poprawy życia odziedziczyliśmy po teorii kultury, stworzonej z właściwą sobie trywialnością przez Epikura. Jeden może Edison jest szlachetnym wynalazcą tego typu. Badacze promieniowania nie roili ani radia ani bomby atomowej.

Najstarszym prawem ludzkim jest tradycja. Tylko człowiek niewrażliwy na nią, a więc tak obrzydły, jak ateista, mógł coś wynaleźć. Kto lekceważył obyczaje, ten był nielojalny wobec klanu, był wyrodkiem ekscentrycznym, próżnym. Kto pier-

wszy dosiadł konia, był człowiekiem o małej powadze i wątpliwym zmyśle estetycznym; zdaje się, był to cyrkowiec. Używanie ognia było nierozsądne i niepotrzebne na południu. Ten, który zjadł pierwsze mięso osmalone na ogniu, komunikował się z bóstwem, które jadło tylko dym ofiary, w tym celu spalanej. Człowiek ten przysiadał się do stołu bogów, nabiwszy w butelkę swoich wiernych. Z czasem bogom pozostała skóra i kości, na całopalenie zaś szły najparszywsze i najtańsze sztuki. Gdyby wiedziono na ołtarze setki najurodziwszych wołów, któż chciałby je chować? Te dewocjonalia miały swoich osobnych handlarzy, konkurujących z rakarzami.

Człowiek da się zdefiniować fizykalnie (o ile nie jest to złudzenie humanisty), bardzo zaś trudno odgadnąć, jakie właściwości czy wartości psychiczne mieszczą się w pojęciu rodzaju ludzkiego. Jesteśmy bowiem zmuszeni wielką różnicą, wyraźną (w historii) między człowiekiem a resztą stworzenia, szukać określenia właściwego dla człowieka. Przyrodnik bowiem nie potrafiłby napisać historii człowieka pojaskiniowego. Sam wyraz „człowiek" jest przez nas pojmowany w znaczeniu psychicznym. Można się wahać, co przeważa w tym pojęciu: właściwości moralne czy umysłowe. Na pewno dary umysłowe, a może nawet moralne, nie są odmówione i zwierzętom. Dyskusja jest tu trudna, inaczej patrzą się na to panie starsze, a inaczej psychologowie. Zwierzęta oswojone objawiają podobno bezinteresowne uczucia, których zarodek istnieje jednak chyba w samej ich naturze. Umysłowe uzdolnienia zwierząt, jeżeli nie liczyć do nich chytrości, wydają się być również zarodkowe. Człowiek, to nieskończenie wyższa miara owych dyspozycji zarodkowych. Zdolność do rozwoju u człowieka rzuca się w oczy. Ale również ludzka jest zdolność do kultury, t. j. do uwewnętrznienia dyspozycji ludzkich, tak moralnych jak umysłowych. Człowiek wyższej miary przeżywa w sobie swoje zdolności, otrzymuje od nich kształt nie narzucony mu przez życie zewnętrzne. Taki człowiek kształtuje się sam, nie jest produktem zewnętrznych czynników. Gdy te osiągają wyższy stopień w epokach lub społeczeństwach na wyższym stopniu udoskonalenia, i gdy im człowiek zawdzięcza swoje człowieczeństwo, także taka kultura zbiorowa leży w interesie społeczeństwa. Lecz ludzie ulegający dobrym wpływom zbioro-

wym, ulegają i złym, ponieważ zdolność do przystosowania się nie jest zdolnością moralną ani nawet umysłową. Łatwość takich wpływów na człowieka jest zatrważająca, ratunek leży w człowieku produkującym idee samodzielnie, przez własne uzdolnienie i własne wartości moralne i umysłowe. Ta indywidualna zdolność produktywna jest chyba monopolem człowieka, nie od razu występującym w klanach ludzkich, o ile powstania klanu nie wyjaśniamy wystąpieniem wodzów, a więc takich właśnie uzdolnionych moralnie i umysłowo jednostek ludzkich. Człowiek zatem, to niewątpliwie jednostka. Ktoś wymyślił w sobie człowieka, jak ktoś wymyślił w sobie Boga. Ten człowiek utrwalił się jako okaz dziedziczny, obwarował swoje cechy w potomstwie. Gdyby rasa ludzka polegała tylko na cechach fizycznych, pozostałby on w społeczności zwierzęcej. Ponieważ jednak rozwój głównej cechy fizycznej człowieka, czaszki i mózgu, jest zdaje się rozwojem następczym w stosunku do rozwoju inteligencji (t. j. ponieważ inteligencja czyli funkcja kształtuje mózg, czyli organ, a nie mózg, czyli organ, kształtuje inteligencję, czyli funkcję), przeto człowiek jest końcowym tworem rozwoju umysłowego. W tym leży jego tragedia: w jego właściwościach zasadniczych, moralnych i umysłowych. Fizykalnie będzie człowiek długo jeszcze możliwy na ziemi po swoim zniknięciu z jej powierzchni. Nie fizykalne bowiem okoliczności wydobyły człowieka na powierzchnię ziemi. Może być, że człowiek zlazł z drzewa, którego nie było na stepie, i wtedy stał się większym elegantem od szympansa. Tak wolno tłumaczyć wygląd człowieka. Czy jednak jaki inny czworonóg chodzi regularnie na dwu łapach po ziemi? Czy niemożliwa fizykalnie byłaby totalna małpa totalnie dwunożna? Nie, różnica między człowiekiem a małpą jest czymś więcej niż fizykalna. Człowiek powstał i zginie poza fizyką (meta-fizycznie: co nie oznacza nic tajemniczego). Zginie przez przerost lub przez skłócenie tych swoich właściwości, które nie zależą od warunków wegetacyjnych.

JULIAN KRZYŻANOWSKI

O DWU OBRAZACH SŁOWNYCH

1. Przyszły historyk naszego życia kulturalnego będzie musiał stwierdzić naturalną, bo nieuniknioną jałowość poczynań literackich w latach, które obecnie przeżywamy. Książka, teatr, dyskusja — wciąż poruszają się po torach wytkniętych przed r. 1939 i mimo zapewnień o doniosłości zmian społeczno-politycznych, jako wyznaczników równie doniosłych zmian literackich, zmian tych w życiu literackim dostrzec niepodobna. Toteż nie powinniśmy się dziwić, że od dwu lat żyjemy pogłosami również tylko przedwojennych debat w słowie i piśmie na temat tzw. teorii literatury, przesłaniających całkowity zastój w dziedzinie prac tzw. historyczno-literackich. Mówię tzw., mimo bowiem narastającej z każdym tygodniem ilości rozpraw, zarówno w czasopismach jak nawet w postaci książkowej [1]), rzadko tylko dostrzega się jakieś nowe myśli, aż nadto często natomiast stare i powszechnie znane nieporozumienia, m. i. terminologiczne, a więc oznaczanie tych samych, nieraz podstawowych, pojęć różnymi wyrazami i odwrotnie, stosowanie tych samych wyrazów do pojęć bardzo od siebie odległych, co w obu wypadkach świadczy, iż pojęć

[1]) Na dowód parę pozycyj z najrozmaitszych dziedzin: Górski K. Poezja jako wyraz, próba teorii poezji, Toruń 1946 — Kleiner J. Tragizm, Lublin 1946—Łopatyńska L. Motyw literacki. Twórczość 1946—Milewski T. Język a literatura, Wiedza i Życie, 1946 —Rospond S. Pisarz i jego słowo, Zeszyty Wrocławskie, 1947 — Wyka K. Czas jako element konstrukcyjny powieści, Myśl Współczesna, 1946. — Nadto referaty i komunikaty w Sprawozdaniach, PAU (Dłuska, Ingarden, Krzyżanowski, Skwarczyńska, Szuman), TNW (Krzyżanowski), wreszcie podręczniki szkolne K. Budzyka i St. Jerschiny, nie mówiąc o drobniejszych artykułach w tygodnikach oraz w periodyku „Zagadnienia Literackie".

tych precyzyjnie ujmować nie umiemy. Ostatecznie nie byłoby w tym nic groźnego, gdyby nie to, że wiadomości z zakresu stylistyki, metryki, poetyki, tematologii i in. składników nauki o literaturze wprowadza się do szkoły, że w związku z tym poczyna się drukować najrozmaitsze żałosne podręczniki, łatwo więc sobie wyobrazić, jaki chaos musi panować w głowach, dla których rzeczy te się przeznacza, i jaki panować będzie nadal, dopóki nie otrzymamy książki, która jasno powie, co czarne a co białe, co istotne a co pozorne. Myślę zresztą, że nie stanowimy wyjątku. Dzięki rzadko u nas spotykanej uprzejmości jednego z kolegów, otrzymałem przed kilku tygodniami ostatnią nowość amerykańską, okazały „Słownik Literatury Światowej“, sporządzony przez stu kilkudziesięciu współpracowników pod redakcją krytyka J. T. Shipley'a a obejmujący sprawy „krytyki, form, techniki“ [2]). Podziwia się w nim precyzję pewnych ujęć, niesłychanie nieraz zwięzłych, a jednak wnikliwie i wyczerpująco przedstawiających zagadnienia nawet najbardziej zawiłe. Równocześnie jednak spostrzega się w bardzo wielu wypadkach, że elementy nawet zupełnie pospolite, wskutek nazwania ich paru terminami, pojawiają się kilkakrotnie w różnych opracowaniach, bardzo nierównych, że drobne osobliwostki górują nad sprawami istotnie ważnymi, że ostatnie ujęte są nieraz w sposób bardzo daleki od poprawności. Gdy się o tym pamięta, łatwiej jest rozgrzeszyć naszych, niekiedy mocno naiwnych teoretyków literackich, ich biedzenie się nad rozwiązywaniem problemów, które w proponowany przez nich sposób dawno już dobrze rozwiązano, ich odkrywanie nowych światów, dawno oznaczonych na mapach, które do nas jakoś nie dotarły, nawet pewność siebie, nie pozwalającą im dostrzec, że poruszane przez nich sprawy są daleko głębsze, aniżeli im się wydaje.

Tych parę cierpkich zdań ogólnych, wynik cierpliwej wędrówki po rozmaitych „oślich łąkach“, ma na celu po prostu zwrócenie uwagi na ważność roztrząsań teoretyczno-literackich, ale roztrząsań stawianych i ujmowanych poprawnie i dzięki temu zdolnych dać wyniki prawdziwe czy przynajmniej prawdopodobne, choć niejednokrotnie bardzo odległe od

---

2) Dictionary of World Literature, London, Routledge, 1945, s. 633.

poglądów, które od czasów Arystotelesa powtarza się „in verba magistrorum".

2. Za jedną z niewątpliwych zdobyczy ruchu, tak mało pochlebnie przed chwilą przedstawionego, uznać trzeba odczucie bardzo ścisłych związków, zachodzących między zjawiskami literackimi a językowymi. Odczucie to jednak nie doprowadziło dotąd do ustalenia terminów, które pozwalałyby nam jasno dostrzegać, na czym owe związki polegają. Nie wdając się w dociekania szczegółowe, na które nie tutaj miejsce, powiem, że chodzi mi o to, co nazywam językiem artystycznym, a co inni nazywają językiem literatury lub poetyckim. Nazwa „język artystyczny" wydaje mi się właściwsza, bo wskazuje, iż chodzi tu o język tworzony przez pisarza z elementów jakiegoś języka potocznego, a więc literackiego, t. j. używanego przez elitę kulturalną, która wydaje twórców i odbiorców literatury, lub gwarowego, obojętna, czy będzie to mowa chłopa, robotnika czy proletariusza stołecznego lub małomiasteczkowego, lub wreszcie z najrozmaitszych kombinacyj składników języka literackiego i gwary. Sam wybór owych elementów, z dodaniem do nich najrozmaitszych innych domieszek, odległych czasowo czy przestrzennie lub powstałych w pracowni samego pisarza, świadczy o mniej lub więcej świadomym, celowym wysiłku artysty słowa i z takiego postawienia sprawy wynikają dalekosiężne konsekwencje dla wszelkiego rodzaju rozważań teoretyczno-literackich niemal we wszystkich ich dziedzinach. M. in. konsekwencje terminologiczne.

Jedna z nich dotyczy wielokrotnie ustalanej nazwy stylistyki. Gdy się rozumie język artystyczny w sensie wyjaśnionym poprzednio, wątpliwości ulegać nie może, że stylistyka jest nie czym innym, lecz tylko gramatyką języka artystycznego, sprawą zaś człowieka, który sprawami gramatycznymi się zajmuje, będzie wyciągnąć stąd płodne dla siebie wnioski. Najważniejszy z nich będzie brzmiał zapewne, że praca stylistyka, a więc badacza spraw stylistycznych, obejmie stadia takie same jak praca gramatyka, co jednak bynajmniej nie znaczy, by w obydwu rodzajach pracy te same stadia były jednakowo doniosłe. Po prostu dlatego, że w języku artystycznym mogą istnieć i kwitnąć pewne zjawiska, które w języku

potocznym występują w postaci zarodkowej lub szczątkowej, doniosłość więc ich tu i tam będzie zupełnie różna i w konsekwencji zażąda ona nieco, a może nawet bardzo różnego ich badania w obydwu bliźniaczych, ale nie pokrywających się z sobą całkowicie dziedzinach.

Dotyczy to równie dobrze słownictwa jak składni obydwu języków, ich zasobów leksykalnych i syntaktycznych, co zresztą wiadomo od czasów Arystotelesa, ale sprawa bynajmniej w obrębie tych dwu grup się nie zamyka. Tym mniej oczywiście mówić można o składnikach którejś z nich drobniejszych i w nich właśnie doszukiwać się podstawowej różnicy między słowem artystycznym a potocznym. A tak się właśnie robi i u nas i nie tylko u nas.

Myślę tutaj o tym, co w Grecji nazwano „tropem" (zwrotem), a co u nas najsłuszniej będzie nazwać „obrazem słownym". Terminem tym oznaczam układ wyrazów tak zbudowany, iż przez zastąpienie jednego z nich innym, znaczeniowo doń zbliżonym, całość układu otrzymuje nowe znaczenie, odbiegające od literalnego wyrazistością lub przynajmniej przykuwające uwagę swą nowością czy niezwykłością. Gdy w zdaniu „dzięcielina (koniczyna) czerwieni się" wyraz drugi zastąpimy „panieńskim rumieńcem pała", znaczenie podstawowe ulegnie wzbogaceniu przez skojarzenie barwy z wyobrażeniami wtórnymi, tak że powstanie swoisty obraz, posiadający nadto swoiste zabarwienie uczuciowe. A coś podobnego nastąpi przy użyciu zwrotów „pola malowane zbożem", „gryka jak śnieg biała", „w żelazie chodzili od stopy do głowy", czy wreszcie „za ten wąs czarny życie bym dała". Takie spojrzenie na trop częściowo tylko pokrywa się z jego klasyczną definicją, głoszącą, że „trop jest to wyrażenie o znaczeniu przeniesionym z naturalnego i podstawowego na jakieś inne celem przyozdobienia mowy, lub — jak głosi wielu gramatyków — powiedzenie przeniesione z miejsca właściwego na niewłaściwe" [8]). Od jakości i ilości tropów, zwłaszcza jednorodnych, zależy w znacznej mierze charakter języka artystycznego, przy czym rozpiętość odmian jest tu ogromna, sięga bowiem od „attyckiej" prostoty po „azjańską" kwiecistość,

---

[8]) Quintilianus, De institutione oratoria 9, 1, 4.

stwierdzenie to jednak nie znaczy wcale, by obrazy słowne były czymś obcym językowi potocznemu, ani też by rodziła je w języku artystycznym tylko „skłonność do przyozdobienia mowy“.

3. Dla zilustrowania tych poglądów wybieram dwa obrazy słowne, w nowszej praktyce pisarskiej mniej stosowane a nastręczające sporo — jak się okaże — wątpliwości, zamiennię i omówienie. Pierwszym z nich zajął się już Arystoteles i, jak wiadomo, ujął go niekoniecznie trafnie w swych uwagach nad... przenośnią[4]). „Metafora — czytamy u Stagiryty — jest to przeniesienie obcego wyrazu z rodzaju na gatunek, lub z gatunku na rodzaj, lub z gatunku na gatunek, lub na zasadzie analogii“. Znaczy to po prostu, że w danym obrazie słownym zamiast wyrazu znaczącego rodzaj (w sensie logicznym) stawiamy wyraz znaczący gatunek lub odwrotnie, oraz że..., ale dwa drugie wypadki nas tu nie interesują, zająć się nimi wypadnie dalej. Zdanie uczonego Greka wywoływało i wciąż jeszcze wywołuje sprzeciwy, płynące stąd, że pod jednym dachem zgromadził on zjawiska niezupełnie takie same, tak że już jego uczniowie, nauczyciele retoryki, rozbili je na dwie grupy, oznaczając pierwszą z nich, zawartą w pierwszej parze jego alternatyw, mianem metonimii tj. zamienni, zwłaszcza postaci jej pozornie samodzielnej, zwanej synekdochą tj. ogarnieniem. Jeśli więc przedmiot (gatunek) zastąpimy materiałem, z którego go sporządzono (rodzaj), człowieka pracującego zaś organem, którym pracę wykonywa, a więc częścią ciała lub narzędziem, jeśli zamiast liczby określonej postawimy nieokreśloną, lub odwrotnie liczbę mnogą zastąpimy przez pojedynczą, otrzymamy najpospolitsze wypadki metonimii. A więc „w żelazie chodzili“ tj. w zbrojach, „wszak gdy wstąpił w progi moje“ tj. w dom mój, czytał Słowackiego tj. jego dzieła, podziwiał pędzel Matejki tj. jego obrazy, „nie uciekaj dziewczę lube, moje sto tysięcy“ tj. „krocie“, „Hiszpan na świeżej zamku ruinie“ tj. Hiszpanie — oto przykłady, ilustrujące podane poprzednio formuły.

Skąd się zamiennie biorą? W języku artystycznym pod-

---

[4]) Z „Poetyki“—przytoczone za rozprawą J. Kreczmara „O przenośni u Arystotelesa“ (Prace ofiarowane Wóycickiemu), gdzie zresztą sprawę wyjaśniono całkiem inaczej.

stawą ich czy źródłem jest oczywiście język potoczny, w nim zaś wynikają, podobnie jak przenośnie, a może nawet i wszystkie inne tropy, z naturalnych niedomagań psychiki ludzkiej, z ułomności obserwacji, uwagi i pamięci, oraz z równie naturalnych ułomności języka, nie posiadającego dostatecznego zasobu wyrazów dla odtworzenia wszystkich odmian i odcieni zjawisk, które w nim dochodzą do głosu. Wiedział coś o tym już gramatyk starożytny [5]), wie o tym dzisiejszy badacz zjawisk językowych [6]). Namacalnym przykładem naturalnej metonimiczności języka są przecież doskonale nam znane nazwy narodów: Francuz nazywa Niemca Allemand, co wywodzi się od Alemanów, plemienia, z którym Gallowie niegdyś bezpośrednio się stykali; język i mieszkańców Holandii określa Anglikowi wyraz Dutch, w postaci innej „deutsch" stosowany do siebie przez Niemców jako całości; łotewska nazwa Rosji brzmi Krevija, od plemienia Krywiczów; my mieszkańców Italii nazywamy Włochami, co wywodzi się od średniowiecznych Gwelfów, itd. itd. Wszędzie tutaj nazwa pierwotnie gatunkowa, obejmująca grupę najbliżej znaną, z biegiem wieków stała się rodzajową, obejmującą zespół grup plemiennych, naród. Przykładem innym mogą być przekształcenia imion własnych w pospolite, nazywanie wyrobów nazwiskami wytwórców (rower, ford, manlicher), dzieł nazwiskami autorów (nie znalazłem tego ani w Korbucie ani w Estreicherze), pewnych typów ludzkich imionami osób powieściowych, niegdyś popularnych (banialuka, lowelas, don kiszot); tu należą wreszcie wypadki takie, jak urbs = Rzym, jak Stambuł = miasto (is tan polin — do miasta) i wiele innych. Wyobrażam sobie, że o naturalnej metonimiczności języka potocznego napisać by można fascynującą książkę, obejmującą pochodzenie wyrazów tak pospolitych jak „król", „cesarz" i wielu innych, których pierwotnego sensu i funkcji nikt zgoła dzisiaj się nie domyśla. Tylko że tam, gdzie sprawy potrącą o język artystyczny, zapomnieć trzeba o popularnym dzisiaj nie tyle poglądzie ile przesądzie, że w języku tym wyrażają się przede wszystkim (czy może nawet jedynie) stany uczuciowe, tak jak gdyby intelekt był jakimś osobliwym (metonimia sama się narzuca!) kopciuszkiem.

[5]) Cicero, De oratore 3, 38.

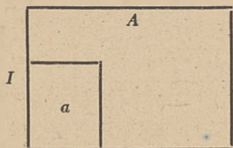
[6]) Bally Ch., Traité de stylistique française, 1909, 1 s. 184 nst.

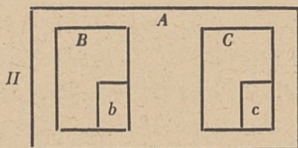
Uwaga ostatnia nabiera siły, gdy się pamięta, że zalewowi poezji przez zamiennię patronował intelekt właśnie i że procesowi temu zawdzięczamy jej władztwo w pewnych okresach nowoczesnego życia literackiego. Stało się to w starożytnej Aleksandrii, gdy poezja jęła rywalizować z nauką i rozmiłowana w tematyce naukowej posługiwała się nią w dziełach zwanych poezją opisową bądź wręcz uczoną (docta poesis). Wierszowane rozprawy o astronomii, pszczelarstwie, hodowli bydła, myślistwie, rybołówstwie itd. itd. nie mogły przemawiać ścisłym „suchym" językiem nauki, ich czytelnika trzeba było częstować czymś odmiennym, apelować do jego inteligencji, stawiać go wobec takich czy innych zagadek, które uwagę jego utrzymałyby w napięciu. I tu właśnie metonimia okazała się środkiem niezwykle przydatnym. Zamiast wyrazu oczekiwanego, pospolitego, podstawiało się jakiś inny, odległy, niespodziewany, wymagający pewnego, nieznacznego oczywiście, wysiłku kojarzeniowego. Inteligentny czytelnik musiał sobie to i owo dodać czy dopowiedzieć, by chwycić poprawnie myśl autora. Dzięki temu, oraz dzięki krzyżowaniu metonimii z innymi obrazami słownymi, zwłaszcza z przenośnią, pojawiała się w poezji uczonej swoista aura niezwykłości. Aura, która i dzisiaj jeszcze może niekiedy zabawić, kiedy indziej zaś dokuczyć. Gdy czytamy „Konrada Wallenroda", metonimia „o wschodzie słońca zagrały spiże" jest nam zupełnie jasna, wiemy, że chodzi tu o armaty. A jednak zasłużony tłumacz poematu na angielski, zwiedziony może znajomością jednego z wierszy „Pana Tadeusza", napisał tu "Bells clang at sunrise" (o wschodzie słońca zadzwoniły dzwony) [7]). Łatwo sobie wystawić, ile krwi może napsuć takie potknięcie się komentatorowi, któremu się wydarzy.

4. A wydarza się często tam zwłaszcza, gdzie w grę wchodzą dwa dalsze wypadki, kończące definicję Arystotelesa, gdzie „przeniesienie" zachodzi między gatunkiem a gatunkiem lub opiera się na analogii. Taki obraz słowny, stanowiący odmianę metonimii, zwiemy omówieniem, z grecka peryfrazą. Od zwykłej zamienni różni się on odległością związanych w układ wyrazów, która sprawia, iż zachodzące mię-

[7]) Konrad Wallenrod translat. by G. R. Noyes, Berkeley 1925, 57.

dzy nimi związki trzeba odgadnąć, umieć ustalić ich stosunki logiczne. Najprościej chyba rzecz wyjaśnia wykres. W kwadracie pierwszym mamy normalne zastąpienie rodzaju *A* przez gatunek *a* lub odwrotnie; w wypadku drugim rodzaj *A* (mówca) obejmuje kilka gatunków, powiedzmy *B* (Rzym) i *C* (Polska), każdy zaś gatunek klasy osobników, *b*, *c*; podstawiając zamiast *Cc* odmianę *Cb*, otrzymamy typową peryfrazę; nazwanie autora „Kazań sejmowych" polskim Cyceronem, będzie tu wypadkiem najprostszym; westchnienie Syrokomli: „Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy, jak bardy kaledońscy, jak greccy żebracy", tj. pisarze jak Walter Scott i Homer, ilustruje sytuację bardziej zawiłą, pozwalającą mówić o zastosowaniu analogii.





Peryfraza, spotykana również w języku potocznym, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o „niewywoływanie wilka z lasu", nabiera charakteru niemal zagadki, ilekroć rozrasta się i z krótkiego układu wyrazów zmienia się w dłuższy układ zdań, słowem gdy staje się obrazem poetyckim, bo tak nazwiemy ów układ wyższy. Dzieje prac Heraklesa w „Odzie do młodości" („dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze... do nieba sięgnie po laury"), przeznaczone dla czytelnika obeznanego z mitologią grecką, są najtypowszym wypadkiem tej odmiany peryfrazy. Wypadkiem daleko trudniejszym są peryfrastyczne tyrady Masynissy w „Irydionie", przedmiot tylu komicznych nieporozumień wydawców dramatu Krasińskiego, którzy wypisywali tu nonsensy lub, co na jedno wychodzi, pozostawiali monologi demona bez wyjaśnienia, jak gdyby były one zrozumiałe już na pierwszy rzut oka.

Peryfrazy tego rzędu przyjęły się i wybujały nadmiernie znowuż na gruncie „uczonej poezji" aleksandryjskiej, po której dziedziczyli je pisarze-klasycyści wieków i narodów późniejszych; że zaś robili tak nie tylko klasycyści, dowodzi nazwisko Krasińskiego, który — jak się okaże — nie stanowi wy-

jątku. Specjaliści od poezji opisowej, przez tematykę swych dzieł skazani na suchość wykładu naukowego, poszukiwali zamienni coraz osobliwszych i tak automatycznie wkraczali w świat peryfraz. Z biegiem czasu ustaliła się topika peryfrastyczna, tj. seria typowych pomysłów, mających wyrażać pewne czynności, zbyt pospolite i banalne, by je nazywać po imieniu, topika, której zasad przez wieki uczono w szkole. Ilekroć więc chodziło o daty kalendarzowe, o określanie czasu, o dane geograficzne, o wiadomości meteorologiczne, o codzienne zajęcia niewolnicze, tam wprowadzano peryfrazę. W pięknej elegii „De vita sua" Janicius, zamiast podać, iż urodził się 17 marca 1516, pisze: „Dzień mych urodzin był czwarty po marca połowie, gdy światło słoneczne bije z środka nieba, w czasie, gdy nasz król złożył żałobę wywołaną przez śmierć żony, sławnej a ku żalowi wszystkich zagasłej Barbary, zrodzonej z krwi wilka z Trenczyna". Podobnie dalej wykuwanie zasad gramatyki i metryki łacińskiej przedstawił jako pracę w chórze Apollina, który, ubłagany przez przyszłego poetę, skinął batutą i wręczył uczniowi narzędzie muzyczne. Młody znowuż Mickiewicz, chcąc ustalić wiek swej heroiny, ukazał go w pięknej peryfrazie:

A chociaż wiekiem od młodej jutrzenki
Pod lat niewieścich schodziła południe,
Oboje, dziewki i matrony wdzięki
Na jednym licu zespoliła cudnie.
Powagą dziwi a świeżością znęca,
Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie...

Ten sam poeta w arcyromantycznej odzie do poezji, włożonej w usta Konrada, niemoc nauki, obserwacyj astronomicznych, dokonywanych przy pomocy teleskopu, ujął w pełnym siły obrazie:

I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklane weźmie skrzydła, ciebie nie dolata,
Tylko o twoję mleczną drogę się uderzy...

Czyż trzeba dodawać, że peryfrazą jest również w „Fortepianie Szopena" zwrotka z aluzją do Pigmaliona i jego posągu?

I uwierz, znając te fakty, zapewnieniu podręcznika szkolnego, iż niepodobna sobie wystawić jakichkolwiek związków

między „systemami językowymi“ romantycznym, rozmiłowanym w przenośni, i klasycznym, chętnie stosującym metonimie! Co prawda zresztą, metonimie i peryfrazy romantyczne są wysoce zawiłe, zawierają sporo przymieszek metaforycznych, zaciemniających ich charakter istotny. Skoro jednak robimy studia stylistyczne, to róbmy je precyzyjnie!

Popularność peryfrazy nie wygasa jednak z zanikiem poezji romantycznej, wręcz przeciwnie, pewna jej odmiana rozwija się u klasycystów epoki pozytywizmu i w spadku po nich przechodzi do neoromantyków. W czasach mianowicie, gdy „sałatę“ warszawskiego nazywano uroczyście automedonem, ulicznice zaś koryntiankami, rozkwitła u nas proza ironiczna, uprawiana m. in. przez Świętochowskiego i Sienkiewicza, przez Szujskiego i Lama. Nawiązywała ona do tradycyj, wprowadzonych niegdyś, dla zmylenia cenzury, przez Montesquieu w „Listach perskich“ (1721), w których znane wydarzenia z kroniki paryskiej wola pisarza przeinaczała w kawały i koncepty rzekomo orientalne. U nas powstał podówczas — zwłaszcza w Warszawie — język umowny, zrozumiały dla czytelnika, niepojęty dla cenzora, operujący właśnie aluzjami i tworzonymi z nich peryfrazami. Tak więc Sienkiewicz w czasach, gdy zagadnienia walki o odzyskanie niepodległości w publicystyce warszawskiej poruszać nie było można, a podobnie było i z dziełami sztuki, w rozmowę między człowiekiem swoich czasów, a pustelnikiem kalifornijskim, niegdyś bojownikiem o niepodległość, wplótł taki oto ustęp:

> — Co słychać w ziemi naszej?
> Rozpuściłem język jak kołowrót, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich szanowna jego głowa kiwała się smutno — lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pytania, zawsze tymże poważnym i niewytłumaczonym dla mnie stylem.

Czytelnik „Wspomnienia z Maripozy“ zamiast Galileuszowego „eppur si muove“ wstawiał tu prawdopodobnie „Jeszcze Polska nie zginęła“, bo w lot chwytał myśl pisarza.

Wychowankiem pisarzy, którzy tę odmianę stylu peryfrastycznego doprowadzili do doskonałości, był m. in. Żeromski

i tym się tłumaczy cały charakter pamiętnika studenckiego („Mogiła“), ujętego w zwrotach, rodem z głośnych „czwartaków“ studenckich i literackich Warszawy ok. r. 1890, nadto zaś całe partie i „Opowiadań“ i „Ludzi bezdomnych“, a wreszcie całe stronice Rafałowych przygód w „Popiołach“. Do zabawniejszych próbek w tej dziedzinie należy parodystyczne przedstawienie haseł pozytywizmu, łączące żargon cyganerii dziennikarskiej z patosem paraboli ewangelicznej:

> Pan Teodor Bijakowski (vel Bijak) ukończył Instytut Komunikacji w tym właśnie okresie, kiedy nieuniknione warunki ekonomiczne roztworzyły pugilares, szepcąc: zagrabiaj, o piękny posągu!... Nie tylko tendencja pisarstwa śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświetlała jego postać ogniami bengalskimi, ale jeszcze, na domiar szczęścia, panny mądre, które, jak wiadomo, najsprytniej umieją zwąchać ducha czasu, zapaliły znienacka lampy swe, odsłoniły łona łabędzie i, czuwając, oczekiwały na kołatanie pozytywnego oblubieńca.

I znowuż, jak w wypadku romantyków, a zresztą nie tylko u nich, peryfraza wchłonęła tutaj mnóstwo innych elementów stylistycznych, dzięki którym jej ekspresja obrazowa ogromnie wzrosła, równocześnie zaś uwypukliła otocze uczuciowe, w danym wypadku ironię, jak w innych żal czy patos.

5. Wniosków z rozważań podjętych tutaj wysnuć by można sporo. Do oczywistych będzie należało stwierdzenie bardzo ścisłych związków, zachodzących między językiem artystycznym a potocznym, przy równoczesnym zaznaczeniu istnienia poważnych różnic dostrzegalnych między obydwiema dziedzinami środków wyrazu. Niemniej oczywiste będzie również stwierdzenie związków między charakterem zjawisk literackich, samych dzieł i zbiorowej produkcji literackiej całych okresów, a charakterem stosowanego w nich języka artystycznego. Dobrowolnie nałożone a z natury badanych spraw wynikające ograniczenia sprawiły, iż w szkicu nie wystąpiły ani ściśle związki zachodzące między różnymi kategoriami obrazów słownych, modyfikujące w pewien sposób ich siłę wyrazu, ani też sprawa stosowania obrazów jednorodnych lub spokrewnionych, sta-

nowiąca o jednolitości szaty stylistycznej i stylowej zjawisk literackich. Bliższe zajęcie się sprawą ostatnią pozwoliłoby np. na uchwycenie istotnej różnicy między „stylem uogólniającym“, opartym na nagromadzeniu zamienni i omówień, a „stylem konkretyzującym“, opartym na przenośniach. Są to jednak zagadnienia raczej specjalne. Poprzestając na ich szkicowym tylko ujęciu, chciałbym przecież pewien nacisk położyć na wniosek najogólniejszy: owocne badania stylistyczne, jure caduco włączane do teorii literatury, są istotnie owocne dopiero wówczas, gdy poprawnie posługują się starannie zebranym materiałem faktów literackich i językowych i od niego wychodzą w swych konstrukcjach.

BIEDNY MAZURZYNA

To Lenartowicz powiedział tak o sobie w r. 1855, w liście do przyjaciela: „biedny Mazurzyna". Czy zostawimy poecie to słowo przygodnej auto-charakterystyki? Wyraża ono wcale trafnie osobowość pisarza z Mazowsza, zabłąkanego w dalekim świecie. List bowiem „biednego Mazurzyny" nadchodził do Wielkopolski — z Paryża. Gdzieżby była jego naturalna siedziba? „Mieszkał Mazur blisko Zgierza" — w wesołej anegdocie Mickiewicza. „Mazurowie mili, gdzieście się popili?" — krzyczała dawna piosenka, która rozlega się przez całe wieki przy chudym piwie i gorzałce, po ciemnych karczmach Warki i biskupiego Czerska. Lenartowicz nie słyszy już podobnego śpiewu od r. 1848. Na obrazę własnej nacji, gospodarskiej, statecznie osiadłej, jest to Mazur-pielgrzym, Mazur wędrujący. Wszystkie piaski tego kraju unosi z sobą w oczach, gdziekolwiek się znajduje.

Poezja Lenartowicza wyrosła z Mazowsza. Jej świat stawał się po latach szerszy i bogatszy — w swojej tematyce, przedmiotach i horyzontach. Ale kształtował się najpierw na niewielkiej osi między Wisłą i Bugiem, od Zgierza do Myszyńca. W Brukseli i Paryżu, w Rzymie i Florencji Lenartowicz pielęgnował wspomnienie wsi mazowieckiej, jak obraz utraconego raju. Goniły go po Europie śpiewy, wody i zapachy własnej ziemi. Gdy pisał, cokolwiek zapowiada pióro lub natchnienie, pamięć przywoływała bezładnie pejzaż mazowiecki. Wierzby stoją na wszelkich drogach. Lenartowicz wśród nich, spłakany, gadatliwy, powtarzający te same słowa i pomysły, nostalgicznie wspomina Mazowsze:

Wszystko Italia! laury, bukszpany,
A mnie aż pachnie borek nasz kochany.

On sam, biedny Mazurzyna, zacznie podpisywać się niezadługo „Lirnik mazowiecki“, w zgodzie z sentymentem własnym i patosem epoki. Jeśli w tym życiu i twórczości, nieraz zdrobniałej i manierycznej, szukamy znamion tragizmu, określają one niewątpliwie konflikt osobisty Lenartowicza: ten szczery Mazur, owładnięty przez „kraj lat dziecinnych“, chodzi po Forum Romanum, jak lunatyk. Gdy w pracowni florenckiej bierze przed siebie biały marmur i dłuto, ciągnie go raczej sypki piasek Mazowsza, wygrzany słońcem, nieujęty w formy, rozlewający się swobodną płaszczyzną. Tak talent Lenartowicza brał najpierw siły z tęsknoty, by później z tęsknoty jałowieć.

Jego młodość była trudna. Idąc po niskich szczeblach kariery urzędniczej, Lenartowicz doszedł do stopnia pomocnika referenta wydziału cywilnego w Komisji Sprawiedliwości w Warszawie. Poeci niedługo utrzymują się, jako referenci. Zwłaszcza gdy rok nominacji — 1848 — tyle obiecuje. Rzuciwszy urząd, Lenartowicz postawił na rewolucję. Zagrożony aresztowaniem, jął uchodzić z Warszawy. Dnia 18 sierpnia przekroczył granicę, kierując się z Ostrołęki na Pomorze. Po latach będzie cierpiała pod jego piórem królewna Wanda:

I pożegnała ławy i ściany,
Ławy i ściany i piec gliniany,
I białe żłoby gdzie konie poją...

Najbliższe lata Lenartowicza nie przyniosły wyraźnej decyzji, by emigrować na zachód. Lirnik mazowiecki musiał stąpać po ziemi, z której czerpał siły. Tak potwierdzał mitologię w sposób szczególnie oczywisty. Gdy kluczył na północnych peryferiach Mazowsza, docierając z Brodnicy do Torunia, gdy później oparł się w Poznaniu, w domu Jędrzeja Moraczewskiego, w tych wszystkich ruchach i wahaniach była wyraźna determinacja: nie odchodzić zbyt daleko. Jeszcze borek brzozowy mazowiecki szumiał Lenartowiczowi natrętnie. Ale wydarzenia bieżące oddalały poetę coraz bardziej od kraju, w którym „Mazurowie mili“ swarzą się przy piwie i gorzałce. I Lenartowicz zrozumiał to wreszcie: trzeba wiązać mu sakwy na daleką podróż.

Był to podróżnik nienawykły. Onieśmielał go do końca

obcy świat, nieznany poza Mazowszem. Ani szkoła, ani natura nie uzbroiły go w przedsiębiorczość. Czy wyobrazić sobie łatwo podróże Ludomira, który zbierając pieśni ludowe zawędrował niewiele co przedtym do dworku szambelana Jowialskiego? Była to wędrówka po powiecie, po ziemi, która nie przekracza granic województwa, „między braćmi". Lenartowicz do niedawna mógł ujść za kompana wyprawy Ludomira, skoro towarzyszył Kolbergowi. Ale podróż obecna jest ucieczką. Emigrant nie przypomina etnografa.

Najbliższe itinerarium Lenartowicza układa się dziwnym zygzakiem. Z Poznania na Kraków. Przeżyć wiosnę narodów w cichym zakątku — musiało to być ciekawe jeszcze przed Adolfem Nowaczyńskim. Lenartowicz rzuca w rewolucyjną atmosferę Krakowa mowy i wierszyki, słucha wrzawy pierwszych oklasków, które pokrywają widowiska i recytacje. Nimb emigranta z Królestwa nie jest jeszcze ciężarem, jest wyraźnie aureolą. Lenartowicz czuje ją koło głowy, musi mu dogadzać przy całej skromności.

W nieznanych bliżej warunkach, gdy wiosna narodów jęła najwyraźniej przygasać, Lenartowicz opuszczał Kraków dla Drezna. Czy działały w tej decyzji konieczności policyjne, czy motywy osobiste, już nie podobna ustalić. Bo z dokumentów podróży ocalał tylko tekst oficjalny, wystawiony przez sąd okręgowy w Gliwicach. Biedny Mazurzyna jechał do Drezna w maju r. 1849, kierując się na Gliwice, gdzie przypadł mu nocleg w domu Izaaka Friedmana. Lenartowicz pogrążył się w swojskim krajobrazie. Z Gliwic do Wrocławia miał jechać koleją żelazną, o której dotarły już wieści między naród mazurski. Doskonale znanym szlakiem, z Wrocławia na Drezno, chciał poeta podróżować dalej.

Poprzedzały Lenartowicza wiersze, drukowane w periodykach warszawskich, które już nieraz recytowano w salonach i pokojach redakcyjnych. Sława krakowskiego oratorstwa musiała także dotrzeć do Wrocławia. Wśród studentów Polaków z Uniwersytetu Wrocławskiego Lenartowicz poruszał się z pewną swobodą. Polska była większa, niż lasy pod Ostrołęką. W czasie krótkiego pobytu we Wrocławiu poeta korzystał z opieki dwu akademików, o nazwiskach przechowanych wierzytelnie. Byli to: Julian Wagner, długoletni członek Towa-

rzystwa literacko-słowiańskiego (1847—1851), dostępujący kolejno stanowisk kierowniczych w Towarzystwie, najpierw sekretarz, później prezes, oraz Kazimierz Grudzielski, również członek Towarzystwa w latach poprzednich (1846—1847). Oni to ratowali Lenartowicza z opresji, która mu niespodzianie zagroziła. Opis wydarzenia najlepiej odczytać w prozie urzędowej. Tłumacz sądu okręgowego w Gliwicach, który dnia 18 września 1850 r. mozolnie koncypował ogłoszenie dla „Gońca Polskiego" w Poznaniu (1850, N. 77), nie był zaprawdę pisarzem. Ale ocalił fakty:

> Za donoszeniem Juliana Wagnera i Kazimierza Grudzielskiego, akademików w Wrocławiu, żądał Izaak Friedman, oberżysta tutejszy, od Teofila Lenartowicza, emigranta polskiego z Krakowa, przejeżdżającego w podróży do Drezna w maju 1849 roku, po noclegu u niego, grożąc jemu przed odjazdem z Gliwic, że jego natychmiast wyda Policji, jeżeli mu dwóch louisdorów nie da. Za przybyciem koleją żelazną do Wrocławia, Lenartowicz z Friedmanem, który go schroniąc przed jakimbądź uchwyceniem odprowadził, wsiedli w deruszkę z dwoma innymi Żydami, którzy do nich przysiedli, jadąc z banhofu Górnośląskiego do miasta. Po drodze obriebowali (tak) Lenartowicza miane dwie osoby z pieniędzy gotowych, w ilości 20 dukatów holenderskich, 4 louisdorów, które Friedman wziął, a 8 dukatów, które jeden z tych dwóch Żydów wziął, jako też z wszystkich w tłómaku zapakowanych effektów; po czynie takim wypchnęli Lenartowicza z doruszki a śpiesznie odjechali. Do ukończenia śledztwa potrzeba koniecznie badanie Lenartowicza, jednak nie jest wiadome jego pobycie, dlatego wzywa podpisany królewski Sąd okręgowy Imci pana Lenartowicza i wszystkich, którzy mają o jego pobyciu wiadomość, aby jak najśpieszniej uwiadomienie dali wprost tutejszemu Sądowi lub pobliskiemu sądowemu lub policyjnemu urzędu. Expensa nikomu z tego nie wynikną.

Można wątpić, czy Lenartowicz odczytał ogłoszenie sądowe w druku, czy dopomógł do ukończenia śledztwa. Bowiem w chwili, gdy „Głos Polski" poszukiwał emigranta, dolegały mu nowe ciężary.

Z Drezna wykonał Lenartowicz krok do odwrotu: powrócił znowu w Poznańskie. Czy zawiało wiatrem od strony borków brzozowych i poeta nie przemógł tęsknoty? Dochowane dokumenty z tych lat nie powiedzą wszystkiego o człowieku.

Ale z początkiem kwietnia r. 1850 Lenartowicz znalazł się pod Inowrocławiem, w mająteczku Sielcu, który należy do Jana Mittelstaedta, „poczciwego Jana“. Spędza tu „wolne chwile jako tako“. Jest coś melancholii w tych paru słowach, dola emigrancka uciska.

Ale niebawem dwór w Sielcu ogarnął popłoch, co się zowie. Ku schyłkowi lipca lub na początku sierpnia 1850 r. nadeszły wieści od landratów, że rozpoczną rewizje po domach obywatelskich,

> czy gdzie nie ukrywają się emigranci, — dalej — po wszystkich pocztach mają odtąd wypytywać się o legitymacją itd., to bieda, bracie.

Lenartowicz waży nowe postanowienia, niełatwe do powzięcia. Gdy zamierza uchodzić z Sielca — gdzie? na jak długo? — aby zmylić ślady poszukiwań policji, dobrze znanym polskim wybiegiem, zabłysła mu myśl o Wrocławiu. Biedny Mazurzyna chce jechać do Wrocławia. Gdy zafrasowany Janek Mittelstaedt zapytuje, kiedy? — poeta odpowiada, że „najdalej koło dziesiątego (sierpnia)“. Radby wybrać się razem z Faustynem Meszyńskim, studentem filologii w Uniwersytecie Wrocławskim, bywałym we Wrocławiu od lat (członek Towarzystwa literacko-słowiańskiego 1844—1846), przezwanym familijnie Meszem, Mechem, Kubą, dobrym przyjacielem. Jednego żal w dotychczasowej spokojności:

> Na wsi, jak wyjdę w pole, a spojrzę w górę, to cały okrąg nieba widzę nad sobą, niby ogromne modre oko Ojca Stworzyciela. W mieście, wlokąc się po gorących kamieniach, ledwie gałgan chmury ujrzeć można w górze nad dachami, poszarpany, brudny.

Gdy pomyśleć o Wrocławiu pod niebem wsi kujawskiej, szeroko rozpiętym, Lenartowicz pochmurnieje. Ale silna grupa młodzieży polskiej, już raz doświadczona, daje pewne warunki bezpieczeństwa. Lenartowicz, łatwy w pożyciu, serdeczny, z bogatym pogotowiem przyjaźni, przylega do ludzi bez trudu. Jego związki z Ewarystem Estkowskim, redaktorem pisma miesięcznego „Szkółka dla dzieci“, zapewniają poecie cały łańcuch spotkań z młodzieżą wielkopolską, która przechodzi przez Uniwersytet we Wrocławiu. Toć i sam Estkowski wrocławczyk. Przez niego

Lenartowicz musiał zyskać całą grupę, w której rozpoznajemy kilka twarzy: to najpierw Kuba Meszyński, Jan Wolfram, wyborny filolog, Marceli Ulkowski, który uprawiał popularyzację historyczną, Leon Kapliński, regionalny poeta i malarz, Leon Wegner, szczególnie bliski Lenartowiczowi, ks. Jan Respondek, żarliwy wielbiciel. Wszyscy oni stanowili wygodny i szeroki pomost do Wrocławia, którym emigrant z Mazowsza mógł przejść swobodnie. I chyba nieraz w gawędzie wielkopolskiej pojawił się obraz śląskiego miasta, wraz z uniwersytetem, do którego ciąży cała prowincja.

Niepokoje nie zmalały i poeta gotuje się do wyjazdu, pełen niepewności. Nawet przyśpiesza jego datę. Już 6 sierpnia 1850 r. donosi z Wrocławia Estkowskiemu, że stanął u celu „zdrów, dzięki Bogu". Ale jest w tym niejaka przechwałka. Bo u końca listu znajdują się słowa:

Smutny jestem, niespokojny, niecierpliwy.

Łatwo wyrozumieć ten stan ducha w żywocie emigranckim, gdy zasoby materialne szczupłe a losy najbliższe nieznane. Tak biedny Mazurzyna przesuwa się przez Wrocław, który obojętnie ogląda jeszcze jednego poetę, tropionego przez niepokój. Borek mazowiecki już nie szumi, oddalił się i zacichł.

Faustyn Meszyński towarzyszy poecie bodaj od Poznania. Okazał całą pieczołowitość Mazurowi. Wziął go do siebie na kwaterę studencką, przy Neue Taschen-strasse N. 4 (dziś Kołłątaja). Tu właśnie Lenartowicz oczekuje wszelkiej korespondencji. I waha się ciągle, co począć. Bo traktuje Wrocław, jako etap tułactwa — do Austrii. Tymczasem okazało się po przyjeździe, że paszport pruski nie wystarcza do przekroczenia granicy, że konieczna jeszcze wiza austriacka z Berlina. Lenartowicz ubiega się o nią z pewną emocją. Chciałby zdobyć jakąś wiedzę o kraju, któremu się powierza. W Graefenbergu, na Śląsku austriackim, siedzą na kuracji znajome panie (z Krakowa? czy jeszcze z Warszawy?), „moje kobiety". Lenartowicz dociera do nich pocztą. Ale odpowiedź nie nadchodzi. W ruchliwości, która nakłada maskę na niepokój, poeta jedzie z dobrym Meszem do Salzbrunn, po to jednak, by napotkać „kilka głupich figur warszawskich". Ludzie, ludzie wokół Lenartowicza! Odbyta wreszcie wycieczka do Graefenberga nie daje nic dla ustalenia losu osobistego, ale zbliża poetę do licz-

nej grupy polskiej z Królestwa, Galicji, Księstwa. Spotkania te dają obraz kraju pod zaborami. Nowiny są groźne i dotkliwe. Niczym w epilogu „Pana Tadeusza": biją z Polski „jak dzwon ze smętarza". Poeta słucha ich surowo, z wielkim smutkiem:

Bardzo gorzkim chlebem dzielę się z tobą, mój przyjacielu.

Już kilka miesięcy temu Julian Klaczko patrzył ze zdumieniem, kiedy Lenartowicz „jak cień przekradał (się)" ulicami Poznania. Emigrant nauczył się cichego kroku, który dozwala mu ginąć w tłumie, gdy tego pragnie lub potrzebuje. Tak właśnie, w swoim zmartwieniu, chodzi po Wrocławiu. Nie dba o to, że przed rokiem drukował tu swoją „Szopkę" (1849). Stąpa „po gorących kamieniach" z trudem i przykrością. Ten neurastenik, ulegający łatwo wszelkim nastrojom chwili, przeżywa lato 1850 w upadku sił i ducha. Wrocław gniecie go rozmiarem i wielkością. Jest szary i pospolity, z tym gałganem chmury, rozpostartym nad plątaniną ulic i placów. Do Mazura z łachy wiślanej nie przemówił kamień gotycki, choć ułożony równie stromo i strzeliście, jak w niektórych klasztorach Mazowsza. Metafora Lenartowicza: „lilie marmurowe i kamienne" — na wyrażenie całej architektury gotyku, służy w jego korespondencji opactwu Westminsteru, nie zaś pięknu Wrocławia. Niedawno sam obraz Gopła poruszył w jego pamięci całe złoża historii: powierzchnią jeziora szła w oczach poety baśń kołodziejska, żywa, szukająca głosu. Po Wrocławiu chodzi Lenartowicz niemy. Postacie Piastów śląskich, wyciągnięte w materiale rzeźbiarskim, ani razu nie skinęły ku niemu berłem czy rękawicą. Lenartowicz przemyka się po Wrocławiu bez słowa i bez dłuta.

Ledwie w swoich wzruszeniach dostrzega ludzi, z którymi mieszka. Rok akademicki jeszcze nie rozpoczęty, ale młodzież polska wyroiła się w mieście. Otacza poetę zespół członków Towarzystwa literacko-słowiańskiego wiankiem swoich spraw i zamiarów. Estkowski nakazuje Lenartowiczowi, by rozejrzał się w trudnościach, jakie napotyka żyd, gdy zapragnął należeć do Towarzystwa literacko-słowiańskiego. Lenartowicz przysłuchuje się sporowi z wyraźną dezaprobatą:

zapewne, że to zakrawa na średniowieczność, studenci nie powinni byli sobie tak postąpić...

Kazimierz Szulc, prezes Towarzystwa, gdy go Lenartowicz zagadnął w tej sprawie, zwalił winę kłótni na Tomasza Berwińskiego. Trzeba jego właśnie jednać i łagodzić. Lenartowicz wziął sobie spór do serca, choć nie powiedział, o kogo szło (przecież nie o Augusta Mosbacha, później zasłużonego historyka?).

Akademicy otaczają poetę kołem coraz ciaśniejszym: chcą okazać mu projekty wydawnicze. Ambicjonuje się nimi ruchliwy Kazimierz Szulc, choć Lenartowiczowi wszystko teraz nie do smaku:

> W Wrocławiu od Nowego Roku mają zamiar akademicy wydawać pismo polskie — nie wiem, co to będzie — nie przesądzam, ale i nie wróżę. Między młodzieżą nie ma żadnej spójni.

Niewątpliwie dla planów tych pragną pozyskać Lenartowicza, który w tobołkach podróżnych uwozi drobne rękopisy. Namowy muszą być natarczywe. „Znicz", pismo zbiorowe młodzieży polskiej we Wrocławiu, wydany pod redakcją Kazimierza Szulca (poszyt 1 w r. 1851), ma żywot krótki, na potwierdzenie obaw Lenartowicza. Ledwie starczyło „spójni" czy zasobów akademickich na poszyt 2, ogłoszony drukiem w r. 1852. Ale w nim, zaraz na czele, z wyraźną zatem ostentacją (str. 1-5) poszły dwa wiersze „Znicz" i „Do poezji", sygnowane imieniem „Teofil". Tak wypłacił Lenartowicz dług gościnności, zaciągnięty wobec studentów we Wrocławiu. Ale nastąpiło to później, z Wielkopolski, w ciągu r. 1851.

Pogodna myśl zbliża się do poety we Wrocławiu tylko raz jeden: na zapowiedź „dziecięcia" w domu przyjaciela, Ewarysta Estkowskiego. Wówczas „chłopska dusza" Lenartowicza pręży się po szlachecku:

> Jeśli będzie syn, tedy przyjadę na chrzciny, to go tam podniesiem na krzywych pałaszach.

Ale w roku, pełnym melancholii, nie przyszło do użycia krzywuł, nawet dla podobnej okazji: wystarczył błahy wierszyk „Nad kołyską Zosi". List Lenartowicza do Estkowskiego, datowany we Wrocławiu, dnia 23 września 1850 r., pełen słów, obrazów i błogosławieństw, jest wolny od troski ogólnej i osobistej. Poeta rozrzewniał się łatwo i wówczas ulegał afektacji.

Inną radość sprawił mu nieoczekiwanie „bogaty Turek",

napotkany w Graefenbergu: gdy powiedział, że Bem nie przyjął Islamu, że prowadzi tylko grę polityczną. Wiadomość ta była dla Lenartowicza pociechą w smutku narodowym.

Kiedy zawodziły wszelkie rachuby na wyjazd do Austrii, podróżny uznał, że trzeba nawracać w stronę borków mazowieckich, to znaczy do Wielkopolski. Jak długo siedział we Wrocławiu, nie podobna wyliczyć. Ale starczyło tego pobytu, by z kalety emigranckiej wyciągnąć resztę pieniędzy: już w niej teraz „grosza ani krzty, nie poświeć". Z początkiem września roku następnego 1851 Lenartowicz, jako rezydent patriotyczny, bawi w Miłosławiu. Przekreślił wówczas ostatnie nadzieje na wyjazd w świat przez Wrocław. Spokojniej mu już, lepiej. Chodzi dużo, chodzi jak wilk po lesie, raz obszedł „ze dwie mile" kniei. Los emigrancki dopiero począł rozwijać kłębek szarych dni i zgryzot. Odmieniając dwory wielkopolskie, ciągle „na wózku", biedny mazurzyna szuka „własnego kąta" po świecie. Na samym schyłku r. 1851 przyszło mu jechać do Brukseli. Obraz Wrocławia, przysłonięty złym nastrojem, przewinie się rzadko w reminiscencjach ludzi i adresów. W swojej sentymentalnej korespondencji nie pozdrowił Lenartowicz ani razu tych murów i kamieni. Z wiernością, która wzrusza, pamiętał twarze ludzkie, nie ulice. I tak pozostał z ubogim instrumentem muzyckim w rękach, rodem z karczmy czy wioseczki mazowieckiej:

...ledwie że w kozę żabeczę albo na skrzypcach zarzempolę.

Podstawę źródłową szkicu stanowią Listy Teofila Lenartowicza do Ewarysta Estkowskiego. 1850—1856. Wydał Bolesław Erzepki. Poznań 1922, z komentarzem, który czasem zawodzi. Za wskazanie mi tego materiału dziękuję serdecznie Panu Profesorowi Stanisławowi Tyncowi. Dzieje „Znicza" wrocławskiego przedstawił schematycznie Stanisław Wallis w artykule: Znicz, pismo zbiorowe młodzieży polskiej we Wrocławiu, 1851—1852. Zaranie Śląskie, XI, 1935, zeszyt 4, s. 284—287, nie przeprowadziwszy nawet identyfikacji najciekawszych autorów.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

KOLA

Siedziałem zamyślony z kawałkiem zgiętej gałązki w palcach, którą posługiwałem się jak cyrklem. Więc jednak sto kilometrów, nie chciało być bliżej..Mapa z wyraźnymi śladami częstego używania zieleniała przede mną zawiłym deseniem lasów.

Za drzwiami drugiej izby przygrywał na mandolinie Wania, a Zenek, świeżo upieczony podchorąży AK, intonował wspierany basem młodego Babicy — „Sto lat! Sto lat!"

Światło zanikało coraz uchwytniej. Izba poczynała już świecić własnym nikłym blaskiem niedawnego świątecznego bielenia. Piec nie trzaskał, jak co wieczora. Gospodyni, odchodząc, wygarnęła żar do garnka, zabierając go ze sobą. Bała się, że przy nas wygaśnie. W rzędzie zakopconych obrazów, brakowało ikony św. Jerzego i św. Mikołaja, widać jej ulubieńców, którym wypadło dzielić los rodziny na wygnaniu.

Cała „Tarcza", bo tak się nasza działalność osłonowa nazywała, rozwijała się bardzo ospale. Gdy zgłosiłem się na wyjazd, ostrzegano mnie — „tylko bez represji, nie drażnić stosunków z Ukraińcami". Tak jakby jeszcze coś, prócz nielicznych głów, było do uniesienia z pogromu. Znając mnie, dorzucono mi na towarzyszy czterech niedoważonych ochotników, w tym jednego podchorążego.

Fundusze, które zadeklarowały dwory, przestały dawno napływać, albo może docierały tylko na górne szczeble organizacji, gdzie robotę prowadzono czyściutko w kartotekach. Od dwu miesięcy byliśmy zdani na własny spryt i kieszeń. Łączność moja ze Lwowem była jednostronna, raporty odsyłałem przy-

godnymi okazjami, obiecanego kuriera nie mogłem się mimo oznaczonego terminu doczekać.

Mieliśmy przyśpieszyć ściąganie resztki Polaków rozsypanych po osadach, niedobitków służby leśnej i folwarcznej. Rodziny należało upychać po miasteczkach, zwłaszcza tam, gdzie stały garnizony węgierskie. Wieści, które mnie tu ściągnęły, były tak nieludzkie, że gdybym sam nie widział rozprutych zwłok, głów, nadzianych na kołki, jak suszące się po parkanach garnki — nie uwierzyłbym im nigdy. Ale niebo co noc różowiło się mżącym odblaskiem pożaru. Czasami łun było kilka.

Chłopi wychodzili przed chaty, patrzyli ponad las, marszcząc czoła. Stróża podwojona, uzbrojona w kryte za dnia karabiny, nawoływała się śpiewnie. Kobiety, zasłaniając oczy fartuchami, lamentowały, to żegnały się, mamrocząc zaklęcia. Dalekie wycie psów podejmowały chrypliwie nasze, wioskowe kundle. Pierwotny, budzący dreszcz śpiew zagłady.

Ale zebrani przy lampie naftowej u sołtysa, gdy napierałem na nich, wzywając do natychmiastowego wymarszu, zaciskali palce w kręgu światła, sapali, pełni namysłu i niepewności. Niewielu udało mi się ruszyć. Rozumiałem ich rozterkę. Ciężko było im porzucać domy, w których wzrastali, stare kościółki, gdzie przysięgali miłość jasnowłosym kobietom, trudno im było nawet odejść od półleśnych cmentarzy. Mieli tam upatrzone miejsca obok ojców, spoczywających w ruchliwym cieniu brzóz. Cóż obiecywałem im w zamian? Ilu z nich mogło jeszcze pójść za San? Właściwie odwlekałem tylko ich los, zapewniałem im w gromadzie złudne bezpieczeństwo. Dlatego wzdychając jak utrudzone bydlęta, mówili z namysłem — Będzie, co Bóg da! Front już jest niedaleko. — I nadsłuchiwali, zwracając głowy na Wschód.

Cóż znaczyło kilka karabinów uchowanych od Września, parę granatów zapomnianych przez cofających się Rosjan, wobec świetnie uzbrojonych dezerterów z SS Galizien, stanowiących trzon band? Za nimi szły okoliczne wioski ukraińskie, podjeżdżano furami, czekając aż zapłoną strzechy, aż rozkruszy się nietrwały opór. Wtedy sycono się rozkoszą mordu i bezkarnym rabunkiem.

Na wyprawy łupieskie Niemcy patrzyli obojętnie, czasem je nawet popierali, jeśli milicja doniosła, że osada sprzyja party-

zantom. Jedni Węgrzy, którzy zakosztowali kłopotów na wcielonym ochłapie Rusi Zakarpackiej, szli nam na rękę, sprzedając jawnie amunicję i strzelając bez sądu Siczowców.

Front był daleko, myślałem z niepokojem, wpatrując się w zanikające linie mapy. Śpiew z tamtej izby, chrypliwy, a nadspodziewanie harmonijny, wabił mnie i zaciekawiał.

— Znowu piją, zamruczałem, otrząsając się na wspomnienie samogonu. Ładnego im opiekuna dałem. Zenek, zamiast mieć na Rosjan oko, już się z nimi pokumał. Zrzutowe oddziały sowieckie, dywersanci, przecickający lukami we froncie, zapędzający się głęboko na tyły niemieckie, budzili nadzieje. Ci, co znali Rosjan z pierwszego roku, zapewniali mnie, że tylko oni potrafią ukręcić łba wściekłemu nacjonalizmowi ukraińskiemu.

Tamci za drzwiami ryczeli. Wystarczyło podejść i zajrzeć przez szybkę wprawioną w deski, by się upewnić, co ich tam tak bawi. Przesunąłem się do rogu stołu. Strzelałem paznokciami, zaczepiając o wyjedzone przez lata szorowania cienkie warstwy drewna. Deski sosnowe pachniały nikło chlebem. Wyciągnąłem przed siebie nogi, stwierdzając z przykrością, że nowe buty już mi się kończą. Popękały gęściutko przy palcach. Zebrało się: ludzi trudno ruszyć bez noża na gardle, wiadomości żadnych, gazety łżą, a na wożenie baterii mnie nie stać. No, i wreszcie te buty. A może chłopów nie ruszać? — myślałem; front ich przeskoczy. Dotąd było spokojnie.

Teraz wiem, czemu dziedzic z Kościejowa tak się uśmiechał, gdy po partii szachów, zresztą przegranej przeze mnie, kazałem mu zdjąć buty.

— Cóż to, krzyczała dziedziczka, Polacy już Polaków rabują? I to pan z naszej sfery?

Przeszedłem na irytujący ją żargon warszawski: — Cóż robić, pani szanowna? Małżonek dwie kończyny ma, a butów trzy pary pod łóżkiem stoją! Tylko do czasu naprawy moich zamieniamy się... Potem dodałem: — A państwu radziłbym odpływać, bo póki tu się kręcimy, jeszcze spokój... Robotę ukończyliśmy, zmieniamy powietrze. Ja ostrzegam...

Z lekka postękując, sztywnymi artretycznymi palcami dziedzic rozluźniał sznurowadła.

— Cicho, Leosiu — mruczał — nie widzisz, że tak trzeba? — W oczach miał coś szelmowskiego, gdy podawał mi buty,

ukrywając stopy pod krzesłem, by przysłonić wyłażący ze skarpetki siny palec.

Niestety, buty trzymały się na samej paście czy wosku; skóra zetlała. Musieli je kilkakrotnie zakopywać w ziemi.

Pamiętam dobrze drwiące drganie wąsa nad przygryzioną wargą, i wolowate zaróżowione ze wzburzenia podgardle dziedziczki.

Dziedzic z samą teczką wyjechał nazajutrz, by upatrzyć mieszkanie w Tarnopolu. Nim wrócił, żonę mu zarżnięto jak indyczkę.

Ciemniało. Chcąc sprawdzić spękanie, podciągnąłem nogę i próbowałem dłonią. Przez wrzask tamtych, brzęk mandoliny, nie usłyszałem nawet, kiedy się drzwi otwarły i wszedł kościsty, pochylony w barkach sołtys Babica. Stanął przede mną, z twarzą o wydatnym, chrząstkowatym nosie, z wysuniętymi w przód wąsami, jakby węszył. Kłaki ciemnych włosów wysuwały mu się spod futrzanej, zimowej czapy, podobnej do kopy siana. Oczka, głęboko wepchnięte starością pod ciemną, niesforną brew, wpatrywały się to we mnie, to w mapę.

— Odjechali już — powiedział. — Ja sam ostatnie fury odprowadziłem w las...

Odczekał chwilę, ale widząc, że nie zdradzam ochoty do rozmowy, westchnął głęboko i zdjął czapkę, siadając.

Włosy cienkim wianuszkiem otaczały mu skronie, środkiem, jak zawsze zajaśniało dla mnie niespodzianką ciemię, o skórce połśniewającej delikatnie, jak świeżo obłupane ze skorupki jaje na twardo.

— Ilu zostało?

— Trzydzieści i trzy, odpowiedział rozwlekle, zaraz tu się zejdą dziesiętnicy... Wozy przed bagnem się rozbierze i poprzenosi, a kładkę to i jeden da radę utrzymać... Na Ostapowym ostrowiu czart ich nie wypatrzy.

— Nie chcieli jechać?

— Ta coby nie chcieli? Przecie wiekować tam nie będą.

Czarną ręką przesunął melancholijnie po łysinie. Podrapał się wzdłuż wianka włosów, lekko je strosząc zgiętym palcem.

Kwik zza drzwi, brzęk strun i histeryczny śmiech Zenka nie potrafiły go poruszyć, nie dochodziły do niego.

Gwałt ten potęgował mój niepokój, instynktowny, ptasi po-

płoch jakby w przeczuciu burzy, choć chmur jeszcze nie widać. Buty. Jeżeli ręka odruchowo sprawdza buty — to coś z tego wyjdzie, mówi stara prawda partyzancka.

Wstałem gwałtownie i uderzyłem pięścią w futrynę, krzycząc: „Cicho, hołota!“ Równocześnie zajrzałem do środka.

Młody Babica, rosły parob, siedział w rogu, tyłem do okna, a twarzą w cieniu. Czarna, tępawa grzywka rozchodziła mu się nad lewym okiem głęboko, wróżąc dziedziczną łysinę. Podchorąży Zenek leżał mu prawie na piersi, tocząc ciemną głową, wyraźną na lnianej koszuli. Śmiech jego wysoki, chichot nieprzyjemnie drażniący brzmiał w półmroku nieczysto. Wierzgając nogami, odpychał skaczącego na ławę Wanię. Gdyby nie krzyki, jakie wydawał, nie poznałbym Rosjanina w szerokiej spódnicy i chuście, obwiązanej na łbie. Rogi jej sterczały, jak zajęcze uszy.

Tylko starszy lejtenant Mikołaj Kłyczkow, zwany pospolicie Kolą, patrzył w okno, w zachód dojarzający się na zmętniałym dnie butelki. Palcami bezwolnie uderzał w struny mandoliny towarzysza.

Gdy otworzyłem drzwi, Wania Śmieszek przykucnął, a spódnica rozlała się pod nim koliście.

— Czego ryczycie, nie mogę pracować! — pogroziłem im pięścią.

— Panie poruczniku, odezwał się Zenek, podkulając nogi, wydzierając się z ramion zmieszanego parobka. — Ten błazen wlazł w szmaty gospodyni i pokazuje, jak go śpiącego na sianie stare baby napoczęły!

Wania wykonał szybki półobrót. Płaska, miedziana twarz, nos zdeptany jak guzik świeciły się od potu. Stuliwszy wargi w czuły ryjek, bełkotał piskliwie, bijąc mi błazeńskie pokłony. Potem kaczym chodem, zaczął sunąć ku drzwiom.

Gdyby mi przyszło się bronić przed tą żartobliwą napaścią, mogłem się tylko ośmieszyć. Krzyknąłem więc: „Nie wyjcie jak bydlęta“ i zatrzasnąłem drzwi.

Nim usiadłem naprzeciw nieporuszonego zajściem sołtysa, już za mną wysunął się Kola. Wyższy był ode mnie o głowę. Lekki mimo zniekształcającego watowanego tułuba. Męska twarz zdradzała to, czego nie zawahałbym się nazwać rasą.

— Poczemu ty tak dumajesz, zapytał przysiadając się na

rogu stołu. Duża myśliwska torba wyszywana koralikami kołysała mu się, zwisając na udo. Dwa bodące się jelenie błyskały oczami z czerwonych cekinów. Praca włożona w stworzenie takiego paskudztwa napełniała mnie dreszczem wstrętu. Jeszcze ta szeroka taśma biegnąca przez pierś dwoma rzędami splecionych różyczek! Czułem, że ręce kobiety, która to zrobiła, potrafią oszpecić każdy kąt, zabić każde uczucie. W tej torbie kryła się cała potworność niemieckiego mieszczaństwa, z którego wylągł się hitleryzm.

— Próbuję ustalić, gdzie jest front? — uniosłem brwi, marszcząc frasobliwie czoło.

Kola nachylił się nad nieczytelną w zapadającym zmierzchu mapą. Palcami szczupłej ręki wykreślał mi działanie swej grupy. Nie wskazywał miejscowości, było za ciemno, zresztą z łacińskim alfabetem nie byłby się uporał. Raczej ruchami kolistymi wyjaśniał mi taktyczne rozwiązanie manewrów, odsłaniał tajemnicę zniesienia przez Niemców ich oddziału.

— Słuszaj, mówił, żebym ja miał ze dwie puszki, to ja by całym frontem zachwiał... Wiesz, gdzie ja zaszedł? Pode Lwow...

Stary Babica siedział nieruchawo. Czasem tylko wydymał wargi sceptycznie, poruszał wąsami, podając mi sygnał: Ostrożnie z nim!

Jestem dość ufnie nachylony ku ludziom. Zawody niewiele mnie uczą. I teraz, patrząc w urodziwą po męsku twarz Koli, rozgrzanego opowiadaniem, chciałem, by to co mówił, było prawdą. Ale oni są przecie niezrównanymi łgarzami... Znałem Rosjan z opowiadań okolicznych chłopów, których zwodzili bliskością frontu... Zawszeni zbiegowie, dezerterzy z niemieckich białych formacji, rozbitkowie przychodzili z tajemniczymi misjami i wyłudzali po wioskach żarcie i schronienie. Pletli duby, kradli, wreszcie spitych samogonem wydawali Ukraińcy. Boso prowadzono ich za stodoły, by skopawszy, zastrzelić nad wygrzebanym pospiesznie, płytkim rowem. Teraz Niemcy otaczali dom, w którym nocowali partyzanci, rzucali w okna granatami, w nieludzkim ryku zawartej rodziny, zmierzwiona strzecha parowała spod śniegu, zajmując się opornie.

Walka, którą toczyliśmy — wszyscy przeciwko wszystkim, gdy niedawny towarzysz naprowadzał Niemców, a sąsiad

zarzynał sąsiada, uczyła nas ostrożności. Spotkanie z obcym, nie tutejszym zawsze niepokoiło, wróżyło podstępy i nieznane niebezpieczeństwa. Otaczające nas lasy były pełne niespodzianek. W „moich“ też kryła się różna zwierzyna. Partyzanci, bandyci samotnicy i kilka rodzin żydowskich zbiegłych z transportu. Milsze było spotkanie z wilkiem niż z nieznajomym, przemykającym się między drzewami. Obserwowano takich z ukrycia, omijano, ale nie spuszczając z lufy. Wobec gróźb, jakie ze sobą nieśli, strzał z zasadzki nie był najgorszym wyjściem.

Trzy dni temu przyszli do nas z lasu dwaj Rosjanie. Szli otwarcie, jakby wiedzieli, że to my wioską rządzimy. Zaskoczyliśmy ich na kwaterach. Witali nas serdecznie, twierdzili, że nas właśnie szukają. Chcieli przystać do grupy, bo ich oddział został rozbity, po wykonaniu zadania, o czym wspominali chełpliwie, lekceważąc poniesione straty. Byli to: starszy lejtenant Kola i Wania Śmieszek. Budzili zaufanie. Pozwoliłem im zostać, ale ostrzegałem, że w razie nieposłuszeństwa, kula w łeb. Zgadzali się na wszystko. Kazałem Zenkowi, by miał na nich oko. Przypieczętowaliśmy wcielenie Rosjan do naszej grupy, pijąc przyniesiony przez nich likier i zagryzając kapustą. Od razu zrobiło się serdeczniej.

Ostatnie dni chodziłem jak struty, bo mi pod bokiem spalono sąsiednią wioskę Pazdziutycze. Gdy zgoniłem chłopów i przyszliśmy z odsieczą, było już po wszystkim. Jakiś chłopak ocalały cudem, śmierdzący z daleka skorupą osmalonych włosów, jęcząc przysięgał, że jego matka Ukrainka, gdy na dźwięk cerkiewnego dzwonu zaczęto rzeź, nakryła płótnianką główki swoich dzieci i jak szalona uderzała siekierą. Zatrzymaliśmy się z dala od wioski. Chłopi, milcząc ponuro, obserwowali rychliwy tłum łupieżców, wyraźny w zębatej, czerwonej linii dopalających się zabudowań. Nie chcieli teraz atakować. Gdy napierałem na nich, nawołując do zemsty, cofali się lub po prostu wsiąkali w ciemność, powracając przez las ku naszej wiosce. Teraz musiała przyjść i na nas kolej. Ale chłopi jak durem zamroczeni łudzili się, że Angelówka uchowa się w lasach zapomniana. Woleli bierne wyczekiwanie niż przedwczesny odjazd. — Przeczekamy złe jakoś! — wykładali mi. — My nikogo nie pokrzywdzili! My tu sami swoi!

Kobiety popłakiwały, robota stała. Tego dnia wszyscy z niepokojem czekali wieczoru, a gdy na niebie zajaśniały wilgotne kwietniowe gwiazdy, oddychali uspokojeni. — Zawsze zdołamy ujść — upewniali się, mierząc oczami niewielką odległość do ciemnej plamy lasów, powoli zanurzających się w oparach.

Gdy rozkazy nie pomogły, rozumne argumenty nie trafiały, poniżyłem się do błagań i zaklęć. Ach, żeby mieć więcej żołnierzy... Jabym im pokazał, co to rozkaz! Ale dziś chłopi patrzyli na mnie spode łba, karabiny były w ich rękach. Cóż robić? Ograniczałem się do przewidzianej przez Dowództwo roli instruktora.

Ostatnie dwie noce nie spałem. Cisza bolała. Zrywałem się i wyszedłszy za próg, nadsłuchiwałem szmerów niespokojnej nocy wiosennej. Potem sprawdzałem warty. Czuwali przykładnie.

Powracając, snułem szaleńczy plan spalenia samemu wioski, by zmusić ich do odejścia. Uratować tę garść istnień od zagłady.

Opowiadanie Koli brzmiało prawdopodobnie. Trzy tygodnie temu jego grupa przerwała tor na linii Brody—Lwów. W śnieżycy zmieszanej z deszczem, oślepiającej, podeszli pod stację. Pierwszy uchwycili telegraf. Przecięcie drutów obudziłoby podejrzenia. Rosjanom chodziło o nagromadzenie kilku pociągów, które, wysadzone, zakorkowałyby na parę dni najważniejszą przyfrontową arterię.

Kiedy to było dokładnie, nie umiał mi Kola powiedzieć. Notatki i broń utracił w spóźnionej ucieczce, kiedy już gniótł ich ogniem armatnim ściągnięty ze Lwowa pociąg pancerny. Uchodząc w lasy, zabrał tę torbę myśliwską w bodące się jelenie od leśniczego hr. Baworowskiego, torbę niemieckiego sonntagsjägera. Zamiast termosu i butersznytów rozpychały ją teraz ciężkie bębny do pepeszy.

Gdy Kola mówił o udanej robocie, uśmiechał się drapieżnie, odsłaniając równe białe zęby. Blond włosy, wysoko podstrzyżone, spadały niesfornymi kosmykami na czoło, nadając Rosjaninowi wygląd przechwalającego się młokosa.

Czekaj, pomyślałem sobie, zaraz cię przyłapię. — Gdzieście przerwali linię?

— Koło Lwowa, stacja w K — zadławił się niemiecką przechrzczoną nazwą.

Trzy tygodnie temu, w Palmową Niedzielę, wybrałem się po nowe instrukcje ramowe. Szlak ten sam, co zawsze. Część konno. Do Ożydowa kolejką wąskotorową na klocach. Potem do naszego dróżnika, obsługującego na bloku przed stacją semafory.

Pociągi szły często, w odstępach dwudziestu minut. Pełne nowiutkiego sprzętu na wschód i z powrotem ze szmelcem, żelaziwem rudym od rdzy, jakby schlapanym zaschłą krwią.

Począwszy od Lwowa, normalny ruch pasażerski był wstrzymany. Ale na to właśnie był blokowy. Opuszczał ramię semafora. Pociąg przystawał. W kolejarskiej czapce, granatowym suknem krytym kożuszku, ze sfatygowaną torbą skórzaną w ręce, wsiadałem najspokojniej do budki hamulcowej. Latarka, którą miałem na piersi, była najpewniejszą legitymacją.

Tą drogą miał nadjechać łącznik.

Siedziałem przy piecyku, grającym ostro, pełnym żaru. Grzałem kawę w blaszance, to znów, gdy była za gorąca, przestawiałem na okno, by przestygła. Dogadzałem sobie. Patrzyłem przez okno na czarne linie torów. Po szybach spływały z deszczem topniejące bryzgi, podobne do splunięcia. Pociąg nie nadchodził.

Telegrafista, widząc moje zniecierpliwienie, zaczął wydzwaniać sąsiednią stację. — Ta zaraz dowiemy się, czy już go przepuścili — mruczał zatroskany.

— Z Brodów odpowiada, że pociąg przeszedł. Musimy czekać! — Ale już po chwili zastanowił się. — Co u diabła? na tych trzydziestu kilometrach nie mogę go zgubić! Podzwonię jeszcze po posterunkach.

Czas mijał, a dymu między bezlistnymi brzozami nie było widać. Wypiłem kawę. Bębniłem palcami w szybę.

Wreszcie tą sprawą zainteresował się i Żydaczów, a potem nawet Lwów. Dzwonki szły za dzwonkami. Blokowy zaciekawiony nie zdejmował słuchawek.

— Popatrzże pan, co się dzieje — szepnął, przyzywając mnie dłonią. — Niech pan słucha...

Przez zmieszane głosy niemieckie i śpiewną mowę podol-

ską, bzykanie aparatów i ćwierkanie drutów usłyszałem donośne podniecone wołanie: — „Tu Lwów! tu Lwów, wołam K! Dlaczego K nie odpowiadacie? Spicie tam?“ — I spokojny głos: — „Tu K, wszystko w porządku. Pociąg nr 476 przeszedł o 17,20“.

— „Jak przeszedł? — ryczał pierwszy — powietrzem? Już trzy transporty powinny były przejść!“

Potem odezwało się parę szeptów, jak w źle reżyserowanym słuchowisku i zabrzmiał dźwięczący przechwałką głos rosyjski: — Tu oddział Ukrainskiego Fronta. Ach ty... — sypnął przekleństwami — poznajcie, że to wam Rosjanie zadzierżyli transporty. My zaraz tam do was przyjdziemy, to wam nerwy podleczym!

— Tam są Ruski, szepnął blokowy.

Na linii zrobiła się cisza zupełna — wszyscy nadsłuchiwali, nawet aparaty Morsego pulsowały ciszej. Zdawało mi się, że słyszę nierówne tętno serc.

Nie wytrzymałem, krzyknąłem uradowany, że front został nagłą ofensywą przerwany — „Szczęść Boże!“ Dopiero gdy mi przerażony urzędnik zatkał usta, zrozumiałem, jak go mogłem narazić. Ja odchodziłem w las, on zostawał uwięziony przy pracy.

Ten epizod nie zatarł się w pamięci Koli. Teraz dopiero głos jego wydał mi się znajomy. Opowiadał mi, że polscy telegrafiści życzyli mu szczęścia.

— Kola, powiedziałem, wstając — to ja wtedy do was zawołałem, rozumiesz? Wyciągnąłem do niego rękę i uścisnąłem mocno. Teraz on mnie złapał, zakręcił jak piórkiem, aż podrapałem sobie nos taśmą wyszywaną koralikami. Ściany obracały się powoli, czułem zapach namokłej waty kaftana, dym i alkohol. Dobijano się do drzwi.

— Dziesiętnicy przyszli, odezwał się sołtys, wkładając czapę.

— Kola, ty łgarzu, śmiałem się zataczając, wtedy wywaliliście tylko dwa transporty, a nie sześć, jakeś do Niemców krzyczał.

Otworzyliśmy drzwi. Chciałem rozmawiać z chłopami przy świetle. W tej właśnie chwili chłopak wpadł między nas bardzo

podniecony. Bez pozdrowienia krzyczał — Panie poruczniku, Chryć Mołoczarnyj uciekł!

— Ty u niego służysz? — zapytałem wyrostka.

— Tak. Byłem w lesie za wozami. Wracam — gospodarza nie ma. Konia też. I kobiety i dzieci...

— Rano go widziałem, wtrącił sołtys, jak szedł z koniem kloce zwłóczyć, co je pozawczoraj pospuszczał.

— Nie ma szmat i poduchów, szuflady i komora pusta, gorączkował się chłopak.

— Tego nie wyniósł, za dużo nas się kręci, dojrzałby go kto, powątpiewał Babica.

— To już dawniej wynosił, albo pozakopywał... On chytry! — trzeba ścigać! — złościł się mały. Był to Wosiek sierota. Chodziliśmy ostatnio na słonki. Utykał na jedną nogę. Stopę miał wykręconą, o maleńkiej wysoko uniesionej pięcie i szerokich rozklapanych palcach. Lubił zapach prochu. Aportował, ukręcając łebki postrzelonym ptakom, znajdując je w ciemności, za węchem, jak pies. Wieczory bywały ciche. Na niebie jaśniejszym od czarniawych drzew jeszcze bezlistnycn wypatrywałem ciągnących parami ptaków. Poznawałem je z daleka po pełnym czułości chrapaniu, gdy zygzakowatym lotem przewijały się nad mą głową.

— Panie poruczniku, prosił mnie Wosiek teraz, niech mi dziś dadzą karabin! Ja też będę wartował.

Składał małe jak u małpy, czarne rączki. — Niech mi pan da karabin! Jak Chryćko uszedł, to dzisiaj się zacznie! Na policzkach mimo opalenizny różowiła mu się świeża skóra po zimowych liszajach.

Ale sołtys i dziesiętnicy, którzy właśnie się zeszli, byli innego zdania. Wszyscy stawili się już z karabinami przewieszonymi na sznurkach przez plecy.

— Uciekł, bo się bał, że go tu zarżniemy — zaśmiał się wysoki.

— To oni tak z naszymi... a w nas ciągle serce miękkie.

— Trzeba było zaźgać widłami, pod gnojem mógłby leżeć do lata...

— On nie sprowadzi rezunów — zamruczał sołtys. — Jego Parania z moim synem już po słowie.

— Jakie na dzisiaj hasło? — zapytał podchorąży Zenek, który właśnie wylazł z chaty.

Popatrzyłem na niebo wysokie, zielonawe o kolorze słomy nad lasem, a czerwone na zachodzie, i odrazu nasunęło mi się.

— Zawołanie na dzisiaj — żurawina! Już się rozchodzili. Wioska dziwnie opustoszała bez bab i dzieci, brakowało przedwieczornego gwaru, śpiewów, skrzypienia studziennych żurawi. Tylko z dwóch chałup wysnuwały się dymy prościutkie i niebieskie.

— Słuchajcie no, powiedziałem, widząc podkuloną nogę Wośka, jak u czekającego na rozkaz psa. — Jak będziecie rozstawiać straże, dodajcie tam chłopaka do którego. We dwóch prędzej nie zasną...

— E, kto by to w taki czas zadrzemał — odezwał się jeden z chłopów. — Chody! skinął na małego ręką.

— Cóż ty się tak szkrabiesz — zapytał sołtys, widząc jak Wosiek trze plecami o słup przy przełazie.

— Wiosna, wszy się parzą! — odezwał się wyrostek zuchwale i podkuliwszy nogę zręcznie prześlizgnął się nad plecionym płotem.

— Daj Boże zdrowie — powiedzieli dziesiętnicy, rozchodząc się w obie strony.

Nasza Angelówka była rozrzucona na półkolistym wzniesieniu, tak że ostatnie dachy jak grzyby wystawały tuż nad ziemią. Drzewa w sadach, bezlistne jeszcze, wznosiły gałęzie białawo zarysowane zbitymi pękami nieotwartego kwiecia. Dokoła jak okiem sięgnąć — nieforemną elipsą rozlewała się poza zabudowaniami orna polana, zarosła ozimym zbożem. Dalej był las niezbudzony jeszcze, burawy, żółknący resztą liścia zeszłorocznego, powoli wyszarpywanego wiosennymi wiatrami z dębów i grabin. W jednym tylko miejscu, rozjaśnionym krzykliwą plamą zachodu, wyskakiwały kępy młodej zieleni brzóz, wyrosłych nad bagnem.

Powietrze miało swój rzeźwy smak. Fermentujące zapachy snuły się daleko. Słupy maleńkich muszek wirowały nad parującym nawozem. Wieczór stygł.

Nad falami zaoranego czarnoziemu, złagodzonego niedawnymi ulewami, ciemniały ruchliwe języczki młodych zbóż, gęsto wschodzących.

Stałem chwilę, wdychając zapach mokrych kłączy, cierpkiego drewna, obłażącego z łyka. Gdy podniosłem głowę, niebo odskoczyło wysoko, jasne jeszcze, a kilka dużych jastrzębi tańczyło nad skrajem lasu. Skrzydła ich w tym godowym locie, liźnięte od dołu słupami zachodzącego światła, błyskały jak wykute ze złota.

Kola, który pił wodę przy studni, wychlusnął teraz resztę z czerpaka. Suszyło go po pijaństwie, dziś jeszcze dosączali. Obejrzał się za dom i zawołał do mnie — Janek, jewreje przyszli.

Z nocą wstającą od ziemi, ubłoceni po kolana, powiązani jakimiś sznurami, spod których powiewały podarte, miejskie szmaty, wysuwali się zza domu dwaj Żydzi. Natan znaczny z daleka rudą brodą, z ruchami pełnymi powagi i drugi mały, o rysach tchórzliwego drapieżnika. Z miejsca wpadłem na nich, choć byli bez broni, bo bali się, że im ją chłopi odbiorą.

— To wyście strzelali dziś rano!

— My, przyznał się cicho, upolowaliśmy sarnę.

— Ile razy strzelaliście?

— Nie wiem. Może dziesięć, może więcej. Targownik ją postrzelił. Ona biegała, to na jednego, to na drugiego, wszyscy strzelali.

Wystarczyło, żem sobie wyobraził to żałosne mordowanie w czasie ochronnym, by się we mnie wzburzyła cała tradycja łowiecka. — A czy na nich był czas ochronny, błysnęło mi nagle, na nich, na Żydów? Zbiegli z transportu, żyli teraz w bunkrach w głębi lasu. Mieli trochę broni. Kłócili się, umierali ze strachu i nienawidzili wzajemnie. Wieś im pomagała, nie bez pewnego wyrachowania. Liczono, że oni pójdą pierwsi pod nóż, bo krążyły wieści, że mają dużo złota i zegarków.

— Czego chcecie? — zapytałem niechętnie. Natan musiał to wyczuć, bo zbliżył się posuwiście o krok i rozkładając ręce powiedział pokornie:

— My przyszliśmy po żywność, ale ja najpierw chcę z panem porucznikiem na słówko...

— A wieprzka weźmiecie, krzyknął z progu Zenek, bo wieprzek nie koszer?

— My teraz wszystko weźmiemy, z powagą odpowiedział

Natan, odwracając się w ciemną wnękę sieni, gdzie już zaczynały świecić papierosy żołnierzy.

— Pan porucznik, zaczął poufnym szeptem, pan przyjdzie i pójdzie, a my tu zostaniemy... Chłopy też odejdą... Myśmy uradzili, żeby panu porucznikowi tę bransoletkę — nie patrząc mi w oczy, wyciągnął do mnie stuloną dłoń. — A pan porucznik nam da jeszcze parę karabinów...

Niechęć mieszała się we mnie z litością. Natan źle pojmując moje milczenie, przysunął się bliżej i dyszał: — Panie poruczniku, my tutaj naprawdę nie mamy więcej! My znamy miejsce, ale jak się ruszyć? Jak naszych strzelali, to oni rzucali wszystko... żeby tylko Niemcy nie dostali... Ja wiem gdzie... Ja pamiętam, że pan porucznik dla nas zawsze człowiek.

— Natan, odruchowo dotknąłem jego ręki wilgotnej, zaciskającej palce na grubych ogniwach łańcuszka — schowaj to, nie potrzebuję waszego złota... Mam wam dać karabiny, żebyście cały dzień strzelali po lesie? A my tu robimy alarm. Prędko się stąd nie ruszymy. Schowaj to, rozumiesz?! To nie jest dobre złoto...

— Dlaczego nie dobre, obruszył się. To jak dukatowe, z próbą.

— Natan, powiedziałem trochę znudzony, mnie złota nie potrzeba, a żonie, ani matce nie dam, bo na nim krew i przekleństwa tamtych...

Umilkliśmy na chwilę obaj. Zdawało mi się, że Zenek w ciemności wytęża słuch, by uchwycić, o czym rozmawiamy.

— Idźcie z panem podchorążym, on wam da żywność. Jak będziemy stąd odchodzili, to zostawimy wam parę karabinów. Zenek! — zawołałem, bo nie odzywał się. — Wydaj im żarcie, kaszę, mąkę i z komory ćwiartkę świniny.

— I chleba, panie poruczniku — szepnął Natan, bo u nas nie ma pieców.

— Chodźcie Żydy — powiedział Zenek nadspodziewanie ochoczo. Dawajcie tu worki!

Było ciemno. Dlaczego nie dałem im karabinów — pomyślałem zaskoczony. Przecież trzy wolne stały w izbie, oparte pod oknem. Choć lepiej niech tam leżą. Może nam się przydadzą prędzej? Egoizm zwyciężył. Dajemy im i tak dosyć — uciszałem sumienie.

— Kola, a dlaczego nie wracasz do swoich?

— A zaczem? — odpowiedział. — Wojna wszędzie ta sama. Poczekam, aż nasi tu przyjdą.

Nie wydawało mi się to tłumaczenie zbyt proste. Dlaczego on zwlekał? A może podejrzewałem go niesłusznie... Ciemność gęstniała niepokojąco szybko. Nikłe gwiazdy zapalały się bardzo daleko. Tracąc widok przed sobą, zanurzałem się w tę noc, opadając coraz głębiej. Kurczowo zaciskałem palce na prętach płotu.

Lelek zasyczał, przelatując między naszymi twarzami. Czułem niepokój budzącej się ziemi. Słuch mi się teraz tak zaostrzył, że szmer każdy łaskotał i drażnił. Tym bardziej złościło mnie to powolne ślepnięcie. Przypomniałem sobie, że Wania Błazen schował się i na pewno coś knuje. No, i przydługie konszachty podchorążego z Żydami. Wszystko razem było wściekle irytujące.

Czułem w nierównych uderzeniach serca, że coś nam grozi. Bałem się po raz pierwszy tej nocy. Gdybym mógł, obstawiłbym ciasno dom dookoła czujkami. Toteż gdy Żydzi wysunęli się, a wyczułem ich raczej, niż dojrzałem sylwetki bezgłowe, pogrubione worami, zawołałem — Natan! W ciemności podszedł do mnie tak blisko, że musiałem się cofnąć. — Słuchaj, powiedziałem półgłosem, czując, że się odsuwa, próbując strącić rękę, którą położyłem mu na worku. Wyczuwałem mimowoli zawartość. — Słuchaj, wystawcie wartę od drogi. Niedobra noc.

— Niedobra noc? Oni też nie widzą, powiedział, myśląc o wrogach. — My zawsze straże wystawiamy.

— Jak by coś było, to strzelajcie! — krzyknąłem za nim, choć przed chwilą zwymyślałem go za to.

— Będziemy strzelać — odpowiedział chrzęszcząc, zaczepiwszy się workiem o kołki w przełazie.

Niedobra noc, pomyślałem. Co mnie tutaj przywlokło? Wrócić, wrócić... Być w domu! Trzymając się jedną ręką patyków, z których upleciony był płot, wykonałem pół-obrót — chata rozpłynęła się w ciemności.

— Zenek, zawołałem, ja chyba ślepnę... Ale już słyszałem, jak i on potyka się w sieni. Trafił do mnie odrazu. — Panie poruczniku, powiedział służbiście, proszę o zwolnienie na jutro. Chciałbym skoczyć do leśniczówki.

— Po co?

— Imieniny Teosi! — Potem nie widząc Koli, który zgasił papierosa, dodał półgłosem. — Niech teraz kto inny Rusków popilnuje. Ja nawet z nimi do wychodka chodzę!

— Od tego mogę cię już dzisiaj zwolnić, uśmiechnąłem się, a potem zwróciłem w stronę chaty — Kola! Jesteś tam?

— Da, jestem, odpowiedział niespodziewanie blisko.

— Słyszałeś? Nie masz żalu?

— Słyszał. Ja bym to samo zdiełał. Ale ty dziś pojął, że los nasz jeden, a my druzja. — Zbliżył się do mnie. Z mokrym trzepotem przeleciały nad głowami dwa nietoperze. Ciemność była piekielna. Byłby mnie może minął, gdybym go nie złapał wyciągniętą ręką. Namacał moje ramię i niespodziewanie objął mnie mocno. Poczułem na twarzy jego oddech, tytoń i samogon. Wargi jego otwierały się głęboko, aż do wilgotnego wnętrza.

— Kola, szepnąłem zduszony jego objęciem, ty całujesz jak dziewczyna. Noc była gęsta, choć czysta i chłodna. W tej chwili zaskrzypiało od nas coś na lewo. Pojawiło się tam miejsce jakby rozrzedzonej ciemności, żółtawe, mętne, zapylone światło.

— To ty Zenek? — zapytałem.

— Jestem tutaj — odpowiedział za nami. Coś niskiego przebiegło wzdłuż parkanu, przeciskając się za mymi nogami.

Światło przybierało na sile, ale ciągle jeszcze nie mogliśmy odgadnąć jego źródła. Biło gdzieś z dołu, rysując krawędzie desek, jakby się jakieś wieko otwarło w ziemi.

— Co to? — zapytał Zenek chrypliwie, przybliżając się do nas.

Oto wynurzała się przed nami okrągła, płaska głowa, dużo większa od ludzkiej. Szeroko rozwartymi oczami i ustami wyciekało światło, plamiąc suknię zwisającą długimi plisami. Widziadło ulatywało powoli z zadziwiającą lekkością i wydawało długi jęk. Wreszcie zawisło ponad nami, kołysząc głową nad krawędziami domów. Rozglądało się po opustoszałej wiosce. Pies u sąsiada zaczął wyć. Struny jego krtani wibrowały, wysoki, łkający głos psiego strachu.

— Co to? Co to? — powtarzał Zenek, zaciskając palce na mym ramieniu. Kola wyciągnął rewolwer. Słyszałem, jak go odbezpieczył, ale zanim strzelił do widma, doszedł nas śmiech dławiącego się Wani. Histeryczne, ściszone chichotanie.

— Ach ty sukinsynie, splunął Kola ze wstrętem. Podeszliśmy bliżej. Wania, ciągle w ten sposób krążąc, aby drewniana cembrowina studni oddzielała go od nas, pokazywał swojego upiora. Gdy lekkomyślnie podszedł bliżej, dostał od Koli kopniaka, który go tylko pobudził do jeszcze większego śmiechu. Kulał się szybko jak pies, biegając na czworakach w ciemności. Niemiłosiernie szydził z niedawnego naszego gniewu i strachu.

Na żurawiu studziennym kołysała się ostatnia dynia ściągnięta gospodyni ze strychu i wydrążona. Jedna z moich służbowych świeczek migotała w środku, rzucając żółte blaski na prześcieradło zaczepione rogiem.

Teraz zrozumiałem, dlaczego Wania był tyle czasu tak spokojny. Złapałem za kraj płachty, by ją zerwać, ale namoczona szmata, wydobyta z wody studziennej, przejęła mnie wstrętem. Wypuściłem ją z palców.

Zdawało mi się, że największe nasilenie ciemności już minęło. Rozróżniałem przysadziste zarysy chałup. Niebo zniżyło się, gwiazdy świeciły wprawdzie nikle, ale tak gęsto jak kwitnąca tarnina.

Odchodziłem ze złośliwą myślą: zobaczymy, jak teraz inni będą ze strachu portkami trzęśli.

Ale gdy przeszedłem drogę, miękką jak z krowiego łajna, niepokój opadł mnie znowu. Ponad sadem kołysała się groteskowa gęba jak ze złego snu. Pomyślałem sobie z dreszczem, czy Wania nieświadomie nie wypuścił w ciemność nocną czegoś, co dotąd spoczywało na zamulonym dnie studni, pod klapą przywaloną kamieniem. Zaznaczyłem ukradkiem malutki krzyżyk na piersi, jakby lękając się, że widmo może ten znak zabobonny dojrzeć, skręciłem zaraz za stodoły, aby nie patrzyło, dokąd się udaję. Nie zapuszczałem się jednak głębiej w tę noc. Napotkawszy pierwszego wartownika, którego pies wyczuł mnie z daleka, ale nie szczekał, tylko warczał ostrzegawczo — przystanąłem na skraju pól. Czułem pod nogą stromy, darniowy stok, podobny do brzegu jeziora podmywanego nieruchomą falą czarnoziemu. Mgła była gęsta, pachniała tłustą ziemią i młodymi pędami zbudzonych traw.

Spróbowałem postąpić krok naprzód, ale but wjechał mi głęboko ponad kostkę w rozmiękłą ziemię. Więc cofnąłem się,

opierając o drzewo. Pień był niski, ramiona położyłem szeroko na konarach i nadsłuchiwałem.

Cisza była tym rozleglejsza, że wypełniał ją drążąc miękki trzepot skrzydeł, i wyraźne — gdy przekręciłem głowę — tarcie zębów zajęczych, skrobiących zeszłoroczny głąb. Była to chwila zluźniająca napięcie, minuty wewnętrznego odpoczynku, choć krawędziami świadomości zachowywałem czujność.

Nie, to nie ambicja mnie tu pchnęła, jak Zenka. Ani poczucie obowiązku nie było głównym motorem. — „Nosi cię, mówiła matka, zobaczysz! Ty się w końcu doigrasz...“ Wiedziałem wyjeżdżając, że przekreślam mit fałszywych ausweisów fabrycznych i świadectw lekarskich, zapewniających mi swobodę. Wiedziałem, że Halina też mi nie wybaczy; listy, jak zwykle, odkładałem z dnia na dzień, prawie nie zauważając, że czas upływa, nie licząc się z jej niepokojem. Dobrze byłoby mieć dom — myślałem. To miejsce, do którego warto powracać. Ale wiedziałem dobrze z doświadczeń, że ściany, firanki, światło nie potrafią odgrodzić nas od napierającej nocy. Mimo to rozumiałem, że właśnie domu szukał Zenek w leśniczówce. Ale Teosia lekceważyła jego chłopięce zaloty. Pamiętam, jak rozmarzony jej macierzyńskim głaskaniem, spoglądał z senną zarozumiałością ku mnie, podczas gdy ona ponad jego głową przytuloną do piersi, bezdźwięcznie rozchylając wargi, pozwalała mi zgadnąć umówioną godzinę spotkania.

— Jak ona za panem porucznikiem oczami strzela — mówił gajowy. Pilnie by jej trzeba chłopa. I melancholijnie dodawał: — Ja już jej nie upilnuję, a tu nikogo sposobnego...

Co do mnie, jeżeli wziąłem ją, to tylko dlatego, aby sobie nie komplikować postoju. Chętnie bym ją przekazał podchorążemu. Zenek, gdzie on teraz polazł? Zawracałem. Okrążałem długo, unikając skrótów przez niespodziewane rowy i ogrodzenia. — O, nie kupisz ty jej — myślałem o Zenku, nie kupisz bracie... Zastanowiłem się na moment, dlaczego właśnie chłopięca tkliwa miłość podchorążego, zadawalająca się każdym spojrzeniem, dotknięciem i pocałunkiem, napełnia Teośkę taką niechęcią? Trzeba ci będzie, mój Zeneczku, czegoś innego poszukać...

Upiór nie świecił. Przywitałem to z ulgą. Myślałem, że zgasł, kiedy niespodziewanie zza węgła wychyliła się jego pła-

ska gęba. Niżej stało dwóch wartowników, których udało mu się zwabić. Powiew poruszał płachtą, krople wody ściekały z niej, pluskając w studni. Zdawało mi się, że widmo płacze nad wsią, nad nami i nad swoim losem. Cicho skrzypiał żóraw. Powiew nadymał tułów upiora, kołysał przecząco głową, wpatrując się w stronę lasu, dokąd odeszli żydzi.

Stałem chwilę, prawie zadomowiony w otaczającej mnie ciemności. Przekonywałem się teraz, że jest widoczny z daleka, bo coraz nowi chłopi zbierali się w nikłym świetle koło studni. Stali z zadartymi głowami, podnosili ręce błagalnym gestem i usuwali się w półmrok, zbijając w gestykulujące gromady. Szmer rozmów wzmagał się, wreszcie ponad głosy zmieszane, przybierające na sile, wzbił się zaraźliwy śmiech Wani, podjęty głośnym rechotaniem reszty. Zabrzęczały szybkie dźwięki trepaka. Mandolina. Nastrój zrobił się odpustowy. Rozmawiano swobodnie, klepano się po ramionach, skądś znalazła się butelka i tylko ona wnosiła moment obrzędowej powagi. Chłopi przepijali do siebie z ukłonami, to znowu podnosili flaszkę w stronę upiora, sprawdzając pod światło poziom płynu, znaczony przytrzymaniem palca. Ktoś wybijał siekący rytm taneczny na ramieniu żurawia, gęba groteskowo podrygiwała, suknia zaczęła merdać. Straszydło zamieniło się w lampion ogrodowej zabawy. Gdy podszedłem, nie zmieszali się wcale, choć zeszli samowolnie z posterunków. Sołtys Babica sunął do mnie z butelką. — W pańskie ręce, panie poruczniku! Niepotrzebnie dziś familię wygoniliśmy do lasu; dziś murowany spokój. Jutro ruska wielkanoc!

— Tak, prażnik jutro, przytakiwali chóralnie, możemy iść spokojnie spać!

Nie próbowałem ich przekonać. Miejscowe zwyczaje znali lepiej ode mnie. Ale gdy i Zenek bezczelnie ziewnął: — „idę się zdrzemnąć, bo o świcie skoczymy z Wanią do leśniczówki“ — odsunąłem się zniecierpliwiony i niechętny.

Kola pociągnął mnie za rękaw, miękko wsuwając dłoń pod ramię. Byłem tak samotny, że ogarnęła mnie wdzięczność.

— Czto diełać? Żałko, szepnął podsuwając mi butelkę. Były w niej już tylko resztki i choć mocno pragnąłem oszołomienia, paskudny smak kisu chlebowego, którym oczyszczano samogon, rozlał mi się w ustach.

Musiało jednak być tej wódki niemało, bo niewiele rozumiałem z tego, co mówił do mnie Rosjanin. Wiedziałem, że słowa jego dotyczyły spraw serdecznych, mocno mu doskwierających. Spluwałem wyrozumiale. Powoli odprowadzał mnie w ciemność. Wreszcie stanęliśmy na krawędzi dymnego blasku, poza gromadą, tak że jednym uchem łowiłem bełkotliwy gwar rozmów, a w drugim dzwoniła mi cisza kwietniowej nocy. Światło rozlewało się nisko, pozwalając dostrzec nogi Koli obute w walonki, jakby ulepione prostacko z brudnego, topniejącego śniegu. U pasa, gdy odwracał się do studni plecami, duża sowiecka busola mżyła ruchliwą, nafosforowaną igłą. Niżej, na niemieckiej torbie, dwa koralikowe jelenie toczyły nierozstrzygnięty bój. Z pochyloną głową, nie chcąc poddać się melancholii, wyławiałem pojedyncze słowa — swoboda i druzja, oba jednako mi bliskie i jasne. Z nagłym pijackim rozrzewnieniem, chciałem dać mu poznać, że choć nie znam rosyjskiego, rozumiemy się doskonale.

— Kola, szepnąłem, dotykając palcem jego kaftana, wzdętego po lewej piersi, od wsuniętego w zanadrze dużego rewolweru T. T. — Kola, tyś mi się od pierwszej chwili...

Wystrzał, który przerwał mi zaczętą myśl, nadał nocy właściwe proporcje. Pokazało się teraz, że wszyscy mówili półgłosem, jeśli nie szeptem, bo choć strzał padł dość daleko, na skraju wioski, gromada umilkła, otrzeźwiona nagle. Słyszeliśmy, jak głos idzie powietrzem, uderza o ścianę boru, by dwusylabowym — ba — ba — powrócić.

Staliśmy, zatrzymani w półruchach jak marionetki, gdy dłoń reżysera naciągnie wszystkie nici, nim puści lalki w epileptyczne skoki.

Czekaliśmy długo w ciszy mierzonej słabym skrzypieniem żurawia. Nagle, jakby mi kto oczy zakrył, ciemność spadła jeszcze głębsza. Wzdrygnąłem się, potrząsnąłem głową. Świeca w dyni zgasła.

Z tą chwilą poruszyli się wszyscy. Uciszali się wzajemnie, sykając jak świerszcze. Ale minuty mijały, dalszych strzałów nie było. Uspokajano się łatwo. Zaczęto zgadywać, gdzie i dlaczego strzelono. Wnet ustalono miejsce — skraj wsi, kierunek — na wylot drogi z lasów. Tam miał stać Tomczuk. O przedwczesny alarm posądzano Żydów, przeklinano ich półgłosem.

Ale nikt nie ruszył się, by sprawdzić, co tam się dzieje naprawdę. Dziś myślę, że po prostu nie chcieli rozchodzić się, by nie tracić poczucia siły, jakie każdemu z nich dawała przynależność do zbrojnej gromady. Zapijali niebezpieczeństwo, zagadywali je w rozwlekłych dyskusjach, nie dopuszczali do siebie złych przeczuć.

— Idę, powiedziałem do Koli i, dotykając końcami palców płotu, ruszyłem w noc.

— Ja z toboju, powiedział, gdy przebrnęliśmy już rozkisłą drogę.

Szedł za nami jeszcze ktoś trzeci. Poznałem go dopiero po miarowym stukaniu, jakie wydawała przewieszona przez plecy mandolina: jakbyś palcem wybijał rytm stąpania, uderzając w pudełko z cygar. Był to więc niewątpliwie Wania Błazen.

W moim odejściu w ciemność nie było nic nadzwyczajnego, a tym bardziej bohaterskiego. Czułem się tak spokojny, że nawet nie wszedłem do chaty po broń. Mój karabin został z innymi w kącie pod oknem. Nie byłem nawet wdzięczny towarzyszącym mi Rosjanom, choć doceniałem ich gest. Szedłem dość szybko. Rozmarzenie alkoholowe powracało. Myślałem: — Dobrze, że idziemy tak w milczeniu... Dobrze, że wypędziłem baby z wioski, cisza jest miła... A noc dobra dla sondowania siebie i wyrozumiałych wymówek... Oddychałem gęstym chłodem wiosny, który usuwał gorąco i ucisk z głowy. Teraz przesuwał mi się przed oczami cały ten gorączkowy dzień.

Rano wydałem rozkaz, by pakowano się na wozy — próbny alarm. Zasiadłem nad mapą. Byłem pewny, że nikt się nie ruszy. Ale słowo — p r ó b n y uspokajało. Przecież trzeba się było wreszcie przekonać, ile czasu zajmie uskoczenie za bagno, na ostrowy. Jakby w milczącej zmowie, bez płaczu, prawie witając ten nagły wymarsz jak wiosenną zabawę, ładowano dobytek, troczono krowy. Pokazało się, że jednak na coś się przydałem, bo toboły opuchłe pościelą leżały zawczasu popakowane, a skrzynie klekotały kłódkami. Choć nie schodziłem między chałupy, to przecież gdy pierwsze fury ruszyły, a gospodyni żegnając się wybierała żar z pieca do żelaznego garnka, poczułem się tak zmęczony, jakbym sam wszystkie te graty dźwigał.

Sołtys z dziesiętnikami dopilnowali, żeby wszystko usunięto — tak jakby naprawdę...

Gdym myślał o tym obecnie, brodząc w odmętach nocy, zadowolenie mieszało się we mnie z niepokojem, czy aby swym kategorycznym nakazem nie rozpętałem grożącej katastrofy.

Stopniowo schodziliśmy w dół; środek wioski był na kopiastym wzniesieniu. Przed nami otworzyła się kilkusetmetrowa płaszczyzna, aż po ostatnią, jakby wyrzuconą z gromady chatę zbiegłego Ukraińca. Nie było jej widać, ale pamiętaliśmy jeszcze z dnia kierunek. Tuż za wioską zwolniliśmy. Ciemność była nieprzenikniona. W ciszy pełnej szelestów daleko niosło się chrząkanie świń, wypuszczonych w przewidywaniu pożaru, bobrujących po sadach. Ich swojskie głosy przydawały powszedniości tej niespokojnej nocy.

Wąski, trochę podeschnięty, rozdeptany w ścieżkę skraj drogi — skończył się. Gdy noga miękko więzgnąc zapadała się w rozkisłą rolę, poczułem wlewającą mi się do butów wodę, zimną, ale nie przykrą, rzeźwą i wiosenną. Szliśmy powoli, w odstępach, nadsłuchując. Przystawaliśmy wychyleni do przodu, próbując coś wypatrzyć, zdradzani z daleka cmokaniem namokłej roli. W miarę jak mokre buty lepiły mi się do nóg, wędrowanie na oślep przez zagony traciło urok. Zły już na własną gorliwość, przyspieszyłem kroku i natrafiwszy na parkan, pierwszy przelazłem do sadu.

Cisza za nami, rozpłynięta wioska. Gdybym nie wiedział dobrze i nie pamiętał, że cała polana ma średnicę nie większą jak półtora kilometra, byłbym uwierzył urojonym przestrzeniom, przebrniętym w tej nocnej wyprawie. A przecież od gromady dzieliło nas zaledwie kilkaset metrów.

Tutaj było znacznie niżej. Leciutka mgiełka wisiała w powietrzu, niewidoczna, wyczuwalna w oddechu. Szczyty drzew owocowych rysowały się w bielejącej gęstwie gwiazd. Cicho przeskakiwaliśmy od pnia do pnia, omijając szafy, kredensy, sieczkarnię, wyniesione w sad dla ochrony przed ogniem. Wartownik już dawno powinien był nas posłyszeć i zatrzymać zawołaniem. Cisza była nienaturalna, przyroda milczała, jak zwykle w pobliżu przyczajonego człowieka. Puls walący w skroniach mącił mi łagodny brzęk rozbudzonych uli, przy których przystanąłem.

Obeszliśmy we trzech chałupę. Było pusto. Dopiero przy wyjściu na pola prawie nadepnąłem na leżące zwłoki. Gdy się-

gnąłem po zapałki, Kola przycisnął mi rękę. Bez słowa zrozumiałem. Z głowami zwróconymi ku polom, obmacaliśmy trupa. Był jeszcze ciepły. Tak, ktoś wsiowy, w łapciach. Broni przy nim nie było. Myślałem, że to wartownik.

Przez mięśnie przebiegało drżenie, nie, nie strachu nawet, tylko napięcia i emocji. Za rozwalonymi wrotami otwierała się aż po las, podobny do ściany wąwozu, kwaśna łąka poprzecinana rowami. Wytrzeszczałem oczy, aż piekły od łez. Cisza dokuczała niby zdrętwiała noga.

Przed nami leżały na polśniewającym śladzie kolein trzy garbki, może kupy nierozrzuconego nawozu? Nie byłem pewny. Krew pulsowała w źrenicach. Zdawało mi się, że dostrzegam dalsze. Ale przecież poczułbym! Woń przegnitego gnoju w taką noc niosłaby się daleko. Przywarłem do sągu narżniętego drzewa.

Czułem, że Kola pokazuje mi coś, szukając we mnie potwierdzenia. Nagle posłyszeliśmy stąpanie. Powitaliśmy je nieledwie z ulgą.

— Stój, kto idzie? — zawołałem.

— Swoi! Polacy! — odpowiedź padła prawie natychmiast.

Jak w olśnieniu zrozumiałem układ trzech kopców. Trzech strzelców leżących, przy karabinie maszynowym — taśmowy, celowniczy, amunicyjny. Zanim wiązka kul trysnęła nam w twarze, odskoczyłem, przewracając Kolę. Uderzyłem głową o nadłupany pień, padając w trawę.

Huk wystrzałów, którymi zajeżyło się całe pole, ogłuszał nas, rozpłaszczał na zdeptanym klepisku podwórza. Nie słyszałem jeszcze syku kul, parzącego po skórze, zbyt bliski ogień gniótł nas. — Wiać! myślałem, uskakując za dom, w sad. Byłem nieprzytomny, smagany gwizdami pocisków, przekulałem się za płot, wjeżdżając głęboko rękami w błotnistą rolę. Strzelano dokoła. Ktoś przebiegł. Zobaczyłem Wanię Błazna, jak cisnąwszy granat uskoczył w pola. Teraz i ja wyszarpnąłem Visa i strzelałem ślepo, pośpiesznie, póki nie wywaliłem całego magazynku.

Wtedy oprzytomniałem. Strzelano do nas półkolem; napastnicy chcieli okrążyć wioskę. Kule zacinały w błoto, to przenosiły wysoko. Kola spostrzegł mnie, złapał za ramię szarpiąc.

— Udiraj, krzyczał prosto w ucho.

Wiedziałem, że muszę dopaść zabudowań, schronić się poza wzniesieniem. To były sekundy. Biłem stopami w rzadką bryję. Poślizgnięcia i skoki. Wpadłem niespodziewanie między płoty z pierwszym pociskiem działka, czerwoną smugą zacinającym węgieł stodoły. Już zakwitały rakiety. W ich świetle, jak od huku palby, dygotały kopiate cienie chałup, przewracały się linie drzew. Potem jak czarny dzwon przywalała mnie ciemność, przeszywana wysoko paciorkami świetlnych pocisków. Wiedziałem jedno, sadząc olbrzymimi skokami przez zagony: zanim strzechy zapłoną, obnażając mnie, muszę zaszyć się w bór, po drugiej stronie polany. Automatycznie zmieniłem magazyn. Biegłem przechylony, pod coraz niższym dachem kul, splatanym z różowych i zielonych strun. Powietrze, cięte żelazem, śpiewało cienko.

— Kola, krzyczałem biegnąc, choć nie jego miałem na myśli. Równie dobrze mogłem wołać — Boże! Boże! Ogień karabinowy głuszył wszystko. Uciekałem. Wobec takiej przewagi nie było co marzyć o oporze.

— Podli! Zwiali! — dyszałem gnając. Za mną coś zachlupotało. Nie odwracałem się, kątem oka zobaczyłem, że kilka kwiczących, przestraszonych świń minęło mnie, przepadając w nocy.

Licząc na ich instynkt, biegłem wyraźnym śladem, już nawet nie padając, choć nad głową zawisały rakiety. Próbowałem przeganiać wznoszące się światła, ale ich zmienny blask dosięgał mnie zawsze i oślepiwszy porzucał miotającego się w rozmiękłej roli. Uderzałem w ciemność niczem w ścianę. Brakowało mi tchu, chrapałem. Broń zawadzała, byłbym ją cisnął, gdyby nie dyscyplina, silniejsza od instynktu. Wepchałem rewolwer za pazuchę. Jednym szarpnięciem rozerwałem kołnierz. Oczy paliły jak zasypane popiołem. Leciałem ostatnim wysiłkiem, przechylony, czując, że każda przenosząca ze wzgardliwym gwizdnięciem kula może mnie w błoto powalić na zawsze.

Z wywalonym językiem, chrypiąc histerycznie, zaryłem się między pierwsze krzewy. Szarpałem je ramionami, prąc na oślep w gąszcz, chłostany do bólu giętkimi wicinami. Za mną wstawał puszysty czerwony grzebień pierwszego pożaru.

Ogień rozlewał się szeroko. Objąłem młodą olszynę, ziajałem z twarzą przyciśniętą do mokrego pnia. Czerwień, im pło-

mień wyżej w niebo wstępował, rozlewała się szerokim kręgiem. Najpierw zapalały się różowo zwierciadełka wody między skibami, potem świeciła żółto cała nawilgła rola.

Tamci strzelali ciągle. Gdy przerywali, słyszałem ich głuchy krzyk, jakim dodawali sobie odwagi, wdzierając się w opuszczoną wioskę. Gdy blask zróżowił pnie na skraju, gdy dokoła mnie przejaśniało, cofnąłem się między drzewa.

— Ale ci dali... Ale ci dali w d..., ty idioto, dyszałem współczująco, wybrać się bez karabina!...

Nie rozumiałem jeszcze, dlaczego nas nie otoczono. Powoli uspokajałem się. Zerwałem garść liści, zgryzłem je. Pragnienie męczyło. Czarne wnętrze boru niepokoiło za plecami, a pożar na polanie urzekał. Jasne, wysokie słupy huczały na wzniesieniu.

Zdawało mi się, że jakieś cienie przesuwają się skrajem lasu. — Nie znajdą mnie w ciemności, myślałem gorączkowo, mogę spróbować...

— Żurawiny! Krzyknąłem. Przestraszyłem się własnego głosu, był ochrypły, dziki, wibrował w nim jeszcze niedawny strach. Zwilżyłem wargi lepką śliną.

Gdy poznałem Zenka z chłopami, podchodzącymi nieufnie, szepnąłem do siebie z ulgą — udało ci się, u diabła!

I właściwie dopiero po uściskach, z ich głosów niepewnych, pojąłem, jak blisko byłem śmierci. Cały jeszcze dygotałem po straszliwym biegu.

— Po pierwszej salwie chłopi rozbiegli się, opowiadał podchorąży, podając mi karabin. — Jeszcze nie doliczyliśmy się... Ale strat dużych nie będzie, bo zaraz uciekaliśmy...

I nagle połapawszy się, że powiedział za dużo, dodał szybko — Wszyscy mówili, że was zabito, zrozum, tłumaczył łagodnie.

— Rozumiem, uciąłem. Od tej chwili sam zacząłem dowodzić.

Pożar wioski przykuwał uwagę chłopów. Jak otumanieni szli, szli, z głowami zwróconymi w stronę ognia, wpadali na drzewa. Kazałem im krzyczeć, aby przywołać resztę rozproszonych. Jeden ze starych zamiast hasła „Żurawina" zaczął się śmiać nieprzytomnie i wyciągając ręce ku płomieniom — za-

wył — Angelówka! O Jezu, Angelówka! Głos jego dziki głucho uderzał w gęstwinę.

Było nas jedenastu. Wyłowiłem przytomniejszego chłopaka i pchnąłem go po tamtych, co odeszli z taborem. Wszyscy z bronią mieli obsadzić skraj, przy drodze od strony Żydowskiego Lasu.

Odwrócony, nie zauważyłem, jak z krzewów wysunął się Kola. Spostrzegłem go dopiero, gdy był o krok. Twarz miał koloru miedzi, świecącą od potu. Ciemne smugi, które brałem za krew, to było po prostu błoto. Nasz długi, serdeczny uścisk musiał zaboleć Zenka, przypominał mu niedawne tchórzostwo, bo zazdrośnie przerwał mi, meldując się po rozkazy.

Kazałem maszerować brzegiem lasu. Chciałem zajść Ukraińców od tyłu. Pokazało się zaraz, że nie jest to takie proste. Pod lasem ciągnęły się bagniska. Musieliśmy je omijać szerokim łukiem.

Znacie te lasy? Nieprzejrzyste, podszyte gęstwiną. Uwikłaliśmy się w krzewy, przedzieraliśmy się krok za krokiem. Było ciemno, mimo że nad nami świecił zwodniczy odblask pożaru. Gdy opuszczałem głowę z oczami pełnymi żywiołu, las zwierał się wokół mnie ciasno, nieprzebyty i mroczny. Wołałem — Naprzód! I zapadałem się po kolana w szlam. Wyciągany rękami towarzyszy, kląłem, pchając się na czoło, porywałem zapałem szaleńca. Wiedziałem — wystarczyło dać chłopom chwilę spoczynku, a siądą pod drzewem pełni żałosnego namysłu i wzdychając, będą patrzyli do białego dnia w ruchliwą łunę na chmurze. — Naprzód! — wołałem, brnąc przez łąki podpłynięte wiosennymi roztopami. Skakałem przez bagno po kępach zeszłorocznych, ostrych jak szkło traw. Mściłem się na sobie za tamten zwierzęcy strach. Dziś wiem, że za dnia nie przebyłbym tej przeklętej drogi.

— Kola, zapytałem, bo pożar mylił drogę, pokaż busolę!

Zaszeleścił, łamiąc wpychającą się na piersi gałąź, potem zaklął, potrząsając brzęczącym pudełkiem. — Durknął ja... parsknął gniewnie.

— Gdzieżeś się nadział? zawołałem, ale on już śmiał się głośno, wciskając mi w zabłocone palce spłaszczony pocisk, który uwiązł w pudełku.

— Masz szczęście, Kola, będziesz długo żył — potwierdził Zenek, klepiąc go w ciemności.

Nie dałem im się roztkliwiać. Pchnąłem ich twardo — Naprzód! Jazda! Mogłem tak iść całą noc. Czułem przez rozłażące się, oślizgłe buty każdy patyk, nieledwie ostrość deptanych traw bagiennych. Zaczepiałem karabinem o gałązki, targałem miękki puch młodych, gorzko pachnących listków. Zygzakiem przechodziliśmy przez las, wyciągniętą ręką dotykając pleców poprzednika.

Olbrzymimi bąblami burego dymu, kłębami iskier przewalającymi się jak fałdy majestatycznej tkaniny, rudawej, ciężkiej, dopalała się za lasem wioska.

Z jakąż ulgą poddałem się kierownictwu młodego Babicy, który wyprowadził nas na ścieżkę, przez rozlewiska zadymione oparem. Szliśmy po zeszłorocznych kłodach i kładkach kołyszących się na bagnie. Tanecznymi ruchami, rozkładając ręce łapaliśmy równowagę, zawieszeni na śliskim pniu w różowawej otchłani, między pożarem na chmurze, a tym, który buzował w zamglonym rozlewisku.

Marsz nasz musiał trwać kilka godzin, bo nim wyszliśmy znów na brzeg lasów, na poręby wioskowe, ptaki przestały krzyczeć, łuna na niebie igrała jak odblask zwierciadełka — stodoły dopalały się.

Próżno byłoby teraz po nocy szukać dobrych stanowisk. Przysiedliśmy pod drzewami, czekaliśmy, drzemiąc. Daleko belki tliły się płomykami, podobnymi do westchnień gasnącej lampy naftowej. Słychać było motory. Pracowały ciężko. W blasku przesuwali się zbrojni. Po raz pierwszy tej nocy padło przypuszczenie — Niemcy!

Nogi bolały mnie nieznośnie. Buty po prostu rozlazły się. Kruche patyki, igliwie i szlam powpychały się dziurami. Gdy rozerżnąłem sznurowadła i przetarłem zabłocone stopy, pokazało się, że nie ma już po co wkładać tych strzępów. Zostałem boso. Drzemaliśmy skuleni. Zapadliśmy w półsen. Gdy budziły mnie dreszcze, zapamiętałem zamgloną plamę ognia, majaczącą w zmęczonej źrenicy.

Ranek wstał wczesny, biały i różowy, jak świeżo wylizany kot. Przecieraliśmy oczy, bili rękami po piersiach dla rozgrzewki, klęli i drapali się leniwie.

Koguty piały z mgły, jak co dzień. Zamiast czarnych zwalisk, wzniesienie jaśniało jednym bukietem. W ciągu nocy — pod wpływem ciepła — porozkwitały gwałtownie czereśniowe sady i białe kwiecie olbrzymimi kopułami przysłoniło pogorzelisko. Po drodze kręcili się Niemcy. W wyścigu, śpiewie chóralnym, mijały się umajone wozy zjeżdżających na rabunek Ukraińców.

Nie, nie mogę tego nazwać walką... Rozłożeni za drzewami, strzelaliśmy na osiemset metrów do grup, wymieniając między sobą półgłośne uwagi, amunicję i karabiny. Pachnący pogorzelą wiatr ciągnął ku nam, więc kule dochodziły szybciej, niż zdmuchnięte stuknięcie wystrzału. Równocześnie odezwał się karabin z drugiej strony. Domy nie zasłaniały Niemców, przypadali za plecionymi płotami. Leżeli według siebie ukryci, a właściwie wystawieni na nasze kule. Na drodze wybuchł popłoch. Zauważyłem, że chłopi chętniej celują w rabusiów, niż w umundurowanego żołnierza; nienawiść sąsiedzka okazała się mocniejsza. Konie padały, przewracały się wozy, wysypując sprzęt gospodarski i krzyczące, wystrojone odświętnie dziewczyny. Oficerowie nakazywali ostrzeliwanie lasu, ale ogień maszynowy tylko zacinał po konarach, gwizdał w młodym listowiu. A my strzelaliśmy spokojnie, jak do tarcz. Bez uciechy zresztą, bo nie było już czego bronić. Po prostu pracowaliśmy. Po dwudziestu minutach bezładnego ognia Niemcy wycofali się pospiesznie, choć, muszę przyznać, w porządku, zabierając zabitych i rannych. Ostatniego Szwaba ustrzeliłem, gdy kryli się już w lesie. Nie był większy od palca.

Mimo słońca było zimno. Ruszyliśmy raźno do wioski. Bałem się tego marszu, patrząc na zsiniałe stopy, ale czarnoziem słabo dymiący oparem, im wyżej, tym bardziej podsychający, cieplejszy był w wiosennej fermentacji od porannego powietrza.

Pola pachniały mocno, aż się oddychało głębiej, czując przybierającą moc. Języczki pary pełgały z zagonów, rozwiewając się w różowym świetle.

— Ziemia dyszy...— szepnął za mną Zenek, przeciągając się.

Idąc na przełaj, natrafiliśmy na rozścieloną słomę i celty, garście łusek — wczorajsze stanowiska wyjściowe niemieckiego natarcia.

Naprzeciw nas, kołysząc się jak postrzelony ptak, wybiegł z krzewów wioskowych Wosiek Kuternoga. Chłopak jaśniał dumą, na plecach miał karabin, a w ręku piastował nowiutki pistolet maszynowy. Krzyczał do nas z dala, wymachując triumfalnie zdobyczną bronią.

Cała droga była zasypana świątecznymi kołaczami, okrągłymi bułkami nadziewanymi serem i makiem. Pogryzaliśmy je gawędząc. Miałem przeczucie, jakby najgorsze było poza nami, jakby wszystko już szło ku lepszemu. Wosiek, plaskając owiniętą w szmaty nogą, opowiadał o niemieckim ataku i pożarze wioski.

Chłopak stał na warcie z Tomczukiem koło chaty Ukraińca. Gdy noc zapadła, Tomczuk wyczuł, że coś się w środku wioski dzieje, bo zagwizdał na sąsiada, zostawił wyrostkowi karabin, a sam przepadł. W parę minut po jego zejściu z posterunku od strony pola przyszedł jakiś chłop, otworzył wrota na łąki i zaczął kogoś przyzywać. Na hasło nie odpowiadał.

— Nie był to Tomczuk, bo poczułbym go zaraz po kożuchu, opowiadał Wosiek. Za nim ruszali się inni, nie było co czekać, to i strzeliłem...

Nie wierzyłem mu. Musiał przecież rozpoznać swego gospodarza, poruszającego się swobodnie po obejściu. Później usłyszałem inną wersję. Opowiadał przysłuchującym się, palącym machorkę chłopom, że Hryć zaszedł go w domu, jak szperał po kątach — „Ty złodiju, krzyczał, ja ciebie ubiję!“ Ale poczuwszy lufę opartą o brzuch, zaczął skomleć. Mściwy chłopak pamiętał ciężar gospodarskiej pięści: bez wahania pociągnął za spust.

Potem przestraszony krokami idącej przez pola gromady wlazł pod sąg drzewa. Tamci, straciwszy przewodnika, wołali półgłosem po niemiecku. Nie dostali odpowiedzi. W obawie zasadzki pokładli się na łące. Wreszcie nadszedłem z Rosjanami.

— Poznałem pana porucznika dopiero, jak pan krzyknął: Stój! kto idzie? Ale już tak strzelali, że się bałem poruszyć... Z naszych od tego ognia Wania dostał. Podczołgał się do sadu, bił z pepeszy do ostatniego naboju, zatłukli go między ulami... I cała mandolina na nic, dno wybite, a drzazgi rozniosło.... Jabym pokleił, bo mówią, że to i lepszy nawet dźwięk, a tak nie sposób...

Chłopi porozłazili się. Wyciągali nadpalone, postrzelane świnie, ćwiartując je pospiesznie. Inni zaglądali do piwnic w sadach, grzebali drągami w popiele. Kilku łapało kury, które noc spędziły na drzewach. Słońce zaczynało przygrzewać.

Podnieśliśmy Wanię Śmieszka. Twarz miał pociętą łopatą. Jeden but już mu ściągnięto, żółta stopa leżała na garści stroconej słomy. Ponieśliśmy go do dołu po ziemniakach. Zenek znalazł but rzucony pod płotem; ważąc go w ręku, stanął nad zwłokami. Przeżegnałem się szybko. Rozkwitłe czereśnie pachniały słodko. Kola stał obok. Nie patrzył na poległego towarzysza. Zadarł głowę, ścigając wzrokiem obłoki, radosny błękit między spienionymi od kwiatu gałęziami. Czułem ciepło słoneczne na bosych nogach.

Złapałem za gałąź, chciałem nałamać, przyrzucić kwiatami zmasakrowaną twarz poległego, ale widząc jak Kola wzruszył ramionami, wypuściłem ją z palców. Kola zeszedł do dołu, przyklęknął. Myślałem, że chce druha pożegnać, ale on ściągnął szybko drugi but z trupa i cisnął mi pod nogi.

Gdy wahałem się, dodał: — To od Wani, on już ich nie zedrze... On byłby rad...

Poczułem głębokie wzruszenie. To, co zrobił Kola, było może niezgodne z naszą przysłowiową rycerskością, w każdym razie nie miało nic wspólnego z romantycznym, nietrwałym gestem. Było mocne i proste.

Zawalaliśmy grób pospiesznie. Nie było czasu na klecenie krzyża. W tłustą, brunatną ziemię zatknęliśmy rozbitą mandolinę, by zaznaczyć miejsce.

— Ja tu pryjdu, powiedział Kola, poprawiając torbę z bębnami. Sad jarzył się w wiosennej pogodzie, drzewa grały łagodnym brzękiem. Na przestrzelonych ulach zalepiały otwory pszczoły, siedzące burymi grudkami.

Tu mógłbym opowiadanie zakończyć. Opisem odpoczynku partyzantów i chłopów, wygrzewających się w kwietniowym słońcu. Ludzie leżeli na polanie, wśród młodej trawy i zeszłorocznych liści, pod trzepotem najdelikatniejszej zieleni rozkołysanej brzeziny. Starzy chłopi chylili się do mojej ręki, jakbym był proboszczem, dziękując za ratunek. Odpędzałem ich szorstko. Cóż ja miałem z tym wspólnego?

Zmęczenie rozlewało się w mięśniach senną drętwotą. Przewiewała woń dymu z żydowskich bunkrów, lepkiego listowia wiosennego i jakichś żółtych, o miodnym zapachu kwiatuszków.

Gdy przymknę oczy, widzę roześmianą, pokrytą piegami twarz podchorążego, rozwalonego w słońcu; Kolę pochylonego nad busolą, dumającego nad ślepym lotem pocisku; dalej ziemianki Żydów, kobiety blade i wątłe dzieci przyglądały nam się spoza rozchylonych gałęzi, cofając się, gdy je dotknęło nasze niedbałe spojrzenie.

Wosiek leżał na automacie, z lufą na podgiętym ramieniu. Był dumny, jakby ocalenie gromady okazało się jego zasługą. Spał, marszcząc śmiesznie nos, gdy go łaskotały kołysane podmuchem trawy.

Może na tej chwili spokojnego snu, godzinie kwietniowego południa, zamknąć ich dzieje? Zbyć natrętnych machnięciem ręki: dalej już wszystko poszło dobrze...

Nie! Powiedzmy odważnie, co los dalej namotał. Byłoby nieuczciwie przeciąć opowieść na tym momencie statycznym grupowej, pamiątkowej fotografii. Zarysować wierzchołki drzew, rozjarzone w słońcu i cienie na ziemi, ziemi, która miała wkrótce niejednego z nas pochłonąć.

Opowiadam do końca, choćby to miało was razić i boleć.

Natan przykucnął koło mnie na piętach, bał się, że stojąc ośmielałby się górować nade mną, ułożonym w trawie wygodnie. Twarz jego zarastająca dziko rudym, wijącym się włosem, niepokoiła mnie długo potem we snach.

— Gdybyśmy mieli karabiny — zaczął — pan porucznik wie, że przyszliśmy bez broni. Już byliśmy między pierwszymi drzewami, jak posłyszeliśmy, że nadchodzą. Położyliśmy się i czekali. Ukraińcy prowadzili, ale Niemców puszczali naprzód. Co nam szkodziło strzelić i uciec? Po ciemku nie odnajdą... Myśmy leżeli, a oni szli i szli... I armaty jechali... To ja pomyślałem sobie — Natan, czas zmówić modlitwę Kadysz, koniec z wioską, koniec z naszym porucznikiem... Gdybyśmy mieli jeszcze parę karabinów... Ja nie chcę darmo... Ja ich kupię. Wy pójdziecie. Za Sanem dla was koniec wojny, a my tu musimy dalej żyć!

— Dostaniecie broń, ziewnąłem, parę dni przeczekamy i odjazd.

Chłopi przeważnie spali z grubymi, zgasłymi skrętami samosiejki poprzyklejanymi do warg. Na nic więc noce wartowania, skończyło się, nie obroniliśmy, ruszamy na Zachód. Teraz bezdomni wisieli już na mnie jak kleszcze.

— Pan jest człowiek, szepnął tkliwie Natan.

Pomyślałem — cóż to jest człowiek? Pełen niesmaku, znając się na wylot, uważałem człowieczeństwo, jakim mnie Natan raczył, za największe z pochlebstw. Jakże łatwo przekraczałem przykazania, stanowione przez ludzi i Boga! Kłamałem uczucia, zabijałem...

Zenek podniósł się, trącił nogą Natana. Brzękał czymś w zaciśniętych dłoniach jak grzechotką.

— Natan, ty jesteś zły kupiec! śmiał się. Wczoraj złotem płaciłeś mi za mięso, którego już nie poradziłeś udźwignąć, a dziś tam wieprzków podpieczonych do diabła... Ale musisz się spieszyć, zanim Ukraińcy nie wrócą!

— Panie poruczniku, zwrócił się do mnie, czy mogę się odmeldować? Parę dni przecież nikt nie wytknie nosa z bagien; skoczyłbym do leśniczówki, do Teosi!

Namyślałem się. Kola obok zaklął, oglądając zdjęty kaftan. — Ot, mądra kula, patrz, gdzie zalazła! Pocisk przeszedł rękawem, parząc skórę i wydarł dziurę koło łokcia.

— To już drugi, zawołał podchorąży. — Kola, zamieniłbym się z tobą. Masz długie życie przed sobą!

— Z czegóż do ciebie tak rąbali? — zapytałem, przetaczając się na bok.

— Z aftomatu, prosto w mordu — zaśmiał się i chcąc mi pokazać, żartem pochwycił lufę, wystającą znad ramienia śpiącego Wośka.

— Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, śmiał się Zenek, ruszyliśmy chłopów, pan porucznik wyfasował buty, Wosia automat, a ja tę błyskotkę. Potrząsnął żydowską bransoletką i zaraz ukrył ją w dłoni.

Strzał, który padł niespodzianie, poderwał wszystkich. Wosiek wrzasnął tak strasznie, że błysnęło mi — musiał dostać. Dopiero widząc Zenka na ziemi z bezgłośnie otwartymi wargami i ciemną plamą rozlaną na biodrze — zrozumiałem, kto jest ofiarą.

Chłopi wpadali na siebie, nieprzytomni ze snu, krzyczeli depcząc w zamieszaniu po broni.

Nim rzuciłem się ku rannemu z pomocą, zobaczyłem Kolę stojącego z wyrazem bezmiernego zdumienia, wpatrzonego w wyciągniętą rękę. Z otwierających się palców wypływały smużki dymu. Nagle padł na kolana. Jęcząc jak szczenię gnane strachem, przyciskał głowę do ziemi, bił nią o pień brzozy, targał włosy.

— Kogo ja ubił? Czto ja zdiełał? Na czworakach, z nosem przy ziemi, wyszarpnął rewolwer i nim zdążyłem mu przeszkodzić przytknął lufę do skroni, pociągając za spust.

Szczękał kilkakrotnie, był to ułamek sekundy. Nim kopnąłem go w łokieć, by mu rewolwer wytrącić, już sam go ciskał ze wstrętem i wściekłością.

— Kola, tyś nie winien, wołałem, krępując go ramionami. — Automat sam wystrzelił... Rozumiesz, odbezpieczony zaczepił o trawę... Kola, musisz teraz żyć! Masz go ratować!

Oczy wciąż jeszcze miał błędne. Ich jasny błękit był jakby ścięty żalem nieludzkim. Szamotał się ze mną — Ubijcie, druzja, prosił.

— Wołaj lekarza, wrzeszczałem mu w ucho, jest między Żydami!

Przywlókł go błyskawicznie. — Proklaty Jewreju! Jak nie uleczysz, ze skóry obedrę — syczał, rozpinając rannego. Do palców, pomazanych krwią, obficie płynącą lepiły się jasne nici wydartych z głowy włosów.

W milczeniu czekaliśmy wyroku lekarza. Kula weszła w pachwinę, strzaskała szyjkę stawu biodrowego i wyszła pod nerką. Ranny musi co najmniej trzy dni leżeć bez ruchu. Potem ostrożny transport i przewlekłe leczenie szpitalne. Nachyliłem się nad leżącym. Był obnażony, wydany na nasze spojrzenia, słyszał wszystko.

— Panie poruczniku, szeptał, niech pan powie Teosi, żeby przyjechała... Niech jej pan to da ode mnie. Palce łapały coś w powietrzu, podano mu bransoletę, którą w popłochu wdeptaliśmy w ziemię.

— Przywiozę ci ją, powiedziałem z myślą o dziewczynie. — Schowaj, dasz jej sam. Tak będzie lepiej.

Pomogłem jego bezradnym palcom odpiąć kieszeń w bluzie.

— Kola zostanie przy tobie, my odchodzimy w las. Wróćmy z wozem za parę dni. Trzymaj się!

Tymczasem żołnierze — jak to żołnierze; gdy pierwszy gwałt minął, zajęli się rewolwerem. Dlaczego nie wystrzelił, skoro ma pełny magazyn. O ironio! Trzecia kula w nocnej wyprawie wymierzona w pierś Koli zgięła tylko nakładkę i uszkodziła iglicę w zatkniętym w zanadrze rewolwerze. Zacięcie uratowało życie Rosjanina.

Gdy mu, tłumacząc całą sprawę, podsuwano rewolwer, stał nic nie mówiąc ze skrzywionymi wargami. Może już był rozgniewany tą przewlekłą nietykalnością, może myślał, że z niego drwią? Stał górując nad chłopami, mocny, z twarzą o rysach czystych i drapieżnych. Taśma haftowana w róże przepasywała mu pierś, torbę nadal rozpychały bębny. O świcie bowiem strzelaliśmy z karabinów; pepesza nie donosiła.

Odjeżdżaliśmy. Żydzi oglądali Kolę raczej z trwogą, zamiast cieszyć się z obrońcy. Wiedziałem, że nalany, żółty, chory na wątrobę lekarz nie będzie miał chwili wytchnienia. Za to ja oddychałem spokojnie. Lepszej niańki dla rannego nie mógłbym znaleźć.

No i cóż? Nie przyjechałem za trzy dni, jak obiecywałem, ani za tydzień. Obławy przetrząsały puszczę. Czyszczono pas przyfrontowy. O Żydów byłem spokojny. Nie mieli krów, koni, taborów, rozścielonej słomy, niesfornych bab, nieugaszonych w porę ogni. Storchy, lecąc nawet tuż nad drzewami, nie mogły ich wyśledzić.

Wreszcie uspokoiło się trochę. Wyjechaliśmy nocą. Młody Babica wymościł lekki wózek. Teośka siedziała przy mnie, może raczej leżała na sianie. Nie pojmowała mojej obojętności. Zgadywałem, że wiele sobie obiecuje po tej wyprawie w ciepłą noc majową.

Jechaliśmy powoli, kołując, lasami. Powietrze było pełne mocnych oddechów drzew. Księżyc wisiał za lasem. Droga była ciemna i kręta; zamykała się zaraz za nami. Wózek stukał po progach korzeni, to cichł w próchnicy i torfowiskach, nim chlupot kopyt, młócenie szprych o wodę nie oznajmiło przebywanego strumyka.

Dziewczyna tuliła się do mnie. Wykorzystując wstrząsy wozu, dotykała mi skroni lekko wargami. Niby z zimna, wsu-

nęła mi dłonie pod bluzę, za koszulę, końcami palców szczypiąc sutkę.

— Miły, sprzykrzyłam ci się już?

— Jedziemy do twego narzeczonego, rozumiesz? Do Zenka — odsunąłem ją szorstko.

— Jaki tam narzeczony? Co mi on.. Ja chcę ciebie, szeptała przywierając ciasno.

Owinąłem się płaszczem, odwróciłem, udając, że zasypiam. Musiała być mocno dotknięta tym odtrąceniem, bo wściekła przesunęła się w stronę Babicy. Słyszałem, jak się szamotali. Nie oglądałem się. Las pachniał wilgotnym liściem. Wystarczyło unieść głowy, by sprawdzić, czy robią to, o co ich podejrzewam. Ale wolałem, siląc się na obojętność, myśleć: Siano z moczarów ma zupełnie inną woń od łąkowego... Potem usłyszałem klaśnięcie, młody Babica przeklinał półgłosem, spluwając wzgardliwie. Uśmiechnąłem się z zamkniętymi oczami.

Znów przysunęła się zła, na wpół uklękła nade mną. Księżyc, podobny do ukruszonego twarogu, zajaśniał nad dębiną. Klęczała ze złożonymi rękami; oczy miała czarne, duże, niepokojące. Krople rosy zapalały się zielono na wzburzonych włosach — wyglądała jak czarownica.

— Goni się, suka! spluwał parobek.

— Głupi, syczała, zaciskając splecione palce, głupi wy...

Podawała twarz w niedobre światło miesiąca. Komary grały. Śmiech sowy, trucht konika i milczenie mrocznej ściany drzew niepokoiły. Dróżka była tak wąska, że mokre od ros gałęzie zaczepiały o koła, dotykały lekko naszych czół.

Dziewczyna pełna rozbudzonego majem niepokoju, nie rozumiała zawiłych spraw męskich, a tak właściwie prostych. Widziałem po jej złym uśmiechu, że podchorąży nie będzie się nią długo cieszył. Głowa moja toczyła się po sianie, podrzucana wstrząsami. Wiedziałem, że wszystko, co postanowiłem tej nocy, jest tylko czczym gestem, niczego już nie ratującym. Fałsz tkwił głębiej. Więc tylko dla siebie, do obrzydliwości dla siebie...

Dojechaliśmy. Dalej trzeba było pieszo. Dałem Teosi znak. Zeskoczyła. Szedłem szybko bez słowa. Dziewczyna nie bała się. Zostawała w tyle, dużym odstępem zaznaczając wrogość.

Turkot wozu uprzedził warty. Natan wyszedł naprzeciw. Czerwonawe światła niskich okienek bunkra mżyły przez gałęzie. Jakże mocno pachniał dym tlącego się mokrego drzewa— bliskością domu!

— Dobry wieczór! My w odwiedziny! Co z podchorążym?

— Dobrzeje już. Lepiej z nim. Zawsze jestem panu porucznikowi rad.

— Gdzie Kola?

— Jest tu, odpowiedział tak dziwnie, że odwróciłem go do księżyca, by mu się przyjrzeć. Twarz miał umęczoną, włosy na skroniach siwawe.

— O, tu — szepnął, jakby wskazywał, gdzie się tamten przyczaił dla żartu.

Było to świeżo uklepane wzniesienie, pod nawisłą nisko leszczyną. Kilka świetlików ulatywało, zapalając się jaśniej na wilgotnej ziemi. Stałem osłupiały.

Wtedy zaczął opowiadać szybko, półgłosem, bez gestów. Było coś przerażającego w tym spokojnym, sprawozdawczym tonie, tak jakby Natana już nic na świecie nie mogło zadziwić ani przerazić.

Kola pielęgnował Zenka. Bunkier był wilgotny, więc wynosił rannego na trawę do słońca. Pobił doktora, gdy ten natychmiast na zawołanie nie przybiegł. Nigdzie daleko nie odchodził. Ale czy trzeba było daleko? Tu puszcza, a w puszczy różni się kręcą; więcej złych niż dobrych. Torby nie nosił. Pepeszę postawił pod ścianą. Chodził w las z rewolwerem.

Raz, gdy się tak oddalił, nadeszli dwaj Rosjanie. Musieli błąkać się długo. Obdarci byli, wygłodniali, zawszeni. Śmierdzieli z daleka, już nie ludzie a zwierzęta. Zabrali pepeszę. — Eto ruska, mówią, nam się nada... Zabrali ją i torbę z kołka. Zeżarli, co było, potem nas wygonili w las i z kobietami swoją sprawę. A myśmy tylko chodzili i modlili się, żeby Kola nie nadszedł, bo by do strzelaniny doszło... Myśmy się tak bali... Żeby to wiedzieć, że ich dwóch? Zabić byłoby można... Ach, te karabiny, co pan porucznik jeszcze...

— Przywiozłem je — szepnąłem.

— Chwała Bogu. — Uśmiechnął się boleśnie. — Przyszedł Kola, nie można było prawdy skryć. Pogonił za nimi. Dopadł.

Strasznie krzyczał. Pobił. Swoje odebrał. Gdyśmy zapytali, splunął tylko. — To nie sołdaty, parsknął, to swołocz! I poszedł ręce myć do źródła, co je na ich pyskach pokrwawił.

Na drugi dzień rano Kola siedział przed bunkrem i kartofle obierał. Tak, tak, bo dla pana podchorążego wszystko było osobno, żeby się Żydami nie zbrzydził! Wtedy jak raz moja żona wyjrzała. Pana Kolę jakby coś tknęło, bo za rewolwer złapał, ale oni już mu z tyłu w plecy.

Jeszcze do leżącego jak do psa strzelali.

Potem kłócili się o tę torbę. Zabrali nam szmat trochę i dalej w las. Dobrze, że nie zabili. Jak wróciliśmy, tośmy się strasznie zlękli, że wszystko będzie na nas. Ale pan podchorąży świadek! Gdzieżmy byśmy takiego sokoła?

Pan podchorąży ciągle płakał i nie mógł przestać i wołał: murzyny, przeklęte murzyny! Ażeśmy się bali, czy mu na rozum nie padło, bo to nie byli żadni murzyni...

Noc gniotła. Księżyc szczerbił się o wierzchołki brzóz. Ścisnąłem skronie rękami, zagryzłem wargi, by nie jęczeć. Leżysz tu, przyjacielu. Kola! Kola, przez ciebie mogłem pokochać Rosję.

Spojrzałem na Żyda. Twarz miał spokojną, odległą, jak człowiek bardzo cierpiący. Oczy jego przypominały stawy bagienne, uciszone, gładkie, choć niejedne zwłoki spoczęły na dnie.

Odjeżdżałem w mgle porannej. Teośka siedziała już na wozie. Na jej smagłym przegubie błyskało przeklęte żydowskie złoto. Chmurną twarz odwracała ode mnie.

Natan stał przy koniu. Żegnając się, pocałowałem jego żonę w rękę. Głupi, niepotrzebny gest, który ją więcej przestraszył niż ucieszył.

— Pan jest człowiek, szeptał cicho Żyd, odbierając ode mnie przywiezione karabiny i amunicję. Wyciągałem je po kolei z siana, i dawałem Natanowi broń, dzieląc się z nim możliwością zabijania, jak nowym, straszliwym człowieczeństwem.

Wrocław, styczeń 47

CHŁOPIEC Z BIBLIĄ

Dozorca otworzył drzwi. Do celi wszedł chłopiec i zatrzymał się u progu. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

— Za co ciebie zamknęli? — zapytał Kowalski, zecer z Bednarskiej.

— Za nic — odpowiedział chłopiec i przeciągnął dłonią po ostrzyżonej głowie. Ubrany był w wytarty, czarny garniturek uczniowski. Przez ramię miał przewieszone palto z barankowym kołnierzem.

— Za co go mogli zamknąć? — rzekł Kozera, przemytnik z Małkini. — Przecież to jeszcze szczeniak. I Żyd pewnie?

— Nie mówilibyście takich rzeczy, Kozera — odezwał się spod ściany Szrajer, urzędnik z Mokotowskiej. — Wcale chłopak na to nie wygląda.

— Nie gadajcie, pomyśli, że sami bandyci tu siedzą — rzekł zecer Kowalski. — Siadaj chłopiec na sienniku. Nie ma co myśleć.

— Niech nie siada, bo to miejsce Mławskiego. Może zaraz wrócić z badania — rzekł Szrajer z Mokotowskiej, u którego znaleźli gazetki.

— Cóżeście, stary, zwariowali do reszty? — zdziwił się zecer Kowalski. Posunął się, robiąc chłopcu miejsce. Chłopiec usiadł i położył palto na kolanach.

— Co się patrzysz? Piwnica i tyle. Nie widziałeś nigdy? — zapytał Matula, który, udając gestapowca, chodził w długich butach i skórzanej kurtce po chłopach i rekwirował świnie.

— Nie widziałem nigdy — odburknął chłopiec.

Cela była mała i niska. Na ścianach piwnicy błyszczała w mroku wilgoć. Brudne, wypaczone drzwi pokryte były da-

tami i imionami, wyrżniętymi scyzorykiem. Koło drzwi stał kubeł. Pod ścianą na betonowej podłodze leżały dwa sienniki. Ludzie siedzieli skuleni, dotykając się kolanami.

— Przyjrzyj się, ale dobrze — roześmiał się Matula. — Byle gdzie tego nie zobaczysz.

Poprawił się na sienniku.

— Ciągniesz jeszcze? — zapytał.

— Ciągnę. — Dobrałem kartę. — Sobie.

Wziął trzy karty. Popatrzył w nie.

— Było nie było. Dosyć.

— Dwadzieścia. — Wyłożyłem karty.

— Przegrałem — rzekł Matula. Strzepnął kurz z kolana. Jego bryczesy zachowały jeszcze kanty. — Pajdka twoja. Ale karty są i tak znaczne.

Na korytarzu trzaskały wyłączniki. Pod sufitem zapaliło się mdłe światło. W okienku pod sufitem tkwił granatowy kawałek nieba i fragment dachu od kuchni. Kraty w otworze były zupełnie czarne.

— Jak się nazywasz, chłopcze? — zapytał urzędnik Szrajer. Oprócz gazetek wyszperali u niego jeszcze jakieś pokwitowania ze zbieranych pieniędzy na organizację. Przez cały dzień nie ruszał się z siennika i bezustannie żuł sztuczną szczęką. Z głodu uszy odstawały mu coraz bardziej.

— A tam, jak się nazywam — rzekł chłopiec z lekceważeniem. — Mój ojciec jest dyrektorem banku.

— To ty w takim razie jesteś synem dyrektora banku — powiedziałem, odwracając się do niego.

Chłopiec siedział pochylony nad książką. Trzymał ją blisko oczu. Palto miał porządnie złożone na kolanach.

— Aha, książka. Co to za książka?

— Biblia — rzekł chłopiec, nie podnosząc oczu znad książki.

— Biblia? Myślisz, że ci tu pomoże? Cholerę w bok pomoże — odezwał się przemytnik Kozera spod drzwi. Chodził szerokimi krokami od ściany do ściany, dwa kroki w przód, dwa w tył, obrót w miejscu. — Tak i tak w czapę.

— Jak kogo — rzekłem, biorąc znów karty od Matuli. — Oczko.

— Ciekawe, kogo dziś wywołają z naszej celi? — rzekł Szrajer z Mokotowskiej. Wciąż oczekiwał, że go rozstrzelają.

— Znowu? — rzekł wrogo zecer Kowalski.

— Dawaj jeszcze raz — rzekł gestapowiec Matula. Zaciął mu się rewolwer przy ostatniej rekwizycji. — Ryzyka fizyka, a żyć trzeba.

Karty były zrobione z tekturowego pudełka po paczce. Figury narysowali chemicznym ołówkiem ci, co tu byli przed nami. Każda karta była znaczna.

— Nic mu nie będzie — rzekłem, tasując. — Posiedzi, tata forsę wybuli, mamusia uśmiechnie się, do kogo trzeba i chłopaka puszczą.

— Ja nie mam matki — rzekł chłopiec z biblią. Przybliżył książkę jeszcze bardziej do oczu.

— Tak, tak — rzekł zecer Kowalski i ciężko położył rękę na głowie chłopca. — Kto wie, czy my jutro będziemy jeszcze żyli?

— Znowu? — odezwał się urzędnik Szrajer z Mokotowskiej.

— Nic się nie martw — rzekłem do chłopca. — Grunt, aby się po tobie nie martwili. To najgorzej. Kiedy ciebie aresztowali?

— Mnie nie aresztowali — odrzekł chłopiec.

— Nie byłeś na Polizei? — zapytał zdziwiony Kozera, przemytnik z Małkini.

— Nie byłem — odpowiedział chłopiec. Złożył starannie książkę i schował ją do kieszeni palta. — Zostałem złapany na ulicy.

— Była łapanka dzisiaj? Na jakiej ulicy? — spytał niespokojnie urzędnik Szrajer, u którego znaleźli gazetki i pokwitowania. Miał dwie córki, które chodziły na gimnazjalne komplety. Miał nadzieję, że dostanie z domu paczkę żywnościową.

— To coś nie tak — rzekł zecer Kowalski. — Gdyby była łapanka, to by przywieźli całą kupę ludzi, a nie tylko jego jednego. Coś by się i tu słyszało.

— Albo zobaczysz bramę z tej dziury? — powiedziałem, kiwając głową w stronę okna pod sufitem. — Masz tylko dach kuchni i kawałek warsztatu.

Pokazałem gestapowcowi Matuli karty:

— Dziewiętnaście.

— Jak skąd — rzekł Kozera, przemytnik z Małkini. Wiózł słoninę do gubernii i został złapany w klasycznym miejscu na granicy. Stał pod drzwiami i patrzył w okno. — Od drzwi widać więcej. Pod kuchnią chodzi wachman z psem. Wyładowują kartofle na jutro.

— Znowu fura — rzekł Matula, rzucając karty na siennik. — Nie mam szczęścia. Pewno przyjdą po mnie. Bo po co by mnie tutaj przenosili. Tylko na czapę, no nie?

— Myślałeś, że na wolność? — odezwał się przemytnik Kozera.

Chodził wielkimi krokami od sienników do drzwi i z powrotem.

— Ano — rzekł z westchnieniem Matula. — Może się odegram. Jak nie, to jutrzejsza pajdka twoja.

Począł przekładać karty, zrobione z tekturowego pudełka po paczce.

— Jeśli dziś przyjdą po ciebie, to co mi jutro po twojej pajdce? — Wyciągnąłem rękę. — Dawaj karty.

— Mnie złapał policjant na ulicy Koziej — rzekł chłopiec.

— Granatowy? Mnie też — powiedział przemytnik Kozera.

— Zwyczajny policjant. I przyprowadził mnie tutaj.

— Prosto do bramy? Przez ghetto? Nieprawda — rzekł Szrajer, urzędnik z Mokotowskiej.

— Przywiózł dorożką. Mówił, że jest bardzo późno, bo by mnie zawiózł na Polizei. A tak dostawił mnie do bramy — powiedział chłopiec i uśmiechnął się do wszystkich.

— Miał poczucie humoru — rzekłem do chłopca. — Pewnie pisałeś farbą na murze?

— Kredą — odpowiedział chłopiec.

— Trzeba ci było malować? — rzekł Kowalski, zecer z Bednarskiej.

— Dozorca domu będzie miał przez ciebie robotę. Żebym był tak twoim ojcem. — Pogłaskał chłopca po ostrzyżonej do skóry głowie.

— Kowalski, a pocoś ty gazetkę drukował na Bednar-

skiej? — zapytał przemytnik Kozera. Chodził szerokimi krokami od ściany do ściany.

— Nie drukowałem żadnej gazetki. Poszedłem kupić otomanę.

— Akurat w podziemnej drukarni, co? Fura. — Podałem karty gestapowcowi Matuli.

— Pasowałeś do niej, jak francuski dukat do dłoni ulicznicy. To Szekspir, zecerze Kowalski.

— Jeszcze raz, to się odegram — rzekł Matula i począł tasować karty.

— Wystarczy. Dwie pajdki moje. — Odsunąłem karty.

— Wpadłem tak samo niewinnie jak ty — rzekł Kowalski, zecer z Bednarskiej.

— Wiesz dobrze, że ja tylko poszedłem szukać narzeczonej, bo dwa dni nie wracała do domu.

— Do rusznikarzy, co? — zaśmiał się zecer Kowalski.

Przechyliłem się w stronę chłopca i dotknąłem go ręką.

— Dasz mi potem poczytać?

Chłopiec potrząsnął przecząco głową.

— A zresztą skąd ja mogłem wiedzieć? — rzekł zecer Kowalski. — Ogłoszenie było przecież na słupie.

Zamilkliśmy. Pod sufitem paliło się mdłe światło. Siedzieliśmy na dwu porwanych siennikach. W kącie pod oknem siedział z głową na kolanach urzędnik Szrajer z Mokotowskiej, którego dwie córki chodziły na tajne komplety gimnazjalne. Uszy odstawały mu coraz bardziej. Gestapowiec Matula, który chodził na rekwizycje, siedział plecami do drzwi i zasłaniał rozłożone na sienniku karty. Na drugim sienniku siedział Kowalski, zecer z Bednarskiej, który w podziemnej drukarni kupował otomanę. Obok niego siedział chłopiec, który pisał kredą na murach i czytał biblię. Kozera, przemytnik z Małkini, chodził od sienników do drzwi i z powrotem.

Drzwi były czarne i niskie, pełne wydrapanych imion i dat. Za czarnymi kratami wybitego okna błyszczał rudy fragment dachu kuchni i jaśniało fioletowe niebo. Niżej był mur. Na murze wznosiły się wieżyczki z karabinami maszynowymi.

Dalej za murem leżały bezludne domy ghetta o pustych

oknach, w których unosiło się pierze z rozdartych poduszek i pierzyn.

Urzędnik Szrajer podniósł głowę znad kolan i patrzył na chłopca z biblią.

Chłopiec czytał znowu, trzymając książkę blisko oczu.

Na korytarzu rozległy się kroki. Żelazne płyty, pokrywające podłogę, dźwięczały. Drzwi od cel poczynały szczękać.

— Nareszcie przyjechali — rzekł zecer Kowalski, który nadsłuchiwał razem ze Szrajerem. — Ciekawym ilu nowych.

— Tego towaru nigdy nie zabraknie. Nie trzeba szmuklować. Sam przyjdzie — rzekł Kozera, przemytnik z Małkini.

— Chociaż taka korzyść, że powiedzą, co słychać na świecie — rzekł Matula, który chodził na rekwizycje i czekał na wykonanie wyroku śmierci.

— Byliście na tym świecie jeszcze dwa tygodnie temu — rzekł urzędnik Szrajer. — Dużoście wiedzieli, co słychać?

— Ale nie wiem, czy za dwa tygodnie będę jeszcze na świecie — odrzekł Matula.

— To co ciebie może obchodzić, co słychać? I tak w czapę i tak w czapę, no nie? — rzekł Kozera.

— A jakby wojna skończyła się niedługo, to może nie dadzą w czapę?

— Polski sąd teżby ciebie rozwalił za rabunek — rzekł zecer Kowalski.

— A tobie da krzyż zasługi za to, żeś kupował otomanę.

Drzwi celi otwarły się znowu. Wszedł Mławski, który jeździł na badanie. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

— Jak tam, chłopaki? — zapytał. — Miałem dzisiaj pietra. Myślałem, że zostanę na noc. Przyjechali drugim samochodem.

— Drzewa pewnie już kwitną, co? Ludzie chodzą po ulicach jakby nic? Prawda? — zapytałem, obracając w ręku karty.

— Nie widziałeś sam jak jechałeś? Ludzie żyją, żyją.

— Masz tutaj zupę. — Zecer Kowalski podał mu miskę z kolacją. — Obiadową ci zjedli.

— Dali grochówki z chlebem na obiad. Nieźle dają żreć. Zato grzeją luksusowo — rzekł Mławski. Stał przy sienniku i krajał łyżką zupę, która zsiadła się jak galareta.

— Jak ci poszło? Możesz siedzieć?

— Co tam dostałem! Jakby nic. Tylko w tramwaju. Mieliśmy znajomego referenta. Robił interesy z ojcem w Radomiu. Wiesz, jak to jest, nie? — bez pośpiechu zagarniał zupę łyżkami. — Lubię ten żurek. Czasami ma dobry smak, chociaż zimny. Jak w domu. Kartofli dziś sporo.

— Powiedziałem kalifaktorowi, że to dla ciebie. Zaczerpnął z samego dna — odpowiedziałem.

— A co powiedział referent? — zapytał urzędnik Szrajer, u którego znaleźli gazetkę i pokwitowania.

— Nic nie powiedział — odrzekł opryskliwie Mławski. Odstawił miskę pod kubeł i zdjął palto. — Dostałem po pysku za twoje palto. Szkło wypadło spod podszewki. Rżnąć się będziesz, czy co?

— Na wszelki wypadek — odrzekłem i podłożyłem palto pod plecy. Pożyczał je ode mnie na badanie, bo bał się, że mu na Polizei odbiorą jego skórzaną, prawie nową kurtkę. Mławski usiadł koło mnie.

— Wiesz — rzekł szeptem — zaproponował ojcu, żeby ojciec został konfidentem. — Jak myślisz?

— Jak ojciec myśli? — zapytałem.

— Ojciec się zgodził. Co miał robić, powiedz?

Wzruszyłem ramionami. Mławski odwrócił się do chłopca z biblią.

— Nowy, co? Ja ciebie widziałem chyba na Polizei, nie? Nie siedziałeś ze mną razem w tramwaju?

— Nie — odrzekł chłopiec znad biblii. — Nie siedziałem w żadnym tramwaju.

— On mówi, że złapał go na ulicy granatowy glina i dorożką przywiózł do więzienia — rzekł do Mławskiego Kozera spod drzwi.

— Założyłbym się, że ciebie widziałem na Polizei — rzekł Mławski do chłopca — ale jak mówisz, że cię policjant złapał... Dziwne, ale może być.

Milczeliśmy. Pomiędzy niebem i czarnymi kratami leżał wiosenny wieczór, oświetlony z dołu latarniami więzienia. Szrajer siedział z twarzą w dłoniach, spomiędzy których sterczały coraz bardziej odstające z głodu uszy. Kozera chodził od drzwi do sienników i z powrotem. Chłopiec czytał biblię.

— Zagrasz w oczko? — zapytał mnie Matula. — Człowiek siedzi jak pień. Może się odegram?

— Dajcie spokój z graniem — rzekł Szrajer, nie podnosząc twarzy. — Rodzoną matkę byście przegrali. Tu człowiek...

Umilkł. Ruszał sztuczną szczęką.

— Odezwał się. Inteligent od gazetki — rzekł Matula. — Zagrasz?

— Stawajcie lepiej do apelu. Kalifaktor już się drze — rzekł Kowalski, zecer z Bednarskiej.

Wstaliśmy z sienników. Ustawiliśmy się w szeregu, twarzą do drzwi.

— Dziś ma służbę Ukrainiec. Ale może będzie spokojnie — mruknąłem do Mławskiego. Kiwnął głową.

Otwarto drzwi naszej celi. W drzwiach stanął gruby, niski esman o czerwonej, kwadratowej twarzy i rzadkich, jasnych włosach. Usta miał mocno zaciśnięte. Na krzywych nogach miał świecące, długie buty. Za pasem nosił siódemkę. W ręku trzymał pejcz. Za nim stał wysoki Ukrainiec z kluczami. Czarną furażerkę miał zawadiacko zsuniętą na ucho. Koło niego stali kalifaktor i szrajber, mały zasuszony Żyd, adwokat z ghetta. Szrajber trzymał w ręku papiery.

Szrajer z Mokotowskiej wymamrotał po niemiecku kilka wyuczonych słów. Cela taka a taka, obłożona tyloma a tyloma więźniami. Wszyscy obecni.

Czerwony wachman policzył starannie palcem.

— Ja — rzekł. — Stimmt. Szrajber, kto stąd?

Szrajber podniósł papiery do oczu.

— Benedykt Matula — odczytał i popatrzył po nas.

— O rany Boskie, chłopcy, dadzą w czapę! — szepnął głośno Matula, który przebrany za gestapowca chodził na rekwizycję.

— Los, wychodź, raus! — krzyknął wachman i chwyciwszy go jedną ręką za hals, wyrzucił przez drzwi na korytarz. Drzwi otwarły się na całą szerokość.

Dalej na korytarzu stali wachmani w pełnym uzbrojeniu. Hełmy świeciły się ponuro w nikłym świetle żarówki. Za pasem mieli wetknięte granaty.

Wachman obrócił się do szrajbera.

— Wszystko? Idziemy?

— Nie, nie wszystko — rzekł szrajber, Żyd, adwokat z ghetta. — Jeszcze jeden. Namokel. Zbigniew Namokel.

— Jestem — rzekł chłopiec z biblią.

Podszedł do siennika i wziął palto. Od drzwi odwrócił się do nas. Ale nie rzekł nic. Wyszedł na korytarz. Drzwi celi zatrzasnęły się za nim.

— I już po apelu! Jeden dzień więcej! Dwoje ludzi mniej! Dawaj następny dzień! — krzyknął Kozera, przemytnik z Małkini.

— Dużo nam ich jeszcze zostało — rzekł bezbarwnie Kowalski. — Był chłopak, nie ma chłopaka.

Rozkraczył się nad baraszką.

— Lać, chłopcy, bo rozkładamy sienniki. Żeby nikt potem po głowach nie deptał. Jazda, ścielić, póki jest światło.

Poczęliśmy rozkładać sienniki.

— Szkoda, że biblii nie zostawił — rzekłem do Mławskiego. — Było by co czytać.

— Na nic mu już biblia. Ale ja go widziałem dziś na Polizei, przysięgam — rzekł Mławski. — Co on mógł zrobić, taki mały? I czemu kłamał, że go na ulicy policjant złapał?

— Wyglądał na Żyda, to i pewnie był Żyd —rzekł Szrajer spod okna. Położył się już na sienniku i postękując otulał paltem nogi. Seplenił, bo wyjął sztuczne zęby z ust. Zawinął je w kawałek papieru z paczki i włożył do kieszeni.

— Tylko po co była jemu biblia w takim razie?

— Pewnie był Żyd. Nie wzięliby inaczej na rozwałkę — rzekł Kowalski, kładąc się na boku przy Kozerze. — Chociaż Matulę też wzięli.

— Kryminalista, cholera, rekwizytor, nocą z rewolwerem po kweście chodził — rzekł Kozera. — Należało mu się już dawno.

Położyliśmy się z Mławskim. Nogi okryliśmy jego kurtką skórzaną, resztę ciała moim paltem. Wtuliłem głowę w miękki futrzany kołnierz. Szło od niego przyjemne ciepło.

Od wybitego okna wiało wilgotnym chłodem. Niebo poczerniało już zupełnie. Przestrzeń między niebem a oknem, leżącym na poziomie ziemi, wypełniona była złotawym światłem. Paliły się wszystkie więzienne lampy. Przez blask ich przeświecały nikłe, mrugające gwazdy.

— Pięknie jest, bracie, na świecie, tylko, że nas na nim nie ma — rzekłem półgłosem do Mławskiego. Leżeliśmy tuż przy sobie, żeby było cieplej.

— Ciekawym — szepnął do mnie — czy mego ojca wzięli?

Odwróciłem się do niego i spojrzałem mu w twarz.

— Wyszło dziś na jaw, że jest Żydem — rzekł Mławski. — Ten referent go poznał. Robili razem interesy w ghetcie w Radomiu.

— Toby ciebie też ruszyli — odrzekłem szeptem.

— Mnie narazie nie, bo jestem mieszańcem. Moja matka była Polką.

— Ale jak ojciec ma być konfidentem? Nie powinni wziąć.

— Daj Boże, żeby nim został. Toby było dobrze.

— Stulcie pyski po nocy — rzekł Kozera, podnosząc się z siennika. — Chcecie mieć sport przed snem?

Umilkliśmy i zaczęliśmy drzemać. Gdzieś z niedaleka padł głuchy, tępy strzał. Potem drugi. Podnieśliśmy się wszyscy na siennikach.

— Widać nie wywieźli ich do lasu. Rozwalają gdzieś tu, pod więzieniem — rzekłem półgłosem i począłem liczyć: — Czternaście, piętnaście, szesnaście...

— Rozwalają naprzeciw bramy — rzekł Mławski. Ściskał mi rękę z całej siły.

— To musiał być Żyd, ten chłopiec z biblią. Który to strzał był dla niego? — rzekł zecer Kowalski.

— Kładźcie się lepiej spać — zaseplenił urzędnik z Mokotowskiej, Szrajer. — Boże, kładźcie się lepiej spać.

— Trzeba spać — rzekłem do towarzysza.

Położyliśmy się znowu, przykrywając się skórzaną kurtką i paltem. Przytuliliśmy się szczelniej do siebie. Od okna szedł przejmujący wilgotny ziąb.

ANNA KOWALSKA

CZERWONE RĘKAWICZKI

Wszyscy w Cichowie przez złe lata czekali, żeby nastało życie podobne życiu przed wojną. Niektórzy łaknęli nadto nieznanej a wytęsknionej radości. Czekanie rosło z latami, stawało się chorobą, od której uwolnić się nie można. I oto wojna się skończyła, przynajmniej w Cichowie, ale serca nadal czekały.

Przez te lata kiedy Weronka, starsza siostra Marynki, wyglądała męża, zdawało się, że rozum z tęsknoty za nim straci. A kiedy wrócił, wybiegała jak dawniej na drogę, gdzie przywykła była wypatrywać jego powrotu. Możnaby myśleć, że tęskniła za kimś innym. Bywa nieraz tak, że gdy się kogoś miłego traci z oczu, to się go zapomina mimo całego żałosnego wspominania. A może nawet im bardziej się tęskni, tym głębiej się zapomina. Weronka tęskniąc za mężem, tęskniła za kimś, kto nigdy w jej życiu nie istniał. Wrócił zaś ten, który był odszedł, a nie ten, za którym nauczyła się tęsknić.

Marynka na nikogo nie czekała. Nikt jej nigdy nie kochał, nikt nie pocałował choćby żartem. Przezywano ją grubą Marynką. W domu także chociaż pracowita i chętna, wielkiego uznania nie miała. Jeśli ją lubiano, to w jakiś pogardliwy sposób. Siostry zarzucały jej, że nie dba o siebie, i wydzierały jej co lepsze wstążki, co ładniejsze chustki.

W ostatnich latach pomagała ukrywać się Antkowi, swemu stryjecznemu bratu i dwa razy życie mu ocaliła przed niemcami, którzy na niego dybali. Antek miał nieszczerą naturę i był o sobie wielkiego mniemania. Jeśli więcej tymi czasy przesta-

wał z Marynką, to dlatego, że widział w tym swoją korzyść. Był zresztą dla niej tylko bratem, gorętsze uczucia budziła w nim najmłodsza i najładniejsza siostra Marynki, Hania.

Antek powiedział Marynce, że teraz będzie dobrze, że zacznie się prawdziwe życie, którego świat wyczekiwał jak zbawienia.

— A Pan Jezus nie zbawił świata?

— Pan Jezus to co innego. Ja mówię o takim zwykłym zbawieniu od głodu i biedy.

Marynka i Antek jedli pieczone kartofle znalezione w pałacowej kuchni. Nie wiadomo kto je piekł. Niemcy znikli przed trzema dniami, za nimi ruscy pognali jak wicher, może i leśni.

— Cicho jest — szepnęła dziewczyna z westchnieniem ulgi. Przez sześć miesięcy nie było chwili ciszy w tych stronach nad Wisłą.

Różane niebo ogromniało w powolnej szczęśliwości świtu. Tego styczniowego ranka Marynka i Antek patrzyli na dachy rodzinnej wsi z okien książęcego pałacu. Chaty czerniały w śniegu, jak trochę końskiego gnoju rozrzuconego na drodze. Marynce żal się zrobiło, że tak marnie jej kraj wygląda.

Ktoś skradał się ku pałacowi.

— Schowajmy się! — powiedziała.

Ukryli się za uchylonymi drzwiami i czekali. Serce im mocno zabiło, gdy usłyszeli powolne ciężkie kroki. Przez sześć lat nadsłuchiwali obcych kroków, niosących zawsze nieszczęście. Ktoś wszedł do sąsiedniego pokoju, ktoś coś rwał, ciągnął, wlókł po podłodze.

Marynka wychyliła się ostrożnie zza drzwi. Ale i bez patrzenia wiedziała, co ujrzy. To jej ojciec zrywał ze ściany saloniku złote sznury z długimi złotymi kutasami.

— Chodźmy — pociągnęła Antka za rękaw do przeciwległego pokoju ozdobionego rogami jeleni.

Antek splunął.

— Śmierdzi, jak w trupiarni.

Na dole pełno już było ludzi. Weszli cicho, jak woda. Stary Sałata popychał przed sobą wielki żółty fotel, zasapał się chłop, zasmarkał, wreszcie wsadził go sobie na głowę, ale zaraz się z nim przewrócił, kopnął fotel ze złości i pociągnął za nogę, jak uparte prosię.

Papieżowa wynosiła z zimowego ogrodu mirty dziwnie piękne. Dadajówna Józka stękała, niosąc ogrodowy parasol, ogromny jak lipa. Warmużkówna dźwigała atłasowy parawan. Każdy był zły, że go inni widzą, że inni tu są. Głupi Rusek wywlekł z piwnicy worek suszu, przysiadł na oblodziałej studni i żuł, jakby sto lat nic nie jadł. Portki przymarzły mu do lodu, ale nawet tego nie poczuł, tak bardzo mu te jabłka smakowały.

Marynka nie zauważyła, kiedy ją Antek zostawił. Miał zwyczaj odchodzić bez słowa.

Stary Kamuda zrobił sobie ze złotych sznurów uprząż dla konia. Tak był tą robotą przejęty, że nawet zapomniał zjeść żuru. Po południu pojechał do sydzyńskiego lasu po drzewo, trochę zawstydzony, trochę dumny ze swojej złocistej uprzęży. Wrócił przestraszony. Dwóch chłopaków przy nim mina rozerwała.

Przez kilka dni ludzie chodzili rabować pałac i biura niemieckiego zarządu. Niewiele już tam znajdowali przydatnych rzeczy, ale brali, co komu pod rękę popadło; przynosili do domu przedmioty, których nawet przeznaczenia zgadnąć nie mogli; ale to nie odbierało ludziom przyjemności. Wyniesione przedmioty miały wartość przez to, że latami stały tam, w pałacu.

Złocistą uprząż ktoś Kamudzie ukradł następnej nocy. Sałata musiał postawić ogromny żółty fotel w stodole, nigdzie indziej nie dał się zmieścić. Kury upodobały sobie żółty atłas i odtąd niosły się na tym fotelu.

Nocami lęk chwytał Marynkę, że świat tak bardzo się zmieni; Antek mawiał, że nie do poznania. — Straszno będzie na nim żyć — myślała. Gdy zaś nastawał ranek i chaty przy drogach patrzyły na nią małymi szybkami, brudne i smutne, inny żal ściskał serce dziewczyny, że w końcu nic się w Cichowie nie zmieniło. Tęskniła, aby było inaczej, aby było dobrze.

— Ty głupio, złoto ma być zamiast gnoju, czy bimber w studni? — kpił z niej Antek.

Nie było Marynce źle, ale nie było dobrze: było zwyczajnie. A chociaż sprzeczała się z Antkiem o nowy porządek, napięta była na nadejście jakiejś inności ogromnej i szczęśliwej. Znała ją nie z książeczek, jak Antek, ale z samej siebie. Nieraz latem w południe niosącej jedzenie w pole rosła w sercu taka

szumna cisza, jaką oddychały zboża, i nachodziła ją radosna pewność jakichś dobrych przemian. Nie umiałaby tej pewności wyrazić ani przed kimś słowami obronić, ale była w niej tak niechybna, jak jutro jest utajone w dniu dzisiejszym.

W jakiś czas później Rajca przykleił na drzwiach swojej drwalni pierwsze rozporządzenie.

Antek wydostał skądś parę krakowskich gazet i brał od gospodyń po dwa jajka za gazetę.

Chłopi obchodzili pola i naradzali się wedle podziału. Kobiety grzebały w ziemi, szukając zakopanych garnków ze smalcem i cukrem, ale niewiele ocalało przed bystrymi rabusiami.

Pałac do marca stał pustką. Wreszcie jednego popołudnia zajechały auta. Wysiadło dwu panów lepiej ubranych i kilku obszarpańców. Następnego dnia przed pałac wtoczyła się ciężarówka pełna towaru.

Od Rajcy dowiedziano się, że to lutry, co książki piszą. Tu się musieli odpaść. Dla nich zwożono tłuszcz i cukier.—A my co? — krzyczały baby. — Nas to niemcy nie wysiedlili? Nie zmarnowaliśmy się bez te pół roku? Na naszych oczach mają się tamci w pałacu paść?

Na kucharza poszedł Felek Koper z Sydzyny, na gospodynię stara Bogucka od administratora. Zgodzono troje dziewcząt do sprzątania, między nimi Marynkę od Kamudów.

Felek już na drugi dzień chodził pijaniusieńki, i gdy wieczorem wracał do domu, dzieciom na drodze rozdawał po kawałku placka. Przez trzy dni wieś słuchała, co tam lutry jedzą na obiad i na kolację. Czwartego dnia lutry głodowały. W nocy ktoś rozbił spiżarnię i wszystko wyniósł.

Rozeszła się wiadomość, że salony w pałacu na dole zostaną oddane dla chłopców i dziewcząt cichowskich. Mają tam chodzić czytać i śpiewać.

— W kościele jest miejsce do śpiewania—powiedziały baby.

A Kunecka nauczycielka zagroziła, że wyrzuci ze szkoły dzieci, jeśli które odważy się pójść do pałacu. Uważała się za obrończynię praw księcia.

Pomiędzy lutrami najważniejszy był Ligęza, chociaż szpetny, chudy jak kostucha i obszarpany. Zaraz po przyjeździe

zachorował. Nikogo prócz żony widzieć nie chciał i jęczał tak przeraźliwie, że psy milkły u administratora.

Bogucka założyła ręce na swoim ogromnym brzuchu i powiedziała do Felka, że Ligęza przyjeżdżał przed wojną do siostry księżny, że świetnie zna się na jedzeniu, a teraz choruje ze zmartwienia. Tu sama westchnęła i pokiwała głową. Dziewczęta skrobiące ziemniaki schyliły śmiejące się twarze. Bogucka i Felek trzymali stronę księcia, chociaż on sam może już się siebie nie trzymał. Jeśli zgodzili się pracować u tych tam... lutrów, to po to, żeby co można jeszcze przed zniszczeniem chronić i gdy się czasy odmienią, oddać księciu, co książęcego. Nieraz rozmawiali o tym z samą panią nauczycielką i dumni byli, że się z nią godzą. Na lutrów patrzyli więc pogardliwie, jak na przybłędów, dziadów, co rękę wyciągają, do kogo mogą.

Felek nie słuchał tego, co Bogucka dobrego mówiła o Ligęzie. — Jak tak, to tym więcy nie powinien był tu przyjeżdżać. Bez zaproszenia księcia. — Po dawnemu Felek nazywał salony: złotym, niebieskim, zielonym, a gdy ktoś wymawiał słowo świetlica, plul.

Ligęzowa, młoda, pogodna blondynka o wystających niebieskich oczach, spodobała się od pierwszego wejrzenia Marynce, która zajęła się z własnej woli wyporządzeniem salonów.

Pierwsi w niedzielę po południu przyszli do świetlicy Jakubiszaki i Kijanki. Porozsiadali się na wybebeszonych kanapach i w czapkach na głowie, wyciągnąwszy przed siebie nogi, ćmili papierosy. Wreszcie po długim, niewygodnym milczeniu najmłodszy z Kijanków, Ignac, zanucił:

Ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił,
w czymym zasmucił albo w czym zawinił?
Jam cię wyzwolił z mocy faraona,
a tyś mi włożył krzyż na me ramiona.

Następnego wieczoru dały się wciągnąć dziewczęta i pełno było pisku po ciemnych salonikach.

Literaci, idąc na kolację albo do ogrodu, musieli przechodzić przez duży hall, w którym chłopcy grali w karty, a dziewczęta oparte o kominek zerkały w lustro. Jedni literaci zatrzymywali się i ze sztuczną swobodą wszczynali rozmowę z mło-

dymi. Ale wieś nie podejmowała ofiarowanego przymierza i nie szukała zbliżenia z tymi, którzy zgłaszali się na jej patronów. Inni literaci przechodzili przez hall nadąsani i obrażeni. Wadził im hałas i dym machorki. Najbardziej wadziło to Ligęzie; robił się jeszcze chudszy, gdy sunął na kolację, jakby w ten sposób mniejszą powierzchnią stykał się z przykrą dla siebie obecnością ludzi ze wsi.

— To się nazywa dom wypoczynkowy dla literatów? Mało tu mają spichlerzy czy stodół? — powiedział do najcichszego kolegi. Ten spuścił oczy i za szybko połknął kawałek ogórka. Nie śmiał przeczyć Ligęzie, a bał się „tamtych", był prawie rad, że się zakrztusił.

Ale Ligęzowa uważała za właściwe się oburzyć — Piotrze, jak możesz tak mówić? — Mimo oburzenia patrzyła na męża z zachwytem.

Marynka podawała do stołu i nie przestawała się dziwić, jak taka przyjemna kobieta mogła cierpieć napuszonego farmazona, ale pani Helena nie tylko go cierpiała, ale patrzyła w niego jak w obraz, pochlebiając mu uśmiechami, całą sobą. Ligęzowie mieli córkę Joasię, dziecko przymilne i wesołe. Jednego dnia orzekli przy stole, że Joasia lubi nade wszystko Marynkę, i odtąd Marynka, gdy tylko miała ręce wolne, chodziła z Joasią. Była trochę zła na siebie, że się dała Ligęzom nabrać, ale nie miała śmiałości im odmówić. Zresztą polubiła dziecko i w jakiś sposób dumna była, że wyciąga do niej rączęta i ssie jej policzek.

Jednej niedzieli, gdy Ligęza wyjechał do miasta, pani Helena, śpiewając i prawie tańcząc, obleciała park i sad, wpadła do kuchni i wreszcie do salonu, gdzie siedzieli chłopcy. Przedstawiła im się żartobliwie, wyjawiła, że była przed wojną aktorką i że teraz gotowa im pomóc w przygotowaniu przedstawienia. Chłopcy uśmiechnęli się niechętnie i kpiąco, jeden szturknął drugiego, a tamten ziewnął na znak, że go to nie bardzo przejmuje. Ale pani Helena nie nawykła, by się ktoś jej dobrej woli opierał, już bez przymilań i koleżeństwa kazała chłopakom czapki z głowy zdjąć, rzucić papierosy i mimo święta zabrać się do robienia porządku. Rozdała grabie i pokazała, co należy robić. Chłopcy ani się spostrzegli, jak cały zajazd był oporządzony, ścieżki ślicznie wygracowane.

Nazajutrz dziewczęta wyszorowały podłogi, umyły okna, potem wszyscy razem sortowali książki, lekarstwa i różne drańcie rozwłóczone po strychach.

Teraz co wieczór stary pałac kołysał się od radosnej wrzawy i hucznych śpiewów, rozlewających się jak wezbrane dunaje po wiosennym świecie.

Pani Helena zasiadała do fortepianu i zaczynała z nimi po raz dziesiąty, dwudziesty, tę samą piosenkę. Chłopcy gniewali się, że wciąż tę samą, dziewczęta popłakiwały. Nawet pani Helena zatrzasnęła raz wieko od fortepianu i powiedziała, że ich na oczy nie chce widzieć; ale wreszcie polubili być razem i wspólnie robić tę grę coraz lepiej.

Wierszy niechętnie słuchali: chce się nam spać — mówili ze śmiechem — jak pani nam czyta. — Ale raz pani Helena powiedziała: — siedźcie cicho, przeczytam wam coś pięknego. Niewiele się tą zapowiedzą przejęli, mieli tego wieczoru silniejsze emocje, ale z grzeczności słuchali. Pierwsze drgnęły dziewczęta. Nie rozumiały co znaczy: zadżumieni, ale zobaczyły, słuchając wierszy, ojca rozpaczającego nad zwłokami synów, haki wlokące ciała jego pięknych córek, dzieciątko umierające przy piersi matki i matkę grzebiącą swoją dziecinę w piasku. Chłopcy zrozumieli dopiero, gdy usłyszeli: gdzie są twoje dziatki. Ktoś poprosił, aby pani Helena jeszcze raz przeczytała, bo to trudne.

Jeszcze raz więc potoczyły się wiersze o ojcu zadżumionych, któremu śmierć porywa jedno dziecko za drugim, aż ojciec sierota sam zostaje na świecie. Rozumieli, że to napisał teraz ktoś, kto sam dzieci stracił, i że dżuma, to niemcy. Dziewczęta płakały, chłopcy po raz pierwszy w życiu siedzieli spokojnie. I nawet potem, gdy wychodzili, to każdy szedł z osobna przez chwilę, jakby zasłuchany w wiersz wciąż jeszcze w nim grający.

Z całej gromady najbardziej zapaliła się do świetlicowej roboty Marynka. Bo jak nikt nie jest dość stary, aby był zabezpieczony przed niespodzianym zakochaniem się, tak nikt nie jest dość cichy, by nie uległ nagłemu olśnieniu, że mógłby się czegoś więcej po sobie spodziewać. Marynka najlepiej ze wszystkich śpiewała, najlepszą miała pamięć, i rzecz najdziw-

niejsza, bo przecież nie bez trafności nazywano ją grubą Marynką: okazywała się z wszystkich najzgrabniejsza.

Skoro świt, zasiadała do książki przy oknie, ledwo a ledwo jakieś słowo znała, ale czytała dalej niesiona jak wodą czółno. Ludzie w książkach żyli kolorowo, od przygody do przygody, i nawet smutek ich zostawiał w sercu piękną radość.

Spadły deszcze i puściła się spóźniona zieleń, stare brzozy kołysały się jasną chmurą nad stawkiem. W parku Marynka natykała się na literatów zbierających chrust i kwiatki. Niektórzy skubali młody jeszcze szczaw i żuli krzywiąc się.

— Marznie to z nudów i z nudów wciąż by coś jedli! — mówiła Bogucka do Marynki.

Literaci dzielili się na dwie grupy, wzajemnie się lekceważące. Posiłki przy wspólnym stole były chwilowym zawieszeniem wrogości. Podawano sobie półmiski z cienkim uśmiechem, bacznie uważając, czy przeciwnikom nie dostają się lepsze kawałki. Gdy przyjeżdżał ktoś nowy, albo administrator przywoził z miasta wiadomości, spojrzenia latały nad stołem porozumiewawcze. Na jedną noc zapanowało braterstwo, kiedy wieczorem wtargnęła uzbrojona banda i obrabowała wszystkich sprawiedliwie. Tej nocy zapytał Piotr Ligęza młodą poetkę z przeciwnego obozu, której dotąd nie zauważał, czy coś pisze. Poetka odpowiedziała skwapliwie, ale Ligęza już nie dosłuchał odpowiedzi.

Mimo niechęci do reformy rolnej i wstrętu do chłopów, Ligęza nie tylko nie bronił żonie zajmowania się świetlicą, ale nawet ją do tego zachęcał, miał w tym jakieś swoje powody. Literaci obu grup kilka razy brali udział w świetlicowych wieczorach, odczytywali swoje wiersze i nowele, ale zrażeni zupełnym niezrozumieniem, poniechali trudu.

Jedynie Ligęzowa nie zniechęciła się. Umiała mówić do młodych i lubiła się z nimi bawić. Nawet ich wrzaskliwa wiejska muzyka i tupiące, zapocone tańce były jej przyjemne, mimo bowiem wszystkie zachwyty nudziła się z mężem. Tylko Felka, kucharza, nie potrafiła sobie zjednać. Gdy pojawiała się, bladł i zaprzestawał roboty; za Joasią natomiast przepadał. Joasia, ochocza i roześmiana, wyciągała rączki do każdego, więc i do Felka. A Felek porywał Joasię, całował ją po rączkach, po brzuszku. Dziecko chichotało, śpiewało gli-gli z ucie-

chy, czepiało się krętych włosów Felka. — Niech pan Felek przestanie, to niezdrowo tak dzieci całować, robią się potem blade — krzyczała Bogucka. Felek oddawał Joasię i szedł do sieni napić się bimbru. Wracał i zaczynał na nowo całować dziecko. — Porwę cię, mądralino, i ucieknę do lasu. Prawda, stara, starunia, staruchenka, prawda grubaniu? Grzybki będziemy zbierać, poziomeczki. Z puchu ci sukienkę zrobię, zabawki wystrugam. — Joasia podskakiwała na rękach, a Bogucką i Marynkę ciarki przechodziły.

— Po co do lasu z cudzym dzieckiem uciekać, swoje pan Felek powinien bawić w chałupie — mówiła pani Bogucka.

Ale z tymi *swoimi* dziećmi było najgorzej, czworga już mu żona nie donosiła. Dlatego Felek z zazdrości o Joasię patrzeć nie mógł na Ligęzów.

Marynka broniła w kuchni pani Heleny, ale wszystko, co mówiła, Felek przedrwiwał. Czasem przed Antkiem i ona wyśmiewała się z lutrów, ale jej kpiny były udawane dla Antka, który nie mógł znieść, aby ktoś był w czymś lepszy od niego.

Kiedy pani Helena powiedziała Marynce, żeby wzięła udział w przedstawieniu, Marynka przestraszyła się.

— Nie poradzę!

— Poradzisz — zaśmiała się pani Helena naśladując jej głos. I Marynka uczuła, że może naprawdę przy pani Helenie wszystkiemu dałaby radę.

Pani Helena powierzyła jej klucz od szafy bibliotecznej. Chłopcy prosili o dwie, trzy książki naraz. — Co za głód książek — mówili literaci przy stole. Nawet Piotr Ligęza trochę się udobruchał, bo wszystkie jego dzieła były w czytaniu. Łaskawszym okiem patrzył teraz na wyrostków i już lepiej znosił hałas i dym z papierosów. — Oto mamy cabinet de lecture, vederemo, co z tego wyniknie. — Wynikło. Książki Ligęzy, początek „Starej Baśni“ i koniec „Krzyżaków“ poszły z dymem machorki. Chłopaki brały książkę nie do czytania, ale zamiast bibułki do papierosów. Ligęza triumfował; charczał i śmiał się chrapliwie: hołota, chamy. Książek im się zachciewa! Był w jakiś diabelski sposób rad. Pani Helena przycichła na jeden dzień, a nawet poszła sama na spacer do sydzyńskiego lasu i wróciła z zaczerwienionymi oczami.

Omal całe przedstawienie nie przepadło. Ale pani Helena

nie umiała się długo martwić. Zakazała chłopakom pożyczać książek. Mogli czytać tylko w świetlicy.

Antek powiedział, że nikt nie przyjdzie na przedstawienie, ale przyszli, chociaż bilety kosztowały tyle, co bochenek chleba. Był drugi dzień Wielkiej Nocy, słoneczny, chociaż zimny. Już od południa w parku stały grupy wyrostków, a zaraz po obiedzie ściągnęły baby z dziećmi. Przyszedł sołtys z żoną, ksiądz Marcin, a nawet nauczycielka Kunecka, chociaż odgrażała się dotąd, że noga jej nie stanie w zagrabionym przez chłopów pałacu. Między starszymi chłopakami dwóch było takich, co w Krakowie widzieli w teatrze królów w królewskich płaszczach i koronach na głowie, toteż kpili sobie, że to żadne przedstawienie. Chłopi rozmawiali o tym, czyby w Cichowie gimnazjum nie postawić, bo za drogo jest trzymać chłopców na stancji w Szczucinie. Może by który z lutrów się tu został i dzieci uczył, zamiast żeby się cały dzień przechadzali.

Tymczasem literaci siedzieli w fotelach koło komina w małym salonie i głaskali Feniksa, książęcego legawca. Stare psisko drzemało na kanapie, czasem wzdychało przez sen, rzęziło i śmierdziało. Ale zawsze książęcy pies, wiele mu wolno. Literaci traktowali go, jakby był zdziecinniałym panem domu. Ligęza nie lubił psów, ale Feniksa głaskał po łbie, szanował w nim książąt. Był to jakby jego sprzymierzeniec przeciw chamom. To nie pies śmierdział, ale chamskie czasy, które nadeszły.

Gdy Marynka zobaczyła, ile ludzi ciśnie się po pokojach, nogi się pod nią ze strachu ugięły. Pani Helena zastała ją w kącie płaczącą i nawpół omdlałą.

— Coo, ty taka dzielna, i boisz się?

— Kiedy mi są wszyscy nieżyczliwi. Przezywają mnie. — Starannie zapominane upokorzenia zaciążyły sercu nieznośnie. — Pani nie wie, jacy są ludzie niepoćciwi na wsi.

Pani Helena pokiwała smutno głową z politowaniem. Na chwilę przestała być szczęśliwą, młodą żoną wziętego pisarza. Zgarbiona i zgasła, patrzyła na dziewczynę niewidzącymi oczami. Straciła w czasie wojny całą rodzinę, sama ledwo uszła śmierci, nie uniknęła jednak upokorzeń i niedobrej litości. Niepoczciwość! słowo domowe i rzewne w tych czasach.

— Nie płacz. Nie wypada płakać o takie głupstwo. Chodź do mego pokoju, przeczesz się.

— Biedy są tak różne, jak ludzie; nigdy nie wiadomo, co drugiego najwięcej boli — upierała się Marynka.

Ale pani Helena znowu już uśmiechnięta i młoda, uwijała się koło dziewczyny, jakby ją do ślubu stroiła. Marynka śmiała się, nie mogła inaczej.

— Lubię panią, może mnie pani urzekła — powiedziała zuchwale.

W pokoju panował nieład, jakby wszystkie rzeczy się upiły. Kołnierzyki męskie leżały na chlebie, książki i pieluchy na podłodze, smoczki w tytoniu, ale mimo to było przyjemniej niż gdzie indziej.

Pani Helena popatrzywszy na sine, piegowate ręce Marynki, na jej odmrożone paluchy, rzuciła się szukać rękawiczek. Znalazła była jeszcze wiele rzeczy przydatnych po kątach strychów! Wydostała z jakiegoś pudła długie skórkowe rękawiczki, czerwone, miękkie i pachnące jak kwiat. Dziewczyna wciągnęła je na ręce, przytuliła do twarzy. Nie chciwa była rzeczy, ale te czerwone rękawiczki spodobały się jej, jak nic na świecie. Zdawało się jej, że już je kiedyś gdzieś widziała, może w jakimś szczęśliwym śnie.

Nie wiadomo skąd się biorą w człowieku chwile słabości, kiedy to własnego serca by się zaparł, i chwile siły, kiedyby za obcego życie oddał.

Marynka wypłakawszy litość nad sobą zmężniała i spokojnie patrzyła na twarze ludzi, jedna obok drugiej, jak kwiaty w bukiecie. Poznawała na przedzie wąskie oczy Antka i odętą twarz nauczycielki Kuneckiej, smutną twarz Weronki, jasne policzki Hani; wszyscy byli. Brakło tylko — najlepszych.

Pani Helena zadzwoniła po raz trzeci, i już miało się zacząć przedstawienie, gdzie każde słowo tyle razy było powtarzane na próbach, kiedy Marynka wystąpiła przed kotarę, jakby pchnięta siłą myśli, która nią owładnęła i z łatwością, jaka się czasem śni, przemówiła.

— Oto jesteśmy wszyscy z małego i dużego Cichowa, aby się razem poweselić, ale wiemy o takich, co przyjść nie mogli. Janek Czereś poległy z młodym księciem pod Warszawą na początku wojny, młodszy Dziekoński, Berowski, Odrowąż i Warmużek, rozstrzelani pod Rytwianami, Joaś Kijanka zmarły z ran, Maciej Łuba i Łucjan Wysocki zabici na weselu Walka

Tomali, i ten, kogośmy wszyscy ulubili, Krzyś Wielgus i nasz wesoły muzykant Jasio Pyzik i najmłodszy z Gurandów Łukasz, co tak ślicznie ptaszki naśladował. Poginęli na wieki wieków, jak liście spadłe z drzew. Czy godzi się, by tylko matki i ojcowie w samotności za nimi płakali? Ofiarujmy im trochę naszej wiernej pamięci.

Gdy Marynka wymieniła imię Czeresia, zrozumieli wszyscy, że słuchają pochwały zmarłych, nawet baby z dziećmi podniosły się z ław. Nie pamiętali, że to gruba Marynka się do nich odzywa, uroczyście słuchali głosu, jakby nie człowieka, ale samego głosu ich ziemi.

„Świątkarz" wszystkim się spodobał. Wprawdzie Felek grał po pijanemu, ale szelma potrafił każde zająknięcie, każde zachwianie na nogach wykorzystać dla roli, jaką odgrywał. Wyglądało, że jąkał się ze wzruszenia, a słaniał na nogach z zazdrości. A Marynka grająca żonę Świątkarza zręcznie mu w tym pomagała, zatroskana, by całość przedstawienia dobrze wypadła. O świecie bożym zapomniała; zapomniała, że to gra, która się niebawem skończy. Na kochanka patrzyła z żałością, jakby sama z nim była nocną porą, jakby na nią baby i chłopcy nie patrzyli. Słowa do niego kierowane były zwyczajne, i ona mimo szminki nie wypiękniała, ale chłopcy patrzący na nią pragnęli, aby to do nich tak mówiła. Każdy rozpoznawał swoją tęsknotę, swój żal, swój los. I taka zwyczajna rzecz, jak miłość, wydawała się nagle ważną, i każdy chciał ją przeżyć tak właśnie, jak przeżywała w tej chwili Marynka. Jak zbawienia własnego każdy pragnął być z nią zaraz i na zawsze.

I Antek tego wieczoru, jak wszyscy inni, zakochał się w Marynce, żonie Świątkarza. Jakiś blask był w niej, jakaś świąteczność. On taki ostrożny z natury i chociaż tego dnia dowiedział się, że otrzyma dobrą posadę, wspomniał dziewczynie o ożenku. Rozczuliło go to, że wspomniał, był zadowolony z siebie, jak człowiek, co się wiele po sobie spodziewa.

Co ona czuła, nie pytał, bo o tym nie myślał, był zbyt wzruszony sobą. A Marynka taka była rada z życia tego wieczoru i przyszłe dni widziały się jej szczęśliwe, że radość miłosna dopełniała tylko tamtą prawdziwą, tętniącą nadziejami. Trochę wzruszała ją gwałtowność Antka, trochę śmieszyła.

Głaskała go po głowie i szeptała: Antoś, Antoś, jakby go pocieszała.

— Masz takie jedwabne ręce — powiedział czule. Uśmiechnęła się, nie zauważył, że była w rękawiczkach, zapomniała je zdjąć.

Teraz co wieczoru Antek czekał na Marynkę, gdy wychodziła ze świetlicy. Nie wracali prosto do domu, ale obchodzili wieś górą, polami Balickiego i Wołków. Marynka mimo zmęczenia szczęśliwa, podniecona pochwałami lutrów zwierzała się Antkowi ze swoich nadziei: może pani Helena wyrobi jej miejsce w szkole teatralnej, będą objeżdżali wszystkie wsie w kieleckim i sandomierskim, będą... ah, czegóż to nie będą robili.

Antek spoglądał na nią ze zdziwieniem; jakże się ona odmieniła? Drażniła go jej nowa hardość, jej wesołość; czyżby zapomniała o swojej brzydocie? A u Marynki z każdą niedzielą rosła pewność siebie. Antek rozumował, że to dyrektor szkoły Mazur i gajowy Sowa, co się teraz koło Marynki kręcili, przewrócili dziewczynie w głowie. Antka urażało to, że Marynka nie okazywała mu żywej chęci, jak inne, choćby Hania; nieraz gdy ją całował, wyglądało, jakby myślała o czymś innym. Może by i przestał patrzeć w jej stronę, więcej go drażniła, niż podniecała, ale ciągła obecność Mazura i Sowy przy niej była mu nieznośna.

Antek pracował teraz w gminie i często spotykał nauczycielkę. Kunecka wypytywała go o wiadomości radiowe, ale pytała w taki sposób, jakby jej nie tyle o nowiny chodziło, jak o to, co Antek o nich myśli. Sama stała się ostrożna w mówieniu, nie oszczędzała jedynie literatów. — Sami najlepiej wiemy, co nam potrzeba, obejdziemy się bez proroków z miasta. — Antkowi to zdanie przypadało do gustu i powtarzał je w gminie, kiedy tylko była mowa o literatach. Część kontyngentu wieś oddawała na wyżywienie pałacowych gości i wielu chłopom psuło to krew.

A literaci posępnieli. Siedzieli przy stole w milczeniu, Ligęza wpuszczał głowę między chude ramiona, jak senna kura, i do nikogo się nie odzywał. Jedzenie znowu się pogorszyło, bo i krowy ktoś wyprowadził z obory i wieprzki zabrał. Pani Helena próbowała wydrzeć męża z apatii, wiodła go nad stawek, wkładała mu fiołki do butonierki i tłumaczyła, że są szczęśliwi.

Raz kiedy Marynka prała pieluchy Joasi nad stawem, usłyszała rozmowę Ligęzów.

— Lenuś, co ty mi ten stawek pokazujesz, taż ja go widzę co dzień, jak się golę. — Golisz się raz na tydzień, strasznie się zaniedbujesz. — Lenuś, teraz to taki czas, że nie wypada pisarzowi ani pisać ani dbać o siebie. — Marynka posmutniała — po co właściwie piorę te pieluchy, ani mi grosza nie dają, zdaje im się, że wszyscy winni im za darmo stojać na wysługi i to jeszcze mają się czuć zaszczyceni, że dla nich pracują, a tfu. — Mimo to wyprała starannie pieluchy i starannie je rozwiesiła. — Będą pachnieć słońcem i wiatrem — ucieszyła się.

Kiedy raz Marynce palec obierał i sama pani Helena przyniosła do kuchni pieluchy Joasi, Felek popatrzył na nią z wściekłością.

— Kluski się teraz gotują. Wszystko się pieluchami zaśmierdzi. — Odsunął gwałtownie baniak.

— Felek, co za sposoby! — oburzyła się pani Helena, wycierając suknię schlustaną wodą.

— Sposoby? Ja mam takie sposoby, w gnojówce cię wykąpię, i łeb ci usiekę.

— Felek jest pijany — szepnęła, cofając się plecami do progu.

Bogucka przeżegnała się, istotnie Felek coraz bardziej pił i straszne rzeczy wygadywał, a już najbardziej na Ligęzową.

Wieczorem pani Helena powiedziała mężowi, że dość ma Cichowa, że i oni muszą jechać do miasta.

— Tu się niczego nie doczekamy — dodała.

— Dobrze Lenuś, i ja mam dość tej hołoty.

Marynka tego wieczoru długo sprzątała świetlicę i porządkowała książki, szukała wszędzie swoich czerwonych rękawiczek, ale nadaremnie, przepatrzyła wszystkie kąty; przepadły, jakby ich nigdy na świecie nie było.

Przez następny tydzień sama prowadziła świetlicę, pani Helena wymówiła się, przygotowywała się do wyjazdu. Chłopcy nie chcieli śpiewać bez fortepianu, zgodzili się natomiast słuchać ulubionych wierszy i opowiadań, słuchali chwilę, a potem wyciągali karty i grali. Marynka przejęta odjazdem pani Heleny chodziła jak we śnie. Godziny wlokły się, jakby pastwiska rozpaczy, na których ani ścieżyny, tylko jednostajność do nikąd

nie wiodąca. — Oj, Boże! Boże — wzdychała, przystając przed oknem. Nosiła Joasię trzęsącą śmiesznie główką, jakby była pijana. — I po cóż ludzie przyjeżdżają, żeby mątu narobić, świat smutkiem zarazić i odjechać. — Całowała Joasię w zaślinione rączki, grzała dla niej mleko, śpiewała i wciąż podchodziła ku pani Helenie, aby ją zagadnąć, co z nią, Marynką, będzie. Ale nie śmiała tego powiedzieć, teraz spojrzenie pani Heleny oblatywało człowieka, jak ptak drzewko, i sfruwało daleko, dokąd go zgonić nie można. Pani Helena już duchem była w mieście.

Przez parę dni nie mogli Ligęzowie dostać koni. W Marynkę wstąpiła nadzieja, że może nie odjadą, że choć trochę jeszcze pobędą, a może się i rozmyślą, byli przecież takimi, co to się rozmyślają z czegoś, co już postanowili. Ale nie zostali. Mimo letniej pory dął lodowaty wiatr, a brudne chmury leżały nad drzewami tego ranka, gdy wreszcie administrator przysłał konie.

Marynka pomogła wsiąść pani Helenie, podała jej Joasię. — No, patrz na mnie, mały świergolaszku. No przecież.— Owinęła ją chustką. — Oj, żeby mi dzieciątko nie uziębło. — W ostatniej chwili chciała z nimi jechać, ale Ligęzowie obrócili to w żart. Pani Helena odwróciła się, kiwnęła ręką: — Napiszę do Marynki, napewno napiszę. Przyślę fotografię Joasi. — Marynkę obraziły te słowa. Joasia! co ją ich Joasia obchodziła, jeśli jej nie chcieli zabrać. Drżała cała, jak topola na wietrze, z żalu i chłodu.

Zawróciła i cały świat wydał jej się brudny, pałac zmalał i zapadł się. Chciała uciekać do domu, ale przypomniały jej się prace; wołały ją. To do prosiątka, to by wodę ścieplić, to do ulubionych siemieniatych kur, to — ah, ileż to tego, tu zamieć, tam wytrzej, wyrównaj, a wygładź. Była niedziela, a więc i szybciej trzeba się było zwijać i pracować nieznaczący, żeby tak świętej niedzieli zaharowaną miną nie obrazić.

Marynka przeziębiła się i nazajutrz nie przyszła do pracy. Siostry jej mówiły, że pali się od gorączki, ale doktora nie wezwano.

Stara Bogucka mieszając sos, powiedziała do Felka: — Martwiącego się i wiaterek powali. Żal mi Marynki. Tak będzie z nią, jak z moją Julcią. Kiedy jej nauczycielkę przenieśli, to moja Julcia tak rozpaczała, że aż na mózg jej się rzuciło. Także

na początku wydawało się, że to przeziębienie. Taka śliczna była w trumnie jak anioł. Nocami ją widzę, i z tego zmartwienia głowa mnie boli. Sześciorom dzieci pochowała, ale najwięcej to mi Julci żal.

— Tyle dzieci pochować, wielki Boże! A pani Bogucka, nieuroku — i pokazał rozkładając ramiona, jaka to pani Bogucka szeroka.

— Panu Felkowi uszanowania brak dla nieszczęścia. Siły ze zmartwienia nie mam, ruszać się nie mogę, to i tyję. Każdy by utył na moim miejscu. A ze śmiercią żartów nie ma. Sam pan Felek powinien wiedzeć, że trudno się dziecka dochować.

Felek poczerwieniał, bo znowu mu żona urodziła nieżywe dziecko. W zdenerwowaniu łokciem zwalił stolnicę, z której zrazy zsunęły się na podłogę. Kot dopadł zraza i dławiąc się pożerał go z pośpiechem.

— Udław się, udław — krzyknął Felek.

Dziewczęta zachichotały; wesoło było w kuchni, gdzie Bogucka i Felek prawdę sobie w oczy mówili.

Ale Marynka nie umarła, jak to zapowiadała Bogucka, leżała przez miesiąc, głowa ją z gorączki bolała. Śniło jej się, że tańczy niby w świetlicy pałacowej, niby w kościele; wokół niej wirowały inne pary, podpływały ku niej w tańcu twarze roześmiane. Śniła jej się Joasia, i szukała jej koło siebie na poduszce, gdy się budziła. Śniły jej się czerwone rękawiczki. Szukała ich na polu; łany falowały, mieniły się, ukazując co raz to czerwoną plamę; biegła, ale już falowały w inną stronę i zamykały w sobie niedostrzegalną czerwień.

Jednej niedzieli zerwała się Marynka w rzeźkim usposobieniu, choć jeszcze słaba, chciała iść do świetlicy, ale Hania ją zatrzymała: — Bez potrzeby byś do świetlicy latała, tam już Kunecka rządzi.

— Kunecka?! — przeraziła się Marynka. — Kunecka! To już jej chłop nie śmierdzi? — roześmiała się gorzko. — Ciekawam, przeciw komu zajmie się teraz świetlicą, bo ona zawsze przeciw komuś robi to, co robi.

— Przeciw komu? — powtórzyła z politowaniem Hania, i głos jej się załamał. Marynka wzięła rękę siostry i przyłożyła ją do swoich bladych policzków.

— Dobraś ty Hanuś, dobra.

Hania płakała coraz głośniej. — Ah, głupiaś ty z tą dobrocią! — krzyknęła niecierpliwie. — Żyjesz jak głucha i ślepa. Nic nie rozumiesz. Antek się z Kunecką żeni. Urzędnikiem został. Mówił, że wstydzi się do mnie przychodzić, bo ty tu jesteś.

Teraz dopiero zauważyła Marynka na Hani swoją niebieską sukienkę, darowaną na odjezdnym przez panią Helenę.

— Możem ślepa, alem jeszcze nie umarła. Czemuś mi tę suknię wziena?

— Na co ci? Śmiesznie w niej wyglądasz — zaśmiała się Hania.

— Idź, zostaw mnie.

Przez kilka dni Marynka ani spała ani jadła, nawet przez okno patrzeć się nie chciała na cichowskie drogi i cichowskich ludzi. A gdy się dźwignęła, pojechała do Staszowa, gdzie zgodziła się u jakiejś doktorowej za niańkę do dziecka.

NOWE KSIĄŻKI

Bolesław Olszewicz, Lista Strat Kultury Polskiej 1. IX. 1939 — 1. III. 1946. Arct 1947.

Kto policzy te mogiły? Sto lat temu były one już niepoliczone. Inny poeta wywodzi źródła naszej melancholii od tych grobów, co się w Polsce mnożą. Dziś nie ma nawet grobów i nie stać nas jeszcze na melancholię. Żyjemy ciągle w osłupieniu. Spotykamy się na ulicach: Więc pan żyje! Żyjesz! To, że ktoś z nas przeżył tę wojnę, dziwi, a nie wiadomość o stracie. Łatwiej doliczyć się żywych niż pobitych. Przepadły całe miasta, a w jako tako stojących zniknęły dzielnice. Rodziny przestały istnieć. Nieraz brak nawet takich, którzy by mogli mówić o tych, co zginęli. Nie tylko nasza przeszłość archiwalna przepadła, ale nawet teraźniejszość zieje takimi szczerbami, że nie dopytać się. Nie do zwołania z powrotem jest ten zgiełk ludzki, jaki w naszym kraju jest dziełem wojny i pokoju. Nie byliśmy nigdy zwartym murem, ale teraz jesteśmy rumowiskiem cegieł rozsypanych.

Gdy w „Tygodniku Powszechnym" przeczytałem pierwszą „Listę Strat", podpisaną nazwiskiem Olszewicza, próba ta zrobiła na mnie wrażenie gestu, z jakim ktoś np. przeciera oczy lub wstrząsa głową. Wyczułem dzielność w wysiłku spojrzenia na topiel, już z poza niej. Olszewicz, otrząsł się pierwszy i ogłosił apel i zbiórkę tych, którzy powinni na wieki pozostać z nami. Ogłosił ją, choć głos jego nie mógł się rozlegać po kraju zerwanych drutów i połączeń, nie istniejących adresów, rozkleconych spoideł organizacyjnych. Redaktor „Listy" nie mógł i nie może po dziś dzień kusić się o to, by do czysta oddzielić pogłoski od faktów żałobnych. Sam jeden, bez biur, bez środków technicznych, jak telefony, kwestionariusze, półki rejestratorów, bez żywszej współpracy innych czynników informacyjnych, doprowadził swoje obywatelskie zamierzenie do końca i wydał „Listę Strat" w formie książki, niezbędnej w naszym życiu, które choć już wzbierające na nowo, nie da się oddzielić od tych nieprzeliczonych zgonów.

Książka Olszewicza jest dokumentem zupełnie niezwykłej wagi, bo wykazuje, że niemcy ziszczali w Polsce conajmniej swój mniejszy plan: wykorzenienia kultury; bo przecie istniały naukowe plany eksterminacji etnicznej. Na podstawie tej książki można ustalić kadry, które według niemieckich techników wytępienia stanowią duchowy trzon narodu. A tu nie idzie tylko o niemców. Cały świat zachodni nie umie ukryć swojego upokorzenia tym, czego naród kultury zachodniej się dopuścił. Solidarność kultury zachodniej jest tak nieprzepuszczalna, że nie udało się dotychczas wyjść na świat kulturalny z naszymi rewelacjami. Źródła informacji zagranicznej okazały się zatrutymi studniami milczenia. Jakakolwiek rozmowa z publicystą zagranicznym dowodzi tego. Książka Olszewicza jest wymierzona przeciw temu sprzysiężeniu. Kiedyś, powoli, kiedy historia okaże się silniejsza od względów taktycznych i od obrazy człowieka zachodniego i kiedy epoka monachijska minie (choćby tak ociągliwie, jak minęła epoka lodowa), musi, musi dla prawdy i czci ludzkiej, wyróść ponad męty kłamstwa i przemilczania pomnik zbrodniczej pychy niemieckiej ku ostrzeżeniu przed bezdrożami zezwierzęconej kultury. Olszewicz spełnił swój obowiązek aktywnego Polaka. Jak niegdyś złamany na siłach Solon wyniósł z domu swoją zbroję i położył przed progiem, na znak, że nie zgadza się na przemoc, tak Olszewicz składa przed drzwiami ludzkości swoją „Listę Strat Kultury Polskiej“ na znak, że niedobitki jej zaciągnęły straż honorową na pobojowisku i nie zejdą z niego. Nieznane są mogiły pobitych, ale te krzyże, które po prostu własnymi rękami Olszewicz zatknął w naszych sumieniach, winny w całej swojej skromności, liczyć się do tych monumentów, których „ani deszcz żrący ani wicher rozpętany nie potrafią rozkruszyć“. Kronika naszych nieszczęść jest tak obfita, że doprawdy mnemotechniki trzeba, żeby ich nie stracić ze świadomości. Byłaby to najostatniejsza śmierć naszych zasłużonych. Od niej pragnie ich Olszewicz ocalić, i to czyniąc, dobrze się zasługuje. Jest w jego pracy głęboki rozmysł człowieka, który przez lata płynął razem z nami przez rzekę zapomnienia, a nie zapomniał. Jesteśmy cieniami ludzi, ale i te cienie nie śmią utracić pamięci, jeżeli tysiąc lat naszego dziejowego istnienia nie ma zetleć.

„Lista Strat“ wymaga wielu wydań, ażeby, jak się to dzieje za granicą, uzyskać poprawność ostateczną. Należy ją rozszerzać choćby w tym celu, by jej egzemplarze służyły do uzupełnień i poprawek przygodnym czytelnikom, którzy otarli się o zgony tu jeszcze niedopatrzone lub niedokładnie uchwycone. W określaniu działalności zmarłych przydałyby się pewne precyzje, np. termin „historyk literatury“ winien oznaczać tylko pracowników, którzy w wydatniejszy sposób oddawali się takim studiom. Wydawca mógłby zmienić okładkę tandetną w pomyśle i wykonaniu.

Chciałbym w zakończeniu złożyć swój skromny przyczynek. Mieczysław Rettinger, krytyk, publicysta, redaktor, zginął w Oranienburgu, prawdopodobnie przy likwidacji obozu, na początku r. 1945. Krystyna Krahelska, dobrze zapowiadająca się śpiewaczka, zginęła w pierwszych

dniach powstania. Sławna Syrena na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie była modelowana na jej rzeczywiście posągowej postaci. Ta to żywa i w pełni urody dziewczęcej Syrena, pełniąc służbę powstańczą, padła z roztrzaskaną od serii czaszką na chodnik przed domem przy Polnej 40 (Warszawa); to więc także pracownica kultury. P. Stanisław Stempowski nadesłał z Warszawy uzupełnienia do „Listy Strat": Cynarski Jan, historyk, działacz PPS (pseud. Krzesławski), redaktor kwart. „Kronika Ruchu Rewolucyjnego", zm. w Oświęcimiu w 1942 r. Haubold Karol, autor prac z dziedziny organizacji czytelnictwa, działacz spółdzielczy, zginął w powstaniu warsz. 1944 r. Krasowska Karolina z Bieńkiewiczów, sekr. delegata rządu w Warsz., zginęła zamęczona w 1941 r. Pleśniewicz Andrzej, literat, zginął od bomby pod Milanówkiem w 1944 r. na jesieni. Redlich Włodzimierz, adwokat, działacz POW, zginął w 1939 r. od bomby w mieszkaniu (Mokotowska 5) w Warszawie. Szapiro Bernard, inż., działacz PPS lewicy, autor książki o Tadeuszu Rechniewskim, zginął w 1942 r. Tennenbaum Henryk, ekonomista, profesor warsz. SGH, zmarł w Londynie 1945 r. (?). Trzciński Witold, publicysta i historyk PPS, zmarł w Warsz. 1941 r. (?). I poprawki: Rogoż St. K. nie zginął w Warszawie, lecz wywieziony w 1940 r. ze Lwowa, zmarł w ZSRR. Szumska Jadwiga (dodać), polonistka w gimn. państw. im. królowej Jadwigi w Warszawie, kierowniczka ognisk metodycznych polonistyki w Białymstoku i Warszawie. Weronicz, a nie Woronicz Maksymilian. Zaruski Mariusz, a nie Marian, zmarł nie w Warszawie, lecz w ZSRR, dokąd wywieziony był z żoną ze Lwowa w 1940 r.

Redakcja „Zeszytów Wrocławskich" chętnie przekaże profesorowi Olszewiczowi wszelkie uzupełnienia i uwagi, jakie zechcą nadsyłać nasi czytelnicy.

Jerzy Kowalski

Jan Lechoń, O literaturze polskiej. New York 1946 Roy Publishers.

Poeci, choć niechętnie, piszą czasem historię literatury (np. Konopnicka książkę o Mickiewiczu, Kasprowicz o Lenartowiczu...). Studia te, wolne od naukowego pedantyzmu, korzystają ze swobody poetyckiego języka i przynoszą świeże spojrzenia. Badania naukowo-literackie, odrzuciwszy frazeologię, czerpią z nich, jak z krynicy.

Szereg poetów, piszących ubocznie historię literatury, pomnożył teraz Jan Lechoń, autor książki „O literaturze polskiej". Powiedzieć „książka" o tym tomie, nie wydaje się słuszne. Bo są to wykłady. Sześć wykładów wypowiedział autor w Uniwersytecie Polskim w Paryżu w r. 1940, dwa inne w Polskim Instytucie Naukowym w r. 1944. Z kart książki przemawia zatem słowo, zawsze kunsztowne, nieraz wielce retotyczne. Przydaje to dziełku walorów krasomówstwa, ale pozbawia je cech rozprawy literackiej. Książka Lechonia jest organem głosu, silnie wibrującego, nie powstała dla druku.

Wykład pierwszy nosi tytuł „Tradycja i nowość w literaturze polskiej". Dwa wykłady następne, „Poezja Warszawy" i „Wieś we współ-

czesnej literaturze polskiej", rozważają tematykę literacką, patrzą na literaturę od strony tematu. Później zmienia autor punkt widzenia, porządkując swoje sądy o literaturze według rodzajów twórczości i gatunków literackich. Są to prelekcje o tytułach: „O polskiej literaturze dramatycznej", „Polska powieść historyczna", „Poezja czysta w poezji polskiej", „Poezja polska XVIII wieku", „Powieść od Młodej Polski do czasów ostatnich". Zamyka tomik studium „Słowacki", powstałe przed laty, jako przedmowa do wydania pism Słowackiego w r. 1929.

Jak należało oczekiwać, jest to książka anty-profesorska. Ta jej intencja, choć dyskretna, przewija się przez prelekcje Lechonia zupełnie wyraźnie. Autor chętnie czyni wypady przeciw naukowej historii literatury, nie zaniedbując żadnej okazji, nawet najłatwiejszej, do przeprowadzenia polemiki z polonistyką uniwersytecką. Zapewnia to tym kartom ton bojowości intelektualnej, szczególnie cennej w nauce, która dąży do spokoju. Lechoń korzysta przygodnie z wybranych zdobyczy historii literatury. Ale uważa, że „najistotniejsze uroki (twórczości, w tym wypadku twórczości Malczewskiego) mogą poznać tylko nieliczni, zdolni dzięki modlitwie i poezji obcować z nieokreśloną, a wszystko kryjącą muzyczną i metafizyczną sferą" (s. 125). Można to cytować, bez obowiązku polemiki.

Nie szukajmy jednak na książce Lechonia łatwego odwetu — historyka literatury. Ingerując pedantycznie w rozmiarach umiarkowanych, spostrzegamy, że autor pomieszał dwu Morsztynów, Andrzeja i Stanisława, gdy przekład „Cyda" połączył z przekładem „Andromaki" (s. 120). Franciszek Zabłocki nie poszedł „do klasztoru" (s. 161), tylko na plebanię w Końskowoli. Prócz przygodnych kaprysów bio- i bibliografii zastanawiają teksty literackie, podawane nieporządnie, bez kontroli (parokrotnie te same teksty, notowane na różnych stronicach, są różne w swoim brzmieniu, zob. fragmenty Trembeckiego s. 121-2 i 152-3, Karpińskiego s. 123 i 163. Dlaczegoż?). Można by jeszcze niekiedy zatrzymać wartkie pióro Lechonia sprostowaniem tych czy innych szczegółów. Ale my także utrzymamy się bez trudu — poza pedanterią, byle jedynie autor utrzymał się — poza wieszczbiarstwem.

Zasadnicza tonacja książki prowadzi gdzie indziej. Te prelekcje o literaturze polskiej pełne są nostalgii. W lekturach i rozmyślaniach autora-emigranta, który znalazł się poza krajem na długo przed r. 1939, pobrzmiewa i szuka wyrazu tęsknota za Polską. Na tych pięknych stronicach mówi się o literaturze polskiej z tym samym uniesieniem, z jakim Latarnik Sienkiewicza cytuje „Pana Tadeusza". „Drogi, niezapomniany Or-ot" — o poecie z Kanonii. Myśl autora zatrzymuje się chętnie „przed naszym drogim spalonym Teatrem Wielkim w Warszawie". Ludzie, książki, zdarzenia, rozstawione na różnych planach przeszłości literackiej, pojawiają się w tej książce w klimacie zupełnie szczególnym. Lechoń przywołuje całą skalę środków stylistycznych, by tęsknotę za krajem wyrazić jako tęsknotę do jego literatury. Czyni to z tekstu Lechonia dokument socjologiczny.

Konsekwencje tego stanowiska, które rozumiemy i które zmusza do szacunku, prowadzą wcale daleko: aż do metod wartościowania dzieł literackich. Chyba tylko w tej perspektywie — perspektywie oddalenia — można jednym tchem, jednym rozmachem pióra pisać o satyrach Krasickiego i satyrykach „Cyrulika Warszawskiego" (różnica w zakresie języka między tymi pisarzami ma być „ledwie dostrzegalna", s. 144). Jest w tym entuzjaznie charakterystyczny błąd widzenia, który występuje także gdzie indziej. Cały szereg postaci literackich Lechoń wyolbrzymia i dźwiga na koturny, niczym najprawdziwszy bronzownik literatury. Autor nie jest pewien tytułów pism Naruszewicza, ale gdy pomyśli o nim, umieszcza go między pisarzami „największej pracy, najgorętszej miłości do kraju, najbardziej szacownego uporu" (s. 151). Są to superlatywy, które trudno przewyższyć. Bo jak jeszcze będziemy pisali o Zabłockim, gdy dla Lechonia jest on „namiętny, szlachetny i rozumny" (s. 160)?

Emocja rządzi tą książeczką, jak potrafi. Jest wszechobecna przy lekturze kolędy Karpińskiego, która zawiera słowa „Błogosław ojczyznę miłą". Tenże patos oddalenia występuje przy rekonstrukcji atmosfery (zresztą doskonałej), w jakiej odbyła się w Warszawie stanisławowskiej premiera „Powrotu posła" Niemcewicza. Nie wiem, kto równie trafnie i artystycznie pochwycił g e n i u s l o c i literacki Warszawy. Uwaga, że „cały niemal wiek stanisławowski jest warszawski" (s. 156), choć nie nowa i oczywista, w dialektyce uczuciowej Lechonia wydaje się świeża i odkrywcza.

Wszystko, cokolwiek rozsypał autor o poezji romantycznej, nosi cechę tego samego wzruszenia. Literatura, która powstała z zasobów tęsknoty, ukazuje Lechoniowi to samo oblicze, żywe i bliskie. Autor kontempluje je długo, w postawie pełnej korności.

Tak patrzymy na prelekcje Lechonia, jako na interesujący i bogaty zbiór sądów o literaturze, starej i nowej, ułożony z osobistego, ale konsekwentnego punktu widzenia. Nieraz prowadzi on do przejaskrawień, choć potrafi także utrzymać się w wymiarach słusznych i historycznie sprawiedliwych.

W oprawie silnej emocji pojawiają się na tych kartach tezy naukowo-literackie, które chciało by się oddać badaniom bardziej szczegółowym. Należy do nich fascynujący pogląd, że polski teatr poetycki jest „teatrem duchów" (s. 72, ostatnie ogniwo w argumentacji autora stanowić może Szaniawski). Odkrycie „mitologii duchów", jedynej w literaturze świata (s. 75), pociąga i zaciekawia. Wypisy z poezji Krasickiego, podane dla celów ogólnikowej analizy (s. 146-9), nasuwają problematykę dalszych badań. Wskazanie elementów bajkowych u Sienkiewicza (s. 103) potwierdza poglądy, wypowiedziane niedawno na temat realizmu i arealizmu w Trylogii. Tak zatem swobodny przegląd literatury polskiej, dokonany przez Lechonia w miarę intelektualnych i uczuciowych potrzeb własnych i środowiska, zawiera konkretne sugestie naukowe, które należy wyłowić z tej książki.

Lechoń pisze własną prozą, która nieraz urzeka, ale także dolega czytelnikowi. Wykształcił on skomplikowany okres literacki, który operuje konstrukcjami względnymi i imiesłowami w nadmiarze kłopotliwym. Przez jego retorykę, składnię, chciało by się powiedzieć, dykcję pisarską przeziera raz po raz — niespodzianie dla nas, niespodzianie chyba dla samego autora — stary retor, Stanisław Tarnowski. Skąd się to wzięło Lechoniowi (jego proza z r. 1929 jest o wiele bardziej nowoczesna)? Ów nieoczekiwany renesans dawnego stylu, w jego ozdobności i bogactwie, zaskakuje szczególnie wówczas, gdy Lechoń czyni odsyłacze do współczesnej problematyki naukowej. Wtedy mamy wrażenie, że jest to Tarnowski, który przeczytał Freuda i Henri Bremonda.

Tadeusz Mikulski

Z. Nałkowska, Medaliony. Czytelnik 1946.

W latach rozkwitu powieści w Europie (przed pierwszą wojną światową) tematyka nie przychodziła łatwo. Życie mieszczańskie było tak zrutynizowane, że sięgano w jego zaułki, żeby znaleźć taką sensację (jakkolwiek się ją rozumie), jakiej powieść wymaga. Prawdopodobieństwo zdarzenia, choćby tylko duchowo sensacyjnego, zawisło w takim żurnalu obyczajów od sztuki autora. Druga wojna światowa uwalnia pisarza od szukania prawdopodobieństwa przygody w psychice czy charakterze bohatera. Dola ludzka, ignorowana w powieści psychologicznej jako inartificiale (wyjątek: Hardy), wystąpiła z licencją nieznaną nawet tragikom greckim: przypominam sobie moje uczucia 1909, z jakimi czytałem o feralnym Edypie, nieuważnym w jedzeniu Tyestesie, cierpiącym na cukrzycę Tantalu, chorym na wątrobę Prometeuszu. Wszystko to wydawało mi się raczej zagadką kwasów żołądkowych (i rodzinnych), niż metafizyką.

Prawdopodobniejsze jest, że człowiek zdrowy żyje, niż że umiera. W czasie tej wojny było w zupełnie naturalny sposób prawdopodobniejsze, że umiera: nie żołnierz, ale po prostu człowiek. Stało się zjawiskiem bardziej niż codziennym to, co kusiło pomysłowość sofistów. Zdawałoby się więc, że otwarły się nieprzeczuwane możliwości przed powieścią, skoro żadna wyobraźnia nie wymyśliłaby tego, co działo się masowo w najpowszedniejszej rzeczywistości. Tyczy to nie tylko zbrodni. Przemiany charakterów ludzkich, uczuć, nawyków (fundament nauki o prawdopodobieństwie) sprawiają, że nie możemy obecnie rozeznać się między sobą, choć nieraz łączyły nas stosunki przez dziesiątki lat trwające. Moc zagadek czysto ludzkich wyroiła się. Problem nowego życia, kokietowany w przedwojennej powieści amerykańskiej, narzuca się całkiem naturalistycznie. Zmiany wywołane wojną są oczywiście polityczne; ale ich refleksy rozlały się po całym naszym istnieniu, po sumieniach, po wrażliwości naskórka estetycznego, po wszystkich narządach równowagi duchowej. Rozstęp między pokoleniami, niepokojący już po tamtej wojnie, zieje obecnie przepaściami. Człowiek Europejski, istniejący w stanie szczątkowym jeszcze po tamtej wojnie, wymarł całkowicie. Jego senty-

menty, secesje i chimery są już niezrozumiałe. Ibsenista Żeromski miesza się w swojej nierealności z Andrejewem i Szaniawskim, Staff ze „Snów o Potędze“, z „Cienia Miecza“ i „Śpiewów o Czynie“ zapada się w jeden niebyt z Zaratustrą i Boecklinem. Nie ma tego już: ale co jest? Oj moj (pojęk Demostenesa).

Wracam do tematu. Stał się on zbyt łatwy, widzi się to w różnych periodykach i książkach powojennych. Skończy się literacko prędzej, niż by było pożądane. Literatura bowiem miewa dziwne finfy. Epopeja Napoleońska nie znalazła swojego Homera (w „Wojnie i Pokoju“ jest ona oglądana od drugiej strony kija). Pierwsza wojna światowa nie wydała literatury epicznej, całkiem przeciwnie. Ta wojna nie zrodzi nawet obrzydzenia. Zdaje się, nie rozporządzamy stanem psychicznym, a tym mniej ekspresją artystyczną, dla przekazania wiekom takiej potworności. Dysgust, to za mało. Osłupienie. Lecz jak wyrazić osłupienie? Narody zwycięskie mogą intonować rapsodie. Ale my? Grottger? To albumy! Nie da się zrobić sztuki albumowej z tej wojny. Romantyk imaginował posąg człowieka na posągu świata: już wtedy było to retoryczne. Cóż więc z ruiną człowieka na ruinie świata? I to jest nieznośne i nic nie załatwia. W pozie ruiny trwać nie podobna.

Nałkowska zrobiła to inaczej. Nie czuje się bezradna, jako artysta, wobec potworności, która przecież, artystycznie biorąc, jest bezkształtem (amorphon). Kształty zbrodni, a raczej jej koleiny, już zakrzepłe, odnajduje ona w ludziach, po których lub koło których zbrodnia przetoczyła się. Między piórem pisarza a faktem nie do opisania zawisł eter psychiczny, przekazujący widmo faktu. Od Conrada (przedtem był Turgeniew) widzimy wydarzenia na ekranie człowieka. Jest to jedyny sposób docierania do wydarzeń w stanie trwania, jedyny sposób zapobiegania niebezpiecznej wszechwiedzy pisarza.

Czasem jest to u Nałkowskiej tylko narracja świadka lub ofiary, zwykle jest narracją sam człowiek, a raczej jego zezwłok topielczy, wyrzucony na skraje bytu. Nałkowska nie wmawia w tych ludzi odrodzenia, co przydarza się pisarzom o tendencjach. Co więcej, ludzie ci nie są tragiczni, czy przez brak takich uzdolnień psychicznych, czy przez nieumiejętność sprostania w słowach wydarzeniom; taką sztukę, jak wiadomo, posiadał tylko „Ojciec Zadżumionych“. Zdaje się, że pisarza nęciła ta dysproporcja między potwornością przeżyć a pamięcią (bo w opowiadaniu-wywiadzie pamięć jest głównie interpelowaną władzą duchową). Pamięć ludzi Nałkowskiej jest taka sama, jak u nas wszystkich: spróbujmy zebrać wspomnienia chwil z naszego życia: jak mało jest chwil strukturalnych; ile niezrozumiale banalnych refleksów, jak bezsensowna gra światełek, przesuwa się po rozłogach pamięci. Może dlatego głównie Żydzi interesowali pisarza. Każdy z nas obserwował w czasie wojny zaskakującą odmienność ich reakcyj na grozę. Nasz słownik zalet i wad nie nadaje się do tłumaczenia tych dokumentów ludzkich. Autor wstrzymuje się też od ocen: z jednym wyjątkiem, kiedy stara się, jak mi się zdaje, niehistorycznie, wykazać, że czynniejsza postawa ludności mogła

ograniczyć rozmiary rzezi. Nie znaczy to jednak, by autor był tylko protokolantem. Jego protokół jest przecież portretem: medalionem, jak mówi artysta w języku swojego atélier. Medalion, to wyraz dawnych czasów, wyczuwa się w jego pobliżu jubileusz, uczczenie zasług. Lecz pisarz myśli o medalionie potrzaskanego grobowca. To twarze zmarłych, wyglądające, jak na grobowcach, wcale niegrobowo. Chłopak, który wyrabiał mydło ludzkie, nie czuje się zbeszczeszczony. Głównie szło im wszystkim o nieprzyjemny zapach. Zostało w nim nie osłupienie, ale zadziwienie przemyślnością niemców, którzy tak „z niczego" potrafili coś zrobić. Ze zdrowego człowieka kilka kg mydła! Prawie hokus-pokus, robiący wrażenie na małomiasteczkowej publice. Jest młody Żyd, który opowiada najokropniejsze rzeczy w taki sposób (bo nie można znaleźć jednego wyrazu, w jaki), jakby był krawcem w małym miasteczku i miał trudnego klienta. Ktoś wziął to za złe pisarzowi. Nałkowska włada tym kunsztem akwarelowym nie od dzisiaj, ma w swym dorobku tomik czystych charakterystyk. Rzadki u nas pisarz. Jednak nasz podziw dla tego kunsztu nie całkowicie jest klarowny; na dnie zostaje drobniutki osad wątpliwości: czy materiał dostarczony przez tę wojnę pozwala się załatwiać charakterystykami? Czy precyzyjny ten instrument nadaje się do uprzątania gruzu wojennego? Czy subtelny aparat seismograficzny utrzyma i utrwali diagramy tak masywnej katastrofy? Ale pisarz może powiedzieć: nie mam tej intencji, wykonywam swój kunszt. Kunszt zauważyli i uwielbili wszyscy; jest on niewątpliwy: pinxit Nałkowska, to jej ręka. Chciałbym (dla elegancji) stemperować moje (i powszechne) uznanie jednym, wybaczalnie błahym aforyzmem: Cézanne nie malował „Pochodni Nerona" (które zresztą są źle malowane).

Jerzy Kowalski

Władysław Rymkiewicz, Rafał z lasu. Opowiadania. Czytelnik 1946.

Rymkiewicz, w przeciwieństwie do Kwiatkowskiego, nawiązuje do czasów okupacji. W kilku opowiadaniach stara się zachować pion ideowy, podkreśla i uwydatnia walory charytatywne: miłość bliźniego i poświęcenie. Charakterystyczną jest cechą, że to poświęcenie dochodzi do wyżyny heroizmu w dwóch pierwszych opowiadaniach, gdzie chodzi o ratowanie życia Żydom.

Najlepiej skonstruowana fabuła nosi tytuł książki: „Rafał z lasu". Jest to rzecz napisana z rozmachem i z rosnącym napięciem dramatycznym. Partyzant Rafał, ażeby uchronić Żyda, który wyskoczył z pociągu wiozącego nieszczęśliwych do komór gazowych — nie waha się odejść od narzeczonej z dzieckiem, będącej również w groźnym położeniu.

W opowiadaniu „Obowiązek" nauczyciel Degen opuszcza chorą matkę, ażeby chronić Żydówkę Filirską.

W „Przyjaźni", opisującej dzieje ludzi wysiedlonych z Warszawy, poświęca się za bliźniego dziennikarz Rodzaj. W „Odpowiedzialności" profesor chemii, zmaltretowany nieludzko przez niemców, poświęca siebie

i współpracownicę Annę, ażeby uchronić wszystkich mieszkańców kamienicy przed odpowiedzialnością.

Dobrze się stało, że autor poruszył jako temat zagadnienie miłości bliźniego podczas wojny, w stosunku do tropionej bestialsko ludności żydowskiej (która nie zdradzała wielkiego zaufania do otoczenia polskiego) — obraz jednak wypadł, mimo wszystko, nieco przejaskrawiony.

W opowiadaniu „Nienawiść“ nie przekonywa nas autor opisem, że sublokator Wiatrakiewicz, Żyd, musi się kryć jeszcze po wojnie, z ujawnieniem swego pochodzenia.

Aleksander L. Szuro

Tadeusz Kwiatkowski, Lunapark. Księgarnia Czytelnik 1946.

Z kart książki bije werwa, wypełniona łamańcami słowa i groteską sytuacji. Zdaje się nam nieraz, że kipi młodość zwariowana, że przebywając w świecie majaków, za często wpada jak gdyby w stan rozpadu osobowości.

Mimo pewnych dziwactw a nawet nonsensów, napotykanych w książce, czujemy jednak po jej przeczytaniu, posmak poezji.

Autor naładowany nieprzeciętną fantazją, powiada, że jest „indywidualistą i wszelkie znane chwyty (pisarskie), choćby nawet najlepsze, napawają go wstrętem“. Stąd też pochodzą nieokiełzane, zaskakujące czytelnika, wesołe tricki sytuacyjne. Roi się w książce od „nowej kolejki dowcipów“, od igrców, rybałtów, joculatorów, w nowoczesnej formie, niczym w klasycznych „Żywych Kamieniach“ Berenta. A wszystko splata się na kanwie muzycznej słowa. Bez patosu, naszpikowane metaforami. Jak gdyby te słowa miały ochotę się podłożyć pod partyturę ballad szopenowskich. Bo Szopen jest natchnieniem autora, Szopen „piękny, jak wodotrysk w iluminowanym parku“.

Miałby tu duże pole do krytyki językoznawca, nie ma bowiem chyba rzeczownika, do którego by autor nie dopasował czasownika. Spotykamy się z takimi dziwactwami słownymi, jak „onimbiał, zobeliskował, sperpetuummobilił, arkuszeli, molekuleli“ i t. p.

Pierwszy rozdział książki jest najsłabszy, ostatni zaś z „rajską“ obserwacją autora, z całym skorowidzem genialnych nazwisk nieboszczyków, przedstawicieli przede wszystkim sztuki, którzy znaleźli się w raju— nie jest na poziomie całości.

Temat, oderwany od nadprodukcji utworów z ery okupacyjnej — uspokaja nerwy.

Aleksander L. Szuro

Kazimierz Brandys, Drewniany Koń. Czytelnik 1946.

Powieść składa się z dwóch ciągów między sobą przemieszanych: jeden, życiorysowy, objawia dużo talentu, drugi jest zupełnie puszczony.

Dzieciństwo bohatera usposabia czytelnika bardziej współczująco, niż autora; jest tu trochę za dużo samoironii, jak gdyby zmiany zaszłe w całym choćby świecie były w stanie unieważnić czyjekolwiek dzieciń-

stwo. Dzieci są zbyt niewinne, by trzeba je usprawiedliwiać. Inne nieporozumienie zachodzi jednakże w tej części powieści. Autor wprowadza wysokich oficerów do rodziny rejenta, jemu samemu wkłada ryngraf w palce splecione po śmierci, gdzieś mówi o herbie młodego człowieka, jednak w opisie domu, chłopca, jego rodziny i jej przyjaciół jest coś, co przypomina „Krauzów i Innych" Naglerowej, jakiś psychicznie odmienny sposób bycia.

Autor opowiada życie bohatera wstecz, z tym skutkiem, że czterdziestoletni bohater zachowuje się do końca powieści jak dziecko. Wszystko, co się czyta w drugiej części, mogłoby pozostać bez zmiany (nawet Urszulka), obliczając wiek bohatera na jakie 7 lat. Nierozwinięte to dziecko dojrzewa ideowo pod sam koniec powieści, głównie pod wpływem strachu. Ten strach, „pierwsze czucie duszy", bardzo pięknie i ze słodyczą duhamelowską wsączony w dramat „najmniej dorosłych istnień", zasługiwał na lepszą katharsis; autor przerzucił go w tak niską tonację, jak się to coraz częściej zdarza w powojennych powieściach. Jest to, być może, brawurowe osłabianie tonacji wojennej. Autor i uczestnicy powieści wyczuwają tę nieśmiałość bohatera, jako upośledzenie, za grubo; Rimbaud powiedział: par délicatesse j'ai perdu ma vie; najsprytniej wyzyskuje je szewcowa, która po stracie pierwszego zaprzęgu kompletuje nowy: z prowizora i bohatera. To jakby socjalne znamię kobiecości stopniuje pod koniec autor w coś jakby symbol nadchodzących czasów. Odpowiednio do tego demaskuje się Urszulka jako przeżytek epoki.

Autor jest dosyć bezbronny wobec swojego bohatera. Ukazuje nam go nadaremnie w różnych framugach czasu, poszukując wariantu w wygubianiu czasu epicznego z powieści, przy pomocy takiego np. zwrotu, jak „wspomnienia mię pieką". Z mebli, z zegara, z pory nocnej wydobywa się ten zmięty czas i szeleści w ciszy życia apatycznego i bezczasowego. Każdy bezwład życia może służyć takiej retrospekcji pozornie umotywowanej. U Boguszewskiej jest to konanie, gdzie indziej może to być wojenny okres śmierci cywilnej. To przesuwanie się przeszłości przez teraźniejszość może być równie kunsztowne jak nieprzekonywające, np. w „Niewidomym z Gazy".

Bo, po pierwsze, taka przeszłość, póki jest drugoplanowa (co jest jej funkcją naturalną), jest zrozumiale wypełzła, a jej postaci są gobelinowe. Jeżeli jednak autor (dla chęci wariantu artystycznego) przenosi to, co stwarza dramat powieści, w jej czasowe przedpola, wtedy utrudnia nam identyfikację bohatera: bo stanowczo człowiek ten był wówczas nie tym, którego my po tym wszystkim przyłapujemy w powieści. Pisarz wydobywa z kompotu baśń o sadzie: to go może nęcić, taka próba odwrócenia stosunków w czasie i ważności.

Po drugie, najistotniejsze, tj. najfizykalniejsze w odczuciu czasu jest to, że co jest teraz, tego nie było przedtem i odwrotnie. Niczym innym czas nie jest, ponieważ nie mamy przecież zmysłu czasu i trwania. Jeżeli usuwamy z czasu poczucie zmiany, nastając na jego wydłużenia w teraźniejszość, obawiam się, że usuwamy z powieści nie tylko czas,

ale i pojęcie bryły życia. Może malarz malować bez perspektywy, może pisarz rzutować bezprzestrzennie: wygląda to jak kapelusz planimetryczny i nie liczący się z tym, że człowiek nosi pod kapeluszem dosyć przestrzenny przyrząd do myślenia. Jak bowiem widzę swoją młodość? Jako świat, którego nie ma i jako moje istnienie już nie istniejące. Kokietowanie teraźniejszości przeszłością, jak się to dzieje w powieści bez czasu epicznego, jest kompozycyjnie ponętne, w historii sztuki przypomina schyłkowy okres pełnego (technicznie, a nawet artystycznie bardzo trudnego) reliefu; psychologicznie jest zaś niesprawdzalne, bo psychologicznie nie istnieje nawet godzina, a cóż dopiero lat kilkadziesiąt. Zawsze więc jeden z czasów tu cierpi. U p. Brandysa ucierpiał czas „akcji". To się dzieje bezkarnie w retrospektywnych powieściach bez współczesnej akcji, a mści się, gdy autor ma pewne zamiary wobec współczesności.

Literatowi wolno wszystko, pod jednym warunkiem: że będzie to prawdopodobne. Otóż opis zebrania zamachowców nie jest prawdopodobny, traci się tu zaufanie do literata. W widoczny sposób brak mu tu doświadczeń życiowych (przytacza jedynie wyjątki z kabotyńskich listów). Jak nie udało się autorowi oddać autentycznie domu szlachcica-rejenta, tak w drugiej części czuć fetor, którego nasza skóra (nienajhigieniczniejsza) nie wydziela.

Możnaby też myśleć tu o persyflażu, bo w tej części jest trochę Gombrowicza. Mamy też już jedną humoreskę o konspiracji. Lecz kiedy bohater kaja się z augustynowską żarliwością („O nędzo mojej duszy..."), byłoby literacko potrzebne, by owo oszustwo, którego padł ofiarą, nie było takie tombakowe.

Końcowe odrodzenie bohatera odbywa się w kolorycie bukolistycznych powieści i filmów francuskich. Takie kończenie powieści zaczęciem nowego życia zdarzało się i w przedwojennej literaturze, ewazyjnej lub dociągającej kronikę powieści do dnia wybuchu pierwszej wojny światowej. Jest całkiem naturalne, że powieść się urywa, gdy cały obraz życia się rozpada, gdy kończy się epoka przed końcem człowieka. Dla pisarza zajętego postacią ma to tak małe znaczenie, jak dla Stendhala. Widać więc z tego, że powieść p. Brandysa interesuje się raczej drewnianym koniem, niż jeźdźcem. Szkoda, bo o jeźdźcu umiał z wielkim wdziękiem powiedzieć ludzkie, czyli wieczne prawdy. *Jerzy Kowalski*

J e r z y Z a w i e y s k i, Noc Huberta. Czytelnik 1946.

Autor anatomizuje jedną noc; czyni to jednak odmiennie, niż inni pisarze tego gatunku powieści, nie nabija tych najdrobniejszych jednostek czasu rozproszkowaną materią rzeczy, nie snuje też ze siebie pamiętnika, jak Proust, lecz nasyca cały roztwór swojej powieści jednym elementem: sprawą porzucenia małżonki bohatera w rękach Gestapo. Strona moralna tego załamania się jest bardzo słabo zarysowana. W ogóle autor doprowadza angielską manierę osłabiania ekspresji słownej, zwaną understatement, do zupełnej anemii. Szkodzi to postaci Edyty; understatement jest

tu niżej normalnej psychiki angielskiej. Problemy, które męczą (to autor jakoś dopuszcza) bohatera, nie są ani czysto moralne, ani czysto psychologiczne. Wprawdzie bohater usiłuje sobie uświadomić, że małżonka jego wniosła w to zdarzenie pewną przyrodzoną skazę samobójczą, ale przy tym bierze on inne współczynniki pod rozwagę, jak rola przypadku, sprawa harmonii świata; są to problemy teologiczne, najżarliwiej traktowane w filozofii chrześcijańskiej. Ostatnie karty (a nawet słowa) książki przynoszą coś jakby odrodzenie bohatera, jednakże nie wydaje się ono wynikać z jego rozmyślań uporczywych. Są one raczej nurtem, z którego coś się wyłania, czego one w sobie nie kryły. Tak jest z nawróceniem świętego Augustyna: po długich niepewnościach wzbiera chwila decydująca sama w sobie. U p. Zawieyskiego rozmyślania udzielają się wszystkim osobom i nie różnią się między sobą; znać, że za wszystkich myśli autor i z tego myślenia pragnie uczynić dzianie się w tej książce przy pomocy kilku chwytów, jak noc bezsenna, muzyka, retardacja w ekspozycji. Gotowość do takich rozmyślań przechodzi również granice realizmu literackiego. Walka autora z wszelkim podejrzeniem go o taką troskę jest następstwem technicznej instrumentacji utworu.

Autor eliminuje z powieści niemal wszystko, co się dzieje poza obwodem rodziny. Zainteresowania rodzinne nie są może sprawą samego autora, całość tej rodziny i jej atmosfera określają też bohatera. Autor stara się, mimo anemiczność faktu, utrzymać pewien koloryt epiczny, odwodzi nas na chwilę od problemu bohatera ku paralelizmowi wydarzeń, nie mających zresztą związku ze sprawą powieści.

Równie niewyraźna jest w tej powieści sprawa muzyki. Ma ona oczywiście możliwość otwierania wnętrz ludzkich, lecz autor albo zasłania się przed podejrzeniem literackości w traktowaniu muzyki, rozważając ją (jak sami muzycy) technicznie, co jednak znakuje nieuchwytnymi ogólnikami, albo też czyni napomknienia o harmonii muzycznej, doszukując się w człowieku podobnego zestroju. Można to uznać, że człowiek jest melodią (lub dysonansem), jednakże autor to mówi, a nie ukazuje tego. Brak takiego związku muzyki z osnową powieści, jaki jest w „Sonacie Kreutzerowej". Wygląda to tak, jakby autor znalazł te elementy w neoplatonizmie czy wczesnym chrześcijaństwie, ale bohater jego nie ma przecież psychiki neoplatońskiej. Procesy poznawcze są przeżyciami dla ludzi innego pokroju, niż rodzina opisana przez p. Zawieyskiego. Z muzyki też zdaje się być niewłaściwie do literatury przeniesiona identyczność artyzmu z techniką.

Może być, że autor nie szuka porozumienia z czytelnikiem. Taki nastrój wywiązuje się z atmosfery probówki. Tu jednak zaszło zasadnicze nieporozumienie między nauką a sztuką. Nauka używa takiej mikroskali, jednak drobiazgowość analizy jest w nauce okupiona wynikami. Uczony nie jest natrętny w ukazywaniu drobiazgów pracy, szczegółowość dowodu niezbędna jest dla pewności wyniku; uczony nie ogłasza zwykle pełnego inwentarza swoich analiz. W literaturze wygląda to inaczej; wynik odkrywczy tu się nie nasuwa, a główną sprawą jest traktowanie materiału.

Nikt nie pracuje naukowo dla stosowania samej metody, dlatego tak kompletna i z taką konsekwencją (podziwu godną) wytrzymana intelektualizacja powieści p. Zawieyskiego zwichnęła proporcje między wkładem uwagi a wydobyciem. A przy tym Sztuka, jeżeli nie polega na pewnym wzmożeniu (czego autor wystrzega się programowo), to co najmniej winna mieć w sobie jakąś pokusę. Autor i tę odczynił z swojej książki.

Jerzy Kowalski

K R O N I K A

ŻYCIE LITERACKIE WE WROCŁAWIU

Życie literackie rozwija się ze spotkania ludzi i idei. Ludzie spotykają się ze sobą wcześnie lub późno, w zależności od warunków i przypadku. Czasem spotykają się w końcu, według formuły Boya Żeleńskiego, jak Gerwazy z Protazym, na przekór oczywistości. Idee szukają swoich odkrywców i realizatorów, znaczą o wiele mniej bez człowieka. Gdy mówimy o życiu literackim we Wrocławiu, trzeba mówić najprościej i najzwyklej o spotkaniach ludzi.

Przegląd sił wrocławskich jest ciągle jeszcze bardzo ubogi. Zagadnienie osiedlania się pisarzy na ziemiach odzyskanych przewija się raz po raz przez prasę ogólną i literacką, bez widomych rezultatów. Garsteczka pracowników pióra, których los życiowy zawiódł do Wrocławia, ciągle jeszcze nie imponuje liczbą (przed niedawnym czasem pomnożył ten szereg swoją młodością i talentem Wojciech Żukrowski). Jedyną, jak dotychczas, formę organizacyjną dało Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego, które przezwyczaja Wrocław do co tygodniowej konsumpcji literatury, z regularnością pedagogiczną — w każdy czwartek. Owe „czwartki literackie", o frekwencji dotychczas niesłabnącej, funkcjonują w dwu kierunkach: Dozwalają pisarzom spoza Wrocławia przemówić do wrocławskiej publiczności. W okresie, gdy kultura polska zdobywa tereny zachodnie, jest to działanie tyleż literackie, co społeczne. Ponadto coraz wyraźniej, w pewnej niezgodzie z przygodnymi głosami prasy (zob. Orda, 1947, N. 4, s. 7), skupia się wokół Koła młodzież literacka, z pobliskich sal uniwersyteckich.

W ten sposób, który wydaje się naturalny i prawidłowy, Koło sprzyja powstaniu nowej generacji pisarskiej, prozaików i poetów, z roczników studenckich. Trudno zgadywać przyszłość literacką tych pisarzy. Obietnice indywidualne rokują wiele, jakkolwiek z góry można oczekiwać — także zawodów. Ale młody pisarz chce mówić, chce być słuchany. Tak pojawia się wokół Koła ruch opinii, ruch krytyki, nieraz wcale żywo falujący, który ułatwia właściwą ocenę i odnalezienie słusznej miary. W wydarzeniach tych pojawiła się pewna łączność między cyklem

czwartkowym a działalnością Sekcji literackiej akademickiego Koła Polonistów. Jest to symbioza niezorganizowana i dlatego dobrze wróżąca.

Życie literackie, poza grupami cyganerii artystycznej, która koczuje we wszelkiej historii literatury, wyraża się także drukiem. Z uwagą rozglądamy się po drukarniach wrocławskich, pytając, czy one także zaczęły pracować — dla literatury. W tym zakresie książka wyraża twórczość indywidualną. Twórczość grupy, właśnie życie literackie, dąży do formy periodyku. Kolumny czasopism przeprowadzają doraźną selekcję wartości literackich na drodze ich pokazu i dyskusji. Z tego pola nie przyniesiemy zbyt obfitego plonu. Coraz liczniejsze we Wrocławiu periodyki naukowe (zobacz „Eos", organ filologów klasycznych, warszawsko-wrocławski „Pamiętnik Literacki", który ciągle jeszcze liczy straty wojenne, poniesione przez historię literatury, „Sobótka", czasopismo miłośników historii lokalnej i kultury...) tylko ubocznie współdziałają w obudzeniu życia literackiego. Codzienna prasa wrocławska odkłada literaturę — na niedzielę. Gdy kartkujemy dodatki niedzielne dzienników, spostrzec nie trudno, że literatura ma służyć tutaj wypoczynkowi i rozrywce. Pionier, osiadły na Dolnym Śląsku, chce, by go zabawić w niedzielne popołudnie, nie zajmując zbytnio umysłu. Prasa codzienna szanuje przyzwyczajenia pioniera, który ma ciężki tydzień do przeżycia.

Prawdopodobnie tak właśnie rozumując „Trybuna Dolnośląska" przekształciła swoją kolumnę „Przyjemne z pożytecznym", która korzystała z pouczających doświadczeń Adama Naruszewicza, wydawcy „Zabaw przyjemnych i pożytecznych", na rubrykę rozrywkową „Świat się śmieje" (red. Mieczysław Kofta).

Reprezentacyjny dziennik Wrocławia „Słowo Polskie" gromadzi treści literackie w dodatku niedzielnym „Zwierciadło Polski i świata" (red. Tadeusz Kowzan). Trzeba rzec sprawiedliwie, że ambitne zrazu początki nie zostały później potwierdzone. „Zwierciadło Polski i świata" jest magazynem różnej treści, także literackiej. Ogród nieplewiony wolno przemierzać Wacławowi Potockiemu. Ale stokroć lepiej oddać go — poza obszarami w. XVII — w ręce ogrodnika. Literatura „Zwierciadła Polski i świata" utrzymuje się na granicy doraźnej roboty dziennikarskiej, która potrafi być niebezpieczna. Proza „Zwierciadła" przynosi nieraz wspomnienia z okresu wojennego we Wrocławiu, wydobyte z pamięci Polaków, zapędzonych do niemieckiego wówczas miasta. Należy przyznać tym relacjom walor dokumentu, choć pojawiają się w postaci stylizowanej.

Największe ambicje w tym zakresie ujawnił „Naprzód Dolnośląski", który z początkiem r. 1947 otworzył dla swoich czytelników co niedzielny „Horyzont kulturalny" (pod staranną redakcją Tadeusza Lutogniewskiego). Kolumna ta zachowuje doskonałą równowagę treści. Zagadnienia kultury umie rozważać w sposób poważny, ale powszechnie dostępny, specjalizując się m. in. w formie wywiadów z wrocławskimi pracownikami nauki i kultury. Materiał sprawozdawczy w zakresie wydarzeń wrocławskich jest rozległy i dobrze podany. Ponadto kolumna

Lutogniewskiego potrafi zabawić fraszką, rysunkiem, anegdotą. Tak rubryka „Naprzodu Dolnośląskiego" dobrze spełnia zadanie informacji, a nieraz także i oceny.

Gdy w prasie wrocławskiej znajdujemy glossy do wydarzeń kulturalnych i literackich, nie szukać w niej jeszcze — literatury. Nie przynosi jej wiele „Akademik Wrocławski", ciągle jeszcze nieregularny (od października 1946 N. 1—4), ograniczony z natury rzeczy do sił pisarskich młodzieży studenckiej. Autorzy wrocławscy wszelkich generacji powierzają swoją twórczość katowickiej „Odrze", zawsze gościnnie otwartej dla wrocławskich zasobów. W ten sposób rozwija się symbioza literacka elementów autochtonicznych i przywoźnych, jako zapowiedź nowej formacji kulturalnej. Można już dzisiaj powiedzieć, uprzedzając wynik eksperymentu, że będzie to formacja szczególna, niespotykana w geologii kultury: związek organiczny różnorodnych elementów życia i twórczości, powstały i zacieśniony — także we Wrocławiu.

Życie literackie, skupione w zespołach towarzyskich i redakcyjnych, musi prowadzić nieodmiennie do biblioteki. Z magazynów bibliotecznych, wypełnionych po brzegi książkami, czerpie twórczość literacka swoje siły i świadomość. Nie podobna przyjąć, by powstało we Wrocławiu bogate środowisko literackie, zasobne w ludzi i pomysły, bez biblioteki polskiej, która kładzie fundamenty pod wszelką kulturę. Nie dość zaprowadzić młodzież literacką do salki na placu Nankiera, by rozłożyła tutaj fragmenty swojego dzieła. Twórczość potrzebuje uprawy — i lektury. Gdy zasoby Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu pozostają obce z natury rzeczy, gdy księgozbiory zakładów humanistycznych narastają z trudem i powoli, patrzymy ze szczególną radością w stronę dawnego gimnazjum św. Macieja, gdzie osiadło we Wrocławiu Ossolineum. Tradycja tej wspaniałej instytucji przechowuje służbę zarówno nauce, jak literaturze. W miarę porządkowania i udostępniania zbiorów, w których ocalała literatura dawna i nowa, żywić się nimi będzie młode życie literackie Wrocławia, pozostawione dzisiaj prawom samorództwa intelektualnego.

Kiedy kartkujemy literackie czasopisma bieżące, narasta w nich coraz bardziej, w prozie, w poezji, w zasobach myśli i wyobraźni, Wrocław, jako temat. Jest to temat literatury. W tym samym czasie, szukając dla siebie form, drogi i własnego oblicza, rośnie w siły i zamiary Wrocław literacki. Życie literackie powstaje tutaj — z niczego.

Tadeusz Mikulski

WYŻSZA SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH WE WROCŁAWIU

Ministerstwo Kultury i Sztuki poruczyło zorganizowanie Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych we Wrocławiu artyście malarzowi Eugeniuszowi Geppertowi w styczniu roku 1946, mianując go dyrektorem Szkoły w lipcu tego samego roku. Szkoła ta znalazła pomieszczenie

w budynku byłej niemieckiej „Meisterschule für Kunstgewerbe", z której ocalała jedna oficyna. W budynku tym, na którego remont i prace organizacyjne wyasygnowało Min. Kult. i Szt. 700.000 zł., znaleziono remanent materiałowy w postaci sztalug, stołków, szaf itd.

Udało się w stosunkowo krótkim czasie odremontować budynek i przygotować na otwarcie roku szkolnego. Już w maju uruchomiono sekretariat, który zajął się wpisami kandydatów na uczniów Państw. Wyższ. Szk. Szt. Piękn. Rok szkolny zaczął się dnia 7. X. 1946 r. uroczystym otwarciem, które zaszczycili swą obecnością rektor Uniwersytetu dr Stanisław Kulczyński i Naczelnik Woj. Wydz. Kultury i Sztuki artysta rzeźbiarz Władysław Poreyko.

Grono profesorskie składa się z: dyrektora Eugeniusza Gepperta, profesorów: Adama Hannytkiewicza, dziś już nie żyjącego, Stanisława Dawskiego (kompozycja brył i płaszczyzn), Leona Dołżyckiego (rysunek), Emila Krchy (rysunek), Stanisława Pękalskiego (rysunek wieczorny), Stanisława Rzeckiego (rzeźba) i Borysa Michałowskiego (rzeźba), oraz wykładowców przedmiotów teoretycznych: prof. Tadeusza Broniewskiego (propedeutyka architektury, geometria wykreślna), Stanisława Kopystyńskiego (perspektywa, historia sztuki).

Do P. W. S. S. P. zapisało się ogółem 98 kandydatów, z których 64 posiadało maturę. Reszta kandydatów bez matury została wpisana na t. zw. kurs zerowy, którego ukończenie umożliwia im zdanie matury w terminie rocznym i wstąpienie do P. W. S. S. P. Wszyscy kandydaci musieli zdać egzamin z rysunku odręcznego i kompozycji brył i płaszczyzn. Uczniowie kursu zerowego oprócz rysunku i rzeźby pobierają naukę przedmiotów ogólnokształcących, których udzielają siły nauczycielskie, zaangażowane w porozumieniu z Kuratorium Okręgu Szkolnego Wrocławskiego przez kierownika tegoż kursu prof. Stanisława Kopystyńskiego, mianowanego przez Ministerstwo Kult. i Szt. Kurs ten jest jednoroczny, gdyż w roku następnym zostanie zorganizowane Liceum sztuk plastycznych dla absolwentów szkół ogólnokształcących, mających na celu przygotowanie kandydatów do P. W. S. S. P.

Element uczniowski kursu zerowego jak i słuchaczy P. W. S. S. P. rekrutuje się przeważnie z repatriantów. Znachodzą się też uczniowie, pochodzący z Poznania, Pomorza, a nawet z zagranicy. Bezpośrednio po uruchomieniu szkoły zorganizowano Bratnią Pomoc, do której należą wszyscy uczniowie. Kuratorem Bratniej Pomocy jest prof. Leon Dołżycki. Organizacja ta wykazała dużą żywotność, urządzając w grudniu teatr kukiełek, a w lutym bal Bratniej Pomocy, z którego dochód przeznaczony został na wycieczkę uczniów na wystawę w Krakowie w celu zapoznania się z malarstwem współczesnym. Udział uczniów w tej imprezie wyraził się w urządzeniu dekoracji sali balowej, co wykonano pod kierunkiem prof. Dawskiego.

Następną imprezą uczniów było wydawnictwo kartek świątecznych według pomysłów własnych, nie tylko dla dochodu, ale także w celu podniesienia przemysłu w tym zakresie.

Głównymi trudnościami, na jakie szkoła w tym okresie natknęła się, były niewystarczające i nieregularne subwencje, co utrudniało w okresie zimowym dostateczne opalenie sal naukowych. To było powodem, że uczniowie stracili w tym okresie około 10 tyg. pracy. Niemniejszą przeszkodą była obojętność czynników miejscowych w stosunku do szkoły i młodzieży, co wyraziło się w niewypłaconej a uchwalonej przez M. R. N. dla potrzeb szkoły i młodzieży subwencji, w wysokości 1 000 000 zł.

Eugeniusz Geppert

PLASTYCY WE WROCŁAWIU

Równocześnie z napływem na Ziemie Odzyskane pionierów, organizujących po tylu wiekach z powrotem polskie życie we wszystkich dziedzinach, zjawili się obok robotników, rolników, naukowców czy pracowników administracyjnych i artyści, a wśród nich także i plastycy. Ciągnęło ich tutaj i piękno tych ziem i dobrze zrozumiany obowiązek. Trzeba bowiem przede wszystkim podkreślić jedno. Sztuka nie jest luksusem. Sztuka jest potrzebą, koniecznością życiową każdego narodu, społeczeństwa i państwa — jest emanacją jego duchowego życia. W nowych warunkach demokratycznego państwa sztuka jest współtwórcą o wiele silniejszym i bardziej związanym z całokształtem zagadnień, aniżeli to było w państwach, kiedy naród nie miał prawa brać pełnego udziału w budowaniu swojej rzeczywistości.

Toteż artyści świadomi swoich zadań, stanęli do pracy organizacyjnej bez zastrzeżeń. Z gorącą wiarą i zapałem przybyli tutaj plastycy, by pracować twórczo, organizować swoje placówki, spełniając swoje powołanie i posłannictwo. Ziemie Śląskie pełne polskiej przeszłości wydawały się tym pionierom kultury bardzo wdzięcznym polem działania. Na Dolnym Śląsku nie ma prawie miejscowości, gdzieby przeszłość polska nie mówiła do nas żywym dokumentem starych architektonicznych zabytków. W monumentalną formę budownictwa zamknięte kamienie świadczą o wspaniałej przeszłości duchowej. Tutaj kwitła wielka sztuka. Nawiązanie do tej sztuki, do tej przeszłości, stworzenie łączności żywą pracą twórczą, to była pierwsza myśl, przyświecająca tym poczynaniom. Zreorganizowany po wojnie Związek Polskich Artystów Plastyków, rozbudowując swoje placówki, objął nimi i Ziemie Odzyskane, by w pełni odpowiedzieć temu zadaniu.

Praca w Związku w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki szła po dwóch liniach. Zakładanie ośrodków związkowych i pomoc przy organizowaniu szkolnictwa artystycznego. Obie te prace zostały zapoczątkowane jeszcze w pierwszych miesiącach zeszłego roku. Powstał już na Dolnym Śląsku Okręgowy Związek Polskich Artystów Plastyków, liczący 60 członków, z siedzibą we Wrocławiu, z placówkami w Jeleniej Górze, Wałbrzychu i Kładzku. Wrocław nie posiada żadnego lokalu wystawowego. Artysta plastyk może tylko drogą wystaw nawiązać kontakt ze społeczeństwem, tylko w ten sposób sztuka spełnia swoją społeczną

i pedagogiczną misję. Sprawa wystaw czeka. Ruch wystawowy w całej Polsce jest bardzo znaczny. Wrocław polski oglądał tylko jedną wystawę poważną, a to zbyt mało. Miasto, które ma wyższe uczelnie Sztuki, musi dać możność młodym adeptom zapoznawania się z żywą współczesną sztuką polską, z prądami, jakie ją nurtują.

Z wystawy tej zostały zakupione eksponaty w liczbie 22, z tego Ministerstwo Kult. i Szt. 10, Urząd Wojew. 9, instytucja Społem 2 i prywatny nabywca — 1. W planie prac związkowych przewidziany jest szereg pokazów, jednak, jak już zaznaczono, brak lokalu hamuje tę pracę. W tej chwili dochodzi do skutku wystawa w Wałbrzychu, gdzie zdołano uruchomić lokal zdatny na tego rodzaju imprezy. Sam Związek też nie ma lokalu i mieści się „kątem" w sekretariacie Wyższej Szkoły. Wprawdzie Związek uzyskał przydziały mieszkaniowe na dwa obiekty z czterema pracowniami i mieszkaniami, jednak z braku kredytów domy te nie są oddane do użytku i czekają dalszego remontu.

Członkowie Związku mają w swoim składzie szereg nazwisk artystów, liczących się do wybitnych przedstawicieli współczesnej plastyki polskiej. Nazwiska ich spotykamy we wszystkich katalogach wystaw krajowych i zagranicznych, w spisie odznaczeń konkursowych i zakupów do zbiorów państwowych. Plastykami tymi są: Emil Krcha, prof. Szkoły Wrocławskiej, założyciel przedwojennej grupy Zwornik i jej długoletni prezes, artysta o wybitnej indywidualności i swoistym ujęciu widzianego zjawiska, jeden z czołowych malarzy współczesnego pokolenia. Poza nim we Wrocławiu jest Leon Dołżycki, artysta należący do polskiej awangardy w momencie przełamywania się światopoglądu polskiej myśli artystycznej. Przed wojną należał do przebojowej grupy Formistów, grupy Jednoróg i poznańskiej Plastyki. Obecnie także jest profesorem w Wyższej Szkole. Następnie na liście członków figuruje nazwisko Stanisława Rzeckiego, prof. rzeźby, założyciela i członka grupy Rytm, członka towarzystwa Sztuka, wielokrotnie odznaczonego na wystawach krajowych i zagranicznych. Prezesem Związku i dyrektorem Szkoły jest Eugeniusz Geppert, długoletni członek redakcji „Głosu Plastyków", delegat do międzynarodowego związku i jego wiceprezes (Confédération Internationale des Associations des Artistes), również odznaczony wielokrotnie i wystawiający swoje prace w kraju i na reprezentacyjnych wystawach zagranicznych. Te nazwiska tworzą ideowy człon organizacji. W najbliższym czasie łącznie z inicjatywą społeczeństwa wrocławskiego ma powstać Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, którego zadaniem będzie we współpracy z artystami zorganizować życie wystawowe na terenie Wrocławia.

Najtrudniejszym szkopułem jest, jak zwykle, pomoc finansowa i rzeczywiste zainteresowanie się ciężką pionierką, która bez pomocy i współżycia czynników lokalnych nie może dać rezultatów. Jak dotąd, oddźwięk jest niestety równy zeru i obojętność tak dalece posunięta, że nawet na piśmie obiecana pomoc nieraz zawodzi.

A miasto nasze gwałtownie takich pomocy potrzebuje. Sztuka ma

nie tylko swoje własne i wewnętrzne cele, ale ma przede wszystkim społeczny cel oddziaływania kulturalnego na szerokie warstwy społeczeństwa. I jeżeli się to zrozumie, to wszystkie trudności i przeszkody w organizowaniu wystaw, remontu pracowni, zakupów czy nagród, ufundowanych przez miasto czy Rady Narodowe, zostaną z łatwością usunięte.

Eugeniusz Geppert

WROCŁAWSKA KRONIKA MUZYCZNA I TEATRALNA

Na wstępie naszej kroniki wypada zakomunikować, że Teatry Dolnośląskie zostają w najbliższym czasie upaństwowione, jako piąty teatr w Polsce. Poza zaszczytnym wyróżnieniem, pomoc Państwa pozwoli dyrekcji Teatru na swobodne upowszechnianie sztuki teatralnej wśród mas i na dobór repertuaru bez oglądania się na „kasę".

Poza tym od napisania ostatniej kroniki mało się zmieniło w ogólnej sytuacji teatralnej Wrocławia. Nadal 3 najpoważniejsze placówki: Teatry Dolnośląskie, Opera Dolnośląska i Filharmonia Wrocławska duszą się w jednym, niezbyt pojemnym gmachu i na jednej scenie (na której jeszcze od czasu do czasu odbywają się okolicznościowe uroczystości, akademie i zebrania). Zdarzają się i przedstawienia w dość osobliwych porach, jak g. 10 rano.

Tymczasem, jak już pisaliśmy (i co będziemy powtarzać przy każdej sposobności), 2 piękne sceny są zajęte przez teatry ochotnicze bardzo słabo prosperujące, lub istniejące tylko na papierze i wypożyczające swoją salę np. na mecze bokserskie. Wprawdzie jesteśmy zagorzałymi entuzjastami sportu, ale na scenie teatru przyzwyczailiśmy się widzieć teatr.

Poza tym dowiadujemy się, że ma powstać jeszcze jeden teatr ochotniczy w gmachu Okręgowej Komisji Związków Zawodowych. Należało by więc pomyśleć nad możliwościami wykorzystania tych scen przez:

1) stworzenie teatru ochotniczego z prawdziwego zdarzenia, w którym kierownictwo artystyczne powierzono by ludziom teatru,

2) otworzenie kursów dla kierowników, reżyserów (na wzór kursów dla instruktorów świetlicowych, urządzonych przez Woj. Wydz. Kultury i Sztuki, których absolwenci zasilili miasta prowincjonalne Dolnego Śląska) i dla aktorów teatrów ochotniczych,

3) urządzanie koncertów umuzykalniających dla mas i zamkniętych przedstawień dla Zw. Zaw., zakładów pracy, szkół i wojska, przez Teatry Dolnośląskie w dnie, w których sala Teatru Miejskiego jest zajęta przez Filharmonię lub Operę (albo spektakli operowych, gdy w Teatrze Miejskim grają Teatry Dolnośląskie).

Ale wróćmy do kroniki „gmachu Teatru Miejskiego" (jak ją nazwał któryś ze sprawozdawców).

W okresie sprawozdawczym Filharmonia Wrocławska zaprezentowała 7 koncertów symfonicznych, 2 poranki symfoniczne, specjalny koncert sylwestrowy i 2 recitale. W ramach tych koncertów wystąpili skrzypacy (chronologicznie): Alicja Hakowska-Rozgórska, Wanda Wiłkomirska, Edward Statkiewicz, Bronisława Rotsztatówna i Irena Dubiska; pianiści: Bol. Woytowicz, Barbara Korytowska, Henryk Sztompka, Alicja Allinówna i Władysława Markiewiczówna (recital dwu-fortepianowy) i Maria Bielińska-Regierowa; śpiewaczki: Waleria Jędrzejowska, Olga Łada i Aniela Szlemińska; dyrygenci: Zbigniew Dymek, Stanisław Skrowaczewski, Kazimierz Wiłkomirski, Stefan Syryłło i Władysław Górzyński.

Nie będziemy zatrzymywali się nad oceną artystów występujących gościnnie w naszej Filharmonii, których nazwiska są ogólnie znane, a technika i interpretacja omawiane w niezliczonych recenzjach, chcielibyśmy tylko zaznaczyć, że występy młodych i mniej jeszcze znanych artystów nie gromadziły tak licznej publiczności, na jaką zasługiwały, czego najlepszym dowodem był koncert młodej, utalentowanej skrzypaczki B. Rotsztatówny. Z solistów miejscowych skrzypaczka Alicja Hakowska-Rozgórska dysponuje dobrą, czystą techniką i dużym, choć suchym tonem. Sopranistka Opery Dolnośląskiej Waleria Jędrzejowska, tym razem w ramach koncertu sylwestrowego, odśpiewała kilka arii operetkowych i lekkich pieśni, jak zwykle bardzo muzykalnie.

Z wrocławskich muzyków nie usłyszeliśmy jeszcze w tym sezonie szopenisty o pięknej, inteligentnej frazie Piotra Łoboza, który, jak dotąd, koncertuje tylko przed mikrofonem Polskiego Radia.

Jak widzimy z zestawienia solistów, wielką liczebną przewagę mieli instrumentaliści nad śpiewakami. Nie wiemy, czy taki dobór wykonawców jest słuszny. Śpiew posiada dla najszerszego ogółu ogromną siłę atrakcyjną, a melomani wrocławscy na pewno chętnie zapoznaliby się z nową pieśnią polską i obcą. Wprawdzie obecnie w Polsce trudniej o dobrego śpiewaka, niż o instrumentalistę, ale dyrekcja Filharmonii powinna się rozejrzeć i zapełnić tę lukę.

Żałujemy, że Władysława Gorzyńskiego ujrzeliśmy prowadzącego tylko lekki koncert sylwestrowy. Czyż nie szkoda sprowadzać jednego z najlepszych polskich dyrygentów, dla poprowadzenia kilku walców Straussa, Suity Bizeta, polki i marsza? Dyrektor Filharmonii Stefan Syryłło prowadził jak zwykle 2 koncerty symfoniczne. Większością koncertów dyrygował Stánisław Skrowaczewski. Wykonania jego cechuje inteligencja i świadomość środków. Przy pięknej technice (zwłaszcza lewej ręki) posiada jednak pewną nerwowość, często spotykaną u młodych dyrygentów, która osłabia pewność prowadzenia orkiestry, mimo bardzo dokładnego i sumiennego opracowania tekstu muzycznego.

Programy Filharmonii Wrocławskiej przyniosły w przeważającej czę-

ści muzykę klasyczną i romantyczną. Z nowej muzyki usłyszeliśmy tylko (poza ogranymi marszami Prokofiewa z opery „Miłość do trzech pomarańcz“ i Rymskiego-Korsakowa z opery „Złoty Kogucik“) interesujące i pełne dramatycznego napięcia pieśni Kałki-Rowickiego (solistka Olga Łada), „Symfoniettę“ op. 17 Perkowskiego i Symfonię I (klasyczną) Stanisława Skrowaczewskiego. Tak rozumowa, pozbawiona elementów emocjonalnych kompozycja Perkowskiego, jak i obfitująca w dłużyzny Symfonia Skrowaczewskiego (o niewątpliwie ciekawej i konsekwentnie przeprowadzonej drugiej części „Adagio Molto“) nie spotkały się z gorącym przyjęciem, a raczej ze zdziwieniem publiczności, nie przywykłej do nowej muzyki, której Filharmonia Wrocławska udziela nam w zbyt małych dawkach. Mamy nadzieję, że w zapowiedzianym X. koncercie symfonicznym, dyrygowanym przez wybitnego muzyka współczesnego Artura Malawskiego, usłyszymy nową wartościową muzykę.

Orkiestra Filharmonii wykazuje dalsze postępy, posiada jednak niezbyt mocną obsadę przy dalszych pultach smyczkowych, a w innych instrumentach daje się zauważyć zbyt dużą różnicę poziomu między pierwszymi i dalszymi pultami.

Poza Filharmonią odbyło się kilka koncertów religijnych w kościołach św. Doroty, św. Bonifacego i św. Elżbiety.

Staraniem Centralnego Biura Koncertowego Zw. Muzyków, za poparciem Wojew. Wydz. Kultury i Sztuki oraz Kuratorium Okręgu Szkolnego odbyło się kilkanaście koncertów szkolnych, poprzedzonych prelekcjami, które niezawodnie przygotują nową chłonną publiczność koncertową.

Opera Dolnośląska, borykająca się, podobnie jak i Filharmonia, z trudnościami finansowymi, wystawiła w okresie sprawozdawczym starannie przygotowany i reżyserowany przez Dyr. Stanisława Drabika „Straszny Dwór“ Moniuszki i mniej udaną „Toscę“ Pucciniego. W obu tych operach obserwowaliśmy dalszy rozwój obiecujących młodych śpiewaków.

Marian Woźniczko, którego usłyszeliśmy już w „Traviacie“ (Germont), śpiewał pięknie partię Miecznika dojrzałym, dużym głosem. Duże postępy zrobili też Wronecki (Maciej i Zachrystian) i Biliński (Skołuba). Najprzyjemniejszą niespodziankę zrobił Władysław Szeptycki, dysponując wybitnie lirycznym tenorem, śpiewając bardzo ładnie, z wieloma dramatycznymi akcentami partię Cavaradossiego. Utalentowanemu temu śpiewakowi dobrze leżała w głosie partia Stefana. Drugi tenor Opery Dolnośląskiej Bieńkowski dublował Alfreda w „Traviacie“ i Stefana w „Strasznym Dworze“. Rozporządza ładnie brzmiącym, dobrze szkolonym i nośnym materiałem głosowym. Liryczny baryton Zbigniew Studler-Roman poprawnie odśpiewał zbyt dramatyczną dla siebie partię Scarpia.

Nowo pozyskany bas-baryton Robert Sauk jako Zbigniew w „Strasznym Dworze“ zdobył publiczność ujmującą aparycją i świe-

żym, jędrnie brzmiącym głosem. Irena Kudelska jako Cześnikowa zaprezentowała nieprzeciętnie piękny sopran, który przy ładnej aparycji wróży młodej śpiewaczce dobrą przyszłość.

Waleria Jędrzejowska i Halina Hrabi-Szałkiewicz nie miały wielkiego pola do popisu w małych rolach Hanny i Jadwigi. Alfred Czopek starannie odśpiewał charakterystyczne partie Damazego i Spoletty.

Gościnnie występująca, obdarzona dużym, dźwięcznym głosem Liliana Zamorska muzykalnie śpiewała Toscę, wnosząc na scenę szczere dramatyczne napięcie.

Orkiestrą Filharmonii (niezbyt dobrze czującą się w operach) dyrygowali Stefan Syryłło i Kazimierz Bończa-Tomaszewski.

Zarówno „Straszny Dwór“ jak i „Tosca“ otrzymały piękną oprawę sceniczną Jędrzejewskiego i Langego.

Tak ważna placówka kulturalna, jaką jest Opera Dolnośląska, mimo wielkich wysiłków dyrekcji i zespołu znajduje się w coraz trudniejszych warunkach materialnych, i powinna znaleźć wśród społeczeństwa wrocławskiego i władz jak najdalej idącą pomoc, pozwalającą na dalsze kontynuowanie pożytecznej pracy.

Od 14 listopada 1946 do 6 lutego 1947 Teatry Dolnośląskie wystawiły cztery komedie w różnym stylu i o różnej wartości: starą komedię Dobrzańskiego w dowcipnej przeróbce J. Tuwima „Żołnierz Królowej Madagaskaru“, „Pygmaliona“ G. B. Shaw'a, amerykańską bzdurkę Montgomerry'ego „Dzień bez kłamstwa“ i nieśmiertelnego „Rewizora“ Gogola.

Jerzy Walden, jako inscenizator i reżyser wydobył z „Żołnierza Królowej Madagaskaru“ całą groteskowość „fin de siècle“. Ożywił sytuacje, postacie, a nawet dekoracje wieloma dowcipnymi pomysłami. Przez utrzymanie stylu w najdrobniejszych szczegółach wydobył urok „wesołej starowarszawskiej przygody“. Reżyserując „Dzień bez kłamstwa“ poszedł po niebezpiecznej wąskiej linii między amerykańską farsą i europejską lekką komedią, wkładając dużo inwencji reżyserskiej i „gagów“ w tę, aczkolwiek wesołą, ale doprawdy nie wartą zachodu brodwayoską komedię.

Wystawienie „Rewizora“ było (obok „Pygmaliona“) wielkim sukcesem Teatrów Dolnośląskich. Tak inteligentna i pomysłowa reżyseria Jerzego Waldena (który przy utrzymaniu tradycyjnego schematu, ożywił i przystosował inscenizację do wymagań nowoczesnego teatru), jak i gra całego zespołu z J. Kurnakowiczem na czele, stworzyły harmonijną całość, trafnie oddającą styl epoki rozkwitu rosyjskiego romantyzmu.

Marian Godlewski reżyserując „Pygmaliona“ zawarł w swej koncepcji najważniejsze elementy shaw'owskiej komedii: moralizatorską satyryczność, paradoksalność sytuacji i sądów i hałaśliwość w propagowaniu zagadnień społecznych. Konsekwentnie ukształtował typy, pod-

kreślając zetknięcie się szablonu umysłowego przeciętnego Anglika, skrępowanego wychowaniem, z ekscentryczną postawą dociekającego badacza i niepozbawionym filozoficznego spojrzenia prymitywem mieszkańców „slums'ow".

W „Pygmalionie" kapitalną kreację stworzył Jan Kurnakowicz w roli Doolittla, świetnie dawkując komizm postaci od prawie ponurego wejścia węszącego interes przyciężkiego śmieciarza, przez rozradowanie spryciarza, któremu się ten interes udał, do zabójczej wytworności Doolittla, przeobrażonego w milionera.

Artysta ten przybył do Teatrów Dolnośląskich dla zagrania w jednej sztuce, ale tak rozsmakował się w naszym „dzikim zachodzie", że został we Wrocławiu, dając jeszcze zabawną postać Ralstona w „Dniu bez kłamstwa" i świetną, pełną wewnętrznej pasji i opracowaną do najdrobniejszych szczegółów postać Horodniczego w „Rewizorze".

Utalentowaną Janinę Martynowską ujrzeliśmy tylko w „Pygmalionie" w roli Lizy Doolittle, gdzie bardzo przekonywująco przeprowadziła psychologicznie trudne przeobrażenie prymitywnej, nieświadomej prawie swego człowieczeństwa kwiaciarki na pannę Doolittle, o skomplikowanej i subtelnej strukturze wewnętrznej.

Również w „Pygmalionie" ciekawą i pogłębioną wewnętrznie postać prof. Higginsa, pochłoniętego swoją ideą i popełniającego „faux pas" z czarującym uśmiechem, dał Marian Godlewski, artysta o dużej kulturze i umiarze.

Jerzy Walden dał doskonały epizod w „Królowej Madagaskaru" jako Nikifor. Jako Bobo Bennet w „Dniu bez kłamstwa" dał sylwetkę dowcipną, choć niewykończoną. Chlestakow w jego wykonaniu był sympatycznym lekkoduchem, którego okoliczności zmuszają do nabierania prowincjonalnych głupców. Mimo to nad Waldena-aktora przekładamy Waldena-reżysera.

Wacław Zdanowicz, aktor o zacięciu raczej operetkowym, stworzył świetną pełną temperamentu i humoru postać Mazurkiewicza w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru". Czarującą jego partnerką, Kamilą, była Maria Nochowicz (n. b. obdarzona bardzo pięknym, dźwięcznym sopranem). Artystkę tę widzieliśmy jeszcze w dwu rolach: w zbyt serio potraktowanej Pani Ralston (Dzień bez kłamstwa) i w dobrze utrzymanej w stylu Horodniczynie (Rewizor).

Udane typy: lowelasa z końca ubiegłego stulecia (Mącki Senior z „Żołnierza Królowej Madagaskaru"), gruboskórnego, groteskowo potraktowanego bankiera (van Dusen z „Dnia bez kłamstwa") i szczególnie świetnie uchwyconego małorosyjskiego, przemądrzałego chłopa, „przerobionego" na służącego (Osip w „Rewizorze") stworzył obdarzony szeroką skalą talentu Marian Nowicki.

J. Korczyński, którego przyzwyczailiśmy się oglądać w rolach wytwornych gentelmanów, dobrze czuł się tym razem i w roli upartego, ograniczonego „wolnomyśliciela" Liapkina-Tiapkina z „Rewizora".

Z młodych artystów zasługują na wyróżnienie: utalentowany aktor charakterystyczny J. Sobieraj (lokaj w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru“, pastor w „Dniu bez kłamstwa“, a zwłaszcza wraz z Feliksem Dobrowolskim, jako wyśmienita para: Dobczyński i Bobczyński z „Rewizora“), Łucja Burzyńska (nieznośny Kazio w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru“) i Zenon Burzyński (dobrze uchwycony Łuka Chłopow w „Rewizorze“).

Interesujące epizody dali w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru“ J. Netto (garderobiana) i K. Herba (inspicjent), a w „Pygmalionie“ J. Hańska (Pani Pearce).

Z dekoracyj „nadwornych“ scenografów „budynku Teatru Miejskiego“ Jędrzejowskiego i Langego należy wyróżnić niezwykle dowcipne i pomysłowe, ruchome dekoracje do „Żołnierza Królowej Madagaskaru“, pełną przestrzeni oprawę sceniczną do odsłony I „Pygmaliona“ i ciekawie rozwiązane wnętrze domu Horodniczego w „Rewizorze“. Natomiast nowoczesne wnętrza do „Dnia bez kłamstwa“ były nieprzekonywujące i nosiły na sobie piętno pośpiechu.

Oceniając całokształt pracy Teatrów Dolnośląskich w okresie sprawozdawczym, należy stwierdzić, że po osiągnięciu pierwszego celu, jakim było upowszechnienie teatru (widownia jest stale zapełniona przez publiczność rekrutującą się z najszerszych mas), Teatry Dolnośląskie wkroczyły w następny, a zarazem istotny etap pracy, jakim jest podniesienie poziomu artystycznego.

Ostatnie premiery („Pygmalion“, „Rewizor“) dają gwarancję, że i na tej drodze osiągną one sukces, który pozwoli im śmiało konkurować z najlepszymi scenami w Polsce.

W poprzednim sprawozdaniu pominęliśmy pozytywną placówkę teatralną, jaką jest „Teatr Lalki i Aktora“, który przedstawieniami kukiełkowymi, stojącymi na dobrym poziomie, sprawia wiele radości najmłodszym miłośnikom teatru.

Tyle o rzeczach przyjemnych. Wypada jednak zanotować i rzeczy przykre: Wrocław nawiedzają bardzo często objazdowe trupy, reklamujące się jako „reprezentacyjne“, „narodowe“, „polskie“ teatry, balety, rewie i t. p. Wobec kompromitująco niskiego poziomu tych imprez, Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki powinien wydać zakaz publicznych występów zespołom, które skrzywiają gust publiczności i zniechęcają do teatru. Oburzające jest to ciągłe traktowanie Wrocławia jak „dzikiego zachodu“, gdzie lada „szmira“ może liczyć na powodzenie.

Częste popisy miejscowych amatorów niewiele niestety odbiegają od poziomu wyżej wymienionych trup objazdowych. Wśród występów teatrów ochotniczych jedynie w „Jasełkach“, wystawionych przez Teatr Akademicki, znać było pewien wysiłek i poważne podejście do teatru.

Halina i Wojciech Dzieduszyccy

WYNIKI POLSKICH BADAŃ ARCHEOLOGICZNYCH NA OSTROWIE TUMSKIM WE WROCŁAWIU

Odzyskanie ziem nadodrzańskich umożliwia polskiej prehistorii rozwiązanie całego szeregu problemów ściśle z tymi terenami związanych, jak również rzeczową krytykę fałszów podtrzymywanych i subiektywnie oświetlanych przez badaczy niemieckich. Do najciekawszych, a przy tym najbardziej gorąco dyskutowanych zagadnień należy zagadnienie zasięgu staropolskiego osadnictwa w kierunku zachodnim, następnie problem właściwego poziomu rozwojowego i stylu staropolskiej kultury doby wczesnohistorycznej oraz kwestia genetycznej łączności kultury terenów odzyskanych z czasowo współczesnym zespołem kulturowym reszty ziem polskich.

Pod tym kątem widzenia rozpoczęto badania archeologiczne we Wrocławiu. Należy jednak podkreślić z naciskiem, że prace powyższe posiadały jeszcze dodatkowy aspekt badawczy, wprawdzie o charakterze bardziej lokalnym, niemniej jednak w wysokim stopniu obchodzący już nie tylko polskich prehistoryków, ale również i historyków. Chodziło tutaj mianowicie o odkrycie najstarszego grodu Wrocławia, a tym samym najstarszego skupiska staropolskiego osadnictwa na obszarze dzisiejszego miasta.

Do ostatnich czasów istniały na ten temat dwie koncepcje, z których jedna umieszczała wspomniany tutaj ośrodek osadniczy na Ostrowie Tumskim obok kościółka św. Marcina, druga na wzniesieniu położonym po przeciwnej stronie Odry (t. zw. Holteihöhe). Prehistoria niemiecka nie pokusiła się o naukowe ugruntowanie jednej z tych hipotez ze względów natury czysto politycznej.

Jako teren polskich prac wykopaliskowych został wybrany Ostrów Tumski w okolicy kościółka św. Marcina (ogród dawnego Instytutu Geograficznego). O wyborze powyższego miejsca zadecydowała analiza topograficzna terenu (położenie nad Odrą, brak późniejszych deformacji terenu) oraz dane historyczne. Z tych ostatnich zasługuje na specjalną uwagę plan miasta z 1562 r., w którym umieszczono nazwę „gród“ właśnie w miejscu, odpowiadającym rozkopywanej partii terenu.

Badania wykopaliskowe prowadził Instytut Śląski przy współudziale Uniwersytetu Wrocławskiego i Muzeum Prehistorycznego we Wrocławiu. Kierownictwo badań spoczywało w rękach prof. dr R. Jamki. W badaniach tych brał udział dr A. Nasz, starszy asystent Uniwersytetu Wrocławskiego, oraz kilka pomocniczych sił naukowych, rekrutujących się ze studentów Uniw. Wrocławskiego i Jagiellońskiego, odbywających tutaj praktykę terenową.

Trzymiesięczne prace badawcze przyniosły ciekawe wyniki, bo stwierdziły na rozkopanym terenie przynajmniej trzy ponad sobą leżące warstwy kulturowe (osady), pochodzące z okresu wczesnohistorycznego.

Najstarszą osadę można przesunąć czasowo do VII wieku. Z ciekawszych przedmiotów odkrytych na tym poziomie należy wymienić orygi-

nalne okucie brązowe, zdobione stylizowanymi główkami zwierzęcymi, najprawdopodobniej import zachodnio-europejski.

Późniejsza nieco wyżej położona osada jest reprezentowana przez materiał ceramiczny z VIII—X wieku. Wśród skorup ciekawy jest fragment ozdobiony ornamentem jodełkowym, zdradzający wpływy pomorskie albo lutycko-obotryckie, docierające na teren Dolnego Śląska znad ujścia Odry i Łaby.

Największą ilość materiału wydobyto w obrębie najmłodszej osady z XI—XIII wieku. Masowo wystąpiła tutaj ceramika toczona na kole garncarskim, zdobiona równoległymi poziomymi pasmami, linią falistą tak bardzo typową dla ceramiki słowiańskiej okresu wczesnohistorycznego, oraz ornamentem rytym w postaci ukośnych zagłębień. Dna naczyń znaczono często oryginalnymi znakami garncarskimi w postaci wypukłych gwiazd i krzyży.

Z przedmiotów żelaznych należy wyszczególnić fragmenty różnych żelaznych okuć, noży.

O wytapianiu żelaza w obrębie osady w prymitywnych dymarkach świadczą znalezione w kilku miejscach bryły żelaznego żużla.

Obok ceramiki i przedmiotów żelaznych wydobyto obfity materiał kostny, który poddany specjalnym badaniom pozwoli zorientować się w gatunkach zwierzyny łownej i hodowanej przez mieszkańców wrocławskiego osiedla. W omawianej tutaj warstwie kulturowej uchwycono również zarysy chaty oraz stwierdzono ślady drewnianej konstrukcji w postaci belek, układanych rzędem obok siebie i najprawdopodobniej na sobie. Od strony zewnętrznej stwierdzono ślady kilku grubych pionowych pali, których rola polegała najprawdopodobniej na przytrzymywaniu budowli. Wśród belek stwierdzono grudki przepalonej gliny, ślady popiołu oraz węgla drzewnego, świadczące, że ten najprawdopodobniej obronny wał był niszczony przez pożary wybuchające na skutek nieprzyjacielskiej akcji oblężniczej czy też nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

Dotychczasowa więc akcja badawcza doprowadziła do odkrycia staropolskiej osady, najprawdopodobniej o charakterze obronnym, a więc poszukiwanego na terenie Wrocławia najstarszego grodu.

Inwentarz zabytkowy, zwłaszcza ceramika, wskazuje na ścisłą łączność kulturalną Dolnego Śląska z terenami Wielkopolski oraz Małopolski Zachodniej.

Dalsze systematyczne badania rozwiążą pewne istniejące jeszcze niejasności i wątpliwości.

Alfred Nasz

